

KORWIN–MIKKE

Vademecum ojca



Projekt okładki Grażyna Lange
Zdjęcia na okładkę Robert Król
Ilustracje Szymon Kobyliński
Redaktor techniczny Elżbieta Kacprzak
Korektor Teresa Twardziak
ISBN 83-225-0345-9
Printed in Poland
© Copyright by Janusz Korwin-Mikke 1991

Wielkiemu Janowi Gąbin książkę tę poświęcam

Aby zrobić z tej książki możliwie najlepszy użytek, należy przeczytać tekst poniższy.

Droga Kandydatko na Czytelniczkę!

Jeśli wykradła Pani podstępem tę książkę z zamiarem jej przeczytania – to radzę poniechać tego zamiaru. Nic to Pani nie da, gdyż są to rady dla mężczyzny. Co więcej, znajomość tych rad może Pani zaszkodzić w dokładnie taki sam sposób, w jaki świadomość, że je jajka szarańczy, szkodzi człowiekowi, który jeszcze przed chwilą oblizywał się po zjedzeniu tego przysmaku.

O pewnych rzeczach lepiej nie wiedzieć. Musi mieć Pani zaufanie do siebie! Oddała się Pani wybranemu przez Siebie mężczyźnie i na pewno uczyniła Pani dobry wybór! Musi więc Pani mieć też zaufanie do Niego: On działa dla Pani dobra! (Jeśli uważa Pani, że jest inaczej – to nie należy czytać tej książki, lecz czym prędzej odejść odeń i zwać na drugą półkulę!).

Jeśli mimo ostrzeżeń, książkę tę Pani przeczyta, to proszę pamiętać, że ja za skutki nie odpowiadam. Nie uznaję też pozwów cywilnych: o stracony czas, o obrazę itp.; podsłuchujący cudzą rozmowę sam jest sobie winien – a ja rozmawiam z Pani mężem.

Mam nadzieję, że powstrzymałem Panią od popełnienia tego głupstwa! Jest dużo pożytecznych książek o wychowywaniu dzieci pisanych przez panie dla pań – i gorąco je polecam.

Życzliwy, acz zniechęcający

Autor

Szanowny Panie!



Spodziewa się Pan zostać ojcem – mężem – kochankiem – narzeczonym i stwierdził Pan, że na ten temat nie ma odpowiednich podręczników. I bardzo dobrze, że ich nie ma! Twórczość polega właśnie na samodzielnym rozwiązywaniu problemów. Gdyby posługiwał się Pan radami z podręcznika, stałby się Pan odtwórcą i zmniejszałaby się w społeczeństwie jakże pożądana różnorodność (vide RÓŻNORODNOŚĆ).

Zagłądanie do podręcznika to specjalność kobieca. Kobiety wolą bezpieczną przeciętność niż twórcze ryzyko. Pan jednak chce zapewne wychować Swoje dzieci tak, by były one najlepszymi dziećmi – a „najlepsze”, to takie, które Pan uważa za najlepsze. I żaden autor nie będzie tu wtryniał swego nosa. Gdyby ta książka podawała idealne recepty na wszystko, to należałoby ją zniszczyć, by nie ujednoliciła urychotiania. Ale może Pan być spokojny: nie podaje. „Obiektywnie najlepsze wychowanie” nie istnieje.

Książkę tę radzę dobrze ukryć przed żoną (może to nie jest żona, lecz kochanka – metresa – konkubina, ale będę używał tego krótkiego określenia).

Ona zresztą nie przeczyta jej do końca, tego co przeczyta, nie zrozumie właściwie, a co zrozumie, to źle. Kobieta np. powinna traktować swe dziecko jak pępek świata, i porady, by dziecka tak nie traktowała, mogłyby jej zaszkodzić. To jest książka dla kogoś, kto rozumuje na zimno i bez uprzedzeń. Uczucia i emocje może Pan i powinien mieć, ale ich istnienie nie powinno przeszkadzać w chłodnym rozumowaniu. U kobiet te sfery nie są rozdzielone.

Książka ta nie zawiera – poza kilkoma wyjątkami – bezpośrednich rad praktycznych, np. do jakiej temperatury podgrzewać mleko i gdzie kupić „Bebiko 2R”. Od tego są inni specjaliści. Ja pragnę tylko skłonić Pana do nieco odmiennego spojrzenia na pewne sprawy związane z posiadaniem dziecka. Z szerszej perspektywy łatwiej podjąć właściwą decyzję, choć sam proces jej

podejmowania może być bardziej skomplikowany. Jest to książka dla ludzi myślących, a nie dla poszukiwaczy gotowych receptur! Myślenie mimo wszystko bardzo się –jak sadzę – opłaca.

Wychowanie dzieci nie powinno być „racjonalne” – gdyż to słowo oznacza dziś „zgodne z pewnym pseudonaukowym wzorcem”. Powinno być za to wewnętrznie spójne. Też bez przesady, ale nie ma obawy – gdyby nawet przeczytał Pan tę książkę sto razy, to i tak nie zdoła Pan zredukować zupełnie spontaniczności/ Wychowywanie dzieci natomiast cierpi dziś na niedomiar konsekwencji, co spowodowane jest zanikiem roli ojca. Gdy mówi się o zwiększeniu roli mężczyzny w rodzinie, to rozumie się przez to na ogół zwiększenie jego udziału w gotowaniu zupek i zupełne odsunięcie od podstawowego zadania ojca: nadawania ogólnego kierunku i zasad (vide ZASADY) wychowywaniu.

Gdy przed wielu laty zaczynałem pisać tę książeczkę, miałem trzech synów. Obecnie swój stan posiadania mniej więcej podwoilem, zwiększając różnorodność płci (piszę: mniej więcej, gdyż przy znanym okresie produkcji książek mogę dorobić się jeszcze tuzina, zanim Pan ją przeczyta!). Wówczas nie zdecydowałem się na podanie swoich uwag do publicznej wiadomości.

I dobrze uczynilem, gdyż wiele z napisanych wtedy haseł trochę przerobiłem pod wpływem późniejszych doświadczeń. Z góry piszę: są to często doświadczenia negatywne. Często po niewczasie dopiero dowadywałem się, jak powinienem był postąpić – i ta książka ma dać Panu szansę nauki na moich błędach. Więcej, uważam, że jestem ojcem gorszym niż przeciętny. Jednak doświadczenia ojca-ideału mogą być mniej pouczające. Zresztą ojciec-ideał książki takiej nie napisze, gdyż pieniądze łatwiej zarabia się inaczej, a polepszenie wychowania przyszłych konkurentów jego dzieci nie leży w interesie ojca-ideału.

Gdy zabierałem się za tę książkę, za punkt wyjścia wziąć chciałem „Emila” Jana Jakuba Rousseau. Mało kto dziś o tej książce słyszał, prawie nikt (ze studentami pedagogiki włącznie) nie czytał. A szkoda! Co prawda pewne jej zasady były wówczas słusznie uznane za wywrotowe – dziś nie polecam wychowywania dziecka według wskazań Emila (co byłoby zresztą zbyt kosztowne w naszej ubogiej, w porównaniu z XVIII wiekiem, epoce), ale sposób podejścia do zagadnienia wydaje się być interesujący. W każdym razie dedykuję tę książkę zupełnie komu innemu, choć też Francuzowi...

Niech Pan pamięta, że Pan również nie uniknie popełnienia błędów wychowawczych (vide BŁĄD) – i nie zawsze wiadomo, co jest błędem, gdyż nie ma

tego złego, co by na dobre nie wyszło (poza zaszłościami nieodwracalnymi, rzecz prosta). Jednak koszty błędnych decyzji wychowawczych są ogromne, tak wielkie, że jeśli jest nawet 1/100 szansy uniknięcia jednego błędu – i tak warto kupić tę książeczkę. Na którym to rozumowaniu i ja, i Wydawnictwo bezczelnie żerujemy.

To tyle. Teraz technikalia. Nie warto tej książeczyny czytać na raz. Raczej: tu haselko – potem przenieść się do innego, do którego prowadzi odnośnik zamieszczony w tekście. Hasła ułożone są alfabetycznie. Ich tytuły są dość oryginalnie powiązane z treścią. Proszę zauważyć, że ta książeczka w ogóle nie ma paginacji!

Życząc Panu przyjemnej i pożytecznej lektury (pożyteczna jest lektura, przy której wykrzyknie Pan: „Nie zgadzam się z tym facetem!” i przemyśli problem sam!) oraz otrząśnięcia się z plątaniny pojęć, którymi oplatać nas od lat próbuje kobiece lobby.

Pozostaję do usług

Janusz Korwin-Mikke

adaptacja

Z kim przestajesz, takim się stajesz – głosi znane przysłowie. Stąd mężczyźni, by zachować swą spójność wewnętrzną, starają się nie przebywać zbyt długo z kobietami i z dziećmi.

Kobieta, oczywiście, nie może zazwyczaj tego uniknąć. Wyjątkiem była arystokracja. Wykształcenie kobiety z arystokracji kosztowało tyle, że społeczeństwa nie było stać, by osoba, znająca pięć języków, savoir-vivre na najwyższym poziomie i – co najważniejsze – sztukę absolutnego panowania nad sobą, traciła czas na zajmowanie się dziećmi. Stąd zajmowały się nimi mamki, bony, opiekunki i nauczycielki, a matki odrywano od potomstwa i kazano przebywać na salonach. *Noblesse oblige...*

Kobieta współczesna przebywając z bobasami, wysłuchując ich gaworzenia – musi schodzić na poziom rozumowań dziecięcych. Jednak Natura pomyślała to znacznie lepiej!

Pamiętam swoje zdumienie, kiedy w pewnym momencie moja znajoma, z którą toczyło się długie dyskusje o filozofii, matematyce itp. w tonie całkowicie zimnym i suchym, nagle przechodząc koło wózeczka z dzieckiem schyliła się i powiedziała: „Jakie toto ma śliczne milutkie łapeczki, ti-ti-ti-ti...”.

Obecny przy tym jej mąż omal nie usiadł na ziemi! Po miesiącu sprawa się wyjaśniła: była w ciąży...

Jest rzeczą oczywistą, że normalny inteligentny człowiek oszalałby prowadząc dyskusje na poziomie dziecinnym. Natura więc zadbała, by poziom umysłowy kobiety jeszcze przed urodzeniem dziecka dopasował się do niego. Kobieta potrafi (mężczyzna zresztą też!) przystosować swój poziom mowy tak, by zawsze o parę tygodni wyprzedzał on gaworzenie (tzn. z dzieckiem trzymiesięcznym „rozmawia” ona słownictwem dziecka czteromiesięcznego). Skąd ona to wie, skoro być może nigdy nie słyszała trzymiesięcznego niemowlaka?

Ale sama nim kiedyś była! A kobiety mają – jak o tym kilka razy w tej książce napomykam – fenomenalną pamięć.

Nie należy się z tego wyśmiewać – trzeba podziwiać! To, co nam zajmuje pół dnia nauki – kobieta po prostu wie.

Często też zdarza się fenomen: po klimakterium, gdy hormony kobiece przestają działać, słodka Idiotka i Mamuśka wyrasta nagle na zupełnie poprawnie – choć może nie błyskotliwie – rozumującą matronę. Braku wiedzy nic już nie wyrówna – ale poza tym... Innocenty M. Bocheński OP. w swych *Stu Zabobonach* uważa nawet, że Matrona stoi umysłowo powyżej przeciętnego

mężczyzny.

Być może. Ojciec Bocheński popiera to autorytetem swoich dziewięćdziesięciu lat...

Natura działa jeszcze bardziej przewidująco. Jeszcze nie wiadomo, czy z dziewczynki będzie kobieta, a z chłopca – mężczyzna, gdy już działają pewne instynkty. Chłopcy angażują się w gry i zabawy wymagające siły, zręczności, orientacji i szybkiego refleksu, a dziewczynki rozwijają raczej wyobraźnię i harmonię ruchów (proszę zresztą zajrzeć do hasła ZABAWA).

Otóż, widać wyraźnie, że spokojne zabawy dziewczynek mają na celu nie wyrobienie w nich żywości, inteligencji itp., które to cechy w przyszłości mogłyby narazić je na konflikt rodzinny (bo matka inteligentna gorzej znosi dziecko!). Te zabawy, np. przewijanie przez godzinę lalki, w gruncie rzeczy otepiają. I tak to, niestety, powinno być... Próby ingerencji w naturalny mechanizm doprowadzą do tego, że będzie Pan miał inteligentną córkę, ale nie będzie Pan miał wnuków.

Najogólniej można wyróżnić trzy podejścia. Skrajna lewica stwierdza, że chłopcy i dziewczynki mają bawić się tym samym i np. amerykańskie ministerstwo edukacji wydało okólnik nakazujący nauczycielom zabierającym dzieci na mecz, by proporcja dziewczynek była taka sama jak w klasie i by obydwie grupy klaskały jednakowo entuzjastycznie (ciekawe, jak nauczyciele osiągalni to np. na pokazach mody – bo chłopców trudno zmusić do oklaskiwania czegoś, co ich nudzi...). Skrajna prawica przekazuje surowo, by żadnej dziewczynce nie wolno było grać w futbol, a żadnemu chłopcu bawić się lalką. Człowiek rozsądny natomiast pozwala działać Naturze; i tak 85% będzie bawiło się, jak chce prawicowiec, a – dzięki niełamaniu owych wyjątkowych 15% – selekcja cech płci będzie lepsza (bo będą odpadać...). Tak! Baba--chłop za mąż nie wyjdzie – i spokój, a przymuszona do lalek znajdzie męża (oszukiwanego męża, dodam) i będzie, niestety, miała córkę...



agresja

Bardzo częstym obrazkiem jest dziś matka krzycząca na dziecko, szarpiąca je, bijąca. To widok wysoce nieestetyczny i zachowanie takie bywa bardzo szkodliwe dla rozwoju dziecka, które w matce winno widzieć osobę kochającą zawsze i wszędzie, pomimo wszelkich grzeszków.

Odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponoszą, rzecz jasna, mężczyźni. Jedną z niewątpliwie ważnych przyczyn jest wyprowadzenie kobiet do pracy poza domem – gdzie się brutalizują, ale –przede wszystkim po prostu nie mają czasu dla dzieci. Za to nie ponosimy odpowiedzialności ani ja, ani Pan, lecz ci, co w imię dogmatów lub zwykłej wygody (by mieć pod ręką obiekty seksualne) do tego doprowadzili. Jednak inna przyczyna leży w nas i przed dalszym czytaniem proponuję wysłuchanie pani Danuty Rinn w piosence: *Gdzie ci mężczyźni... ?*

Otóż: kobiety są agresywne, gdyż my jesteśmy zbyt mało agresywni!

Proponuję – jeśli już ma Pan dzieci – by zrobił Pan (oczywiście nie specjalnie, ale przy nadarzającej się okazji) pewien eksperyment. Niech Pan spróbuje za jakieś przewinienie skarcić dziecko ostrzej niż zwykle. Zobacz Pan wtedy, jak żona, która zazwyczaj narzekała, że dzieci są rozpuszczone, natychmiast przybierze postawę odwrotną: przy najbliższej okazji (a jeśli nie jest nauczona panować nad sobą, to bezpośrednio!) weźmie dziecko w obronę.

Pewna surowość wobec dzieci jest Pana obowiązkiem! Nic w przyrodzie nie ginie (*vide* HOMEOSTAZA) i jeśli Pan nie będzie agresywny, to agresywna stanie się żona oraz dzieci w stosunkach między sobą. Dlatego że Panu nie chce się być brutalem – zbrutalizuje Pan całe życie rodzinne. Chce Pan być kochany, a będzie Pan pogardzanym safandulą.

Dzieci powinny się Pana trochę bać i – dzieci chcą się Pana trochę bać. Przyczynę jasno wyłożył genialny Cyryl N. Parkinson: „Dzieci potrzebują

opieki. Potrzebują ojca, który w razie czego by je obronił. Obronić je może tylko taki ojciec, którego ludzie się boją. A czy ludzie będą bać się kogoś, kogo nie boi się jego własne dziecko??”.

Musi Pan pamiętać, że poza bakteriami nasz gatunek nie ma na Ziemi przeciwników. Posiadanie przeciwnika zaś jest koniecznym warunkiem rozwoju. Ludzie tworzą więc surogaty przeciwników, by w ogóle istniało współzawodnictwo. Najważniejszym jest wojna, ale wojna to współzawodnictwo jednostronne, a poza tym nie można nieustannie żyć w stanie wojny. Zamiast tego część selekcji odbywa się poprzez „walkę płci”. Ta wojna nigdy nie ustaje.

Mężczyźni więc uwodzą kobiety – ale te, które dają się uwieść, traktują z należnym brakiem szacunku. Twierdzą, że cenią w kobietach inteligencję i nie zwracają uwagi na urodę, ale w pogardzie mając te, które wpadną w pułapkę, żenią się z ładnymi idiotkami. Podobnie kobiety usilnie twierdzą, że poszukują u mężczyzn zrozumienia, dobroci i łagodności, a przy pierwszej okazji odchodzą z partnerem agresywnym.

Jest to prosty efekt doboru naturalnego. Mężczyzna agresywny, choć ogranicza swobodę ekspresji kobiety, zapewnia jej potomstwu lepsze warunki życia – dlatego kobiet lubiących mężczyzn agresywnych nigdy nie zabraknie (*vide* PŁCI ROLE), a kobiety lubiące mężczyzn cichych i spokojnych pozostaną w mniejszości. Inna sprawa, że zawsze się znajdują. Natura dba, by nie zaginęła różnorodność – i nawet śmiertelne geny przechowywane są w naszej populacji „na wszelki wypadek”. Biada genetykom, a raczej biada nam, jeśli genetycy wezmą się za polepszanie ludzkości.

Niedawno zdarzyło mi się polemizować z dość zabawną tezą, którą przytaczam dla uprzytomnienia Panu, jakie błędy popełniają osoby (niekoniecznie płci żeńskiej) z tytułami profesorskimi, jeśli zamiast myśleć – wierzą w dogmaty. Otóż, osoba ta skonstatowała, że im wyżej w hierarchii znajdują się dzieci, tym bardziej są agresywne. Miałoby to świadczyć, że wysoka pozycja wyzwala agresję. Natomiast znacznie prostsze wyjaśnienie, że wysoką pozycję w hierarchii ojciec zawdzięcza swojej agresywności – a dziecko tę agresywność po prostu odziedziczyło – jakoś nie przyszło Autorce do głowy.

Skłonność do agresji dziedziczy się prosto – i czysto fizjologicznie. Określenie agresywnego mężczyzny przez „chłop z jajami” jest wyjątkowo celne, gdyż testosteron produkują jądra. Jest więc związany z chromosomem Y – co dodatkowo potwierdza fakt, że „supermężczyźni”, tj. XYY, są prawie zawsze

bardzo agresywni, najczęściej przekraczając barierę dzielącą agresję od przestępstwa. Tak więc, jeśli jest Pan agresywny, to nie musi się Pan wstydzić, wręcz przeciwnie! Sztuka polega na tym, by ten dar Boży zużywać na korzyść swoją, rodziny i społeczności – a nie przeciwko innym... i sobie. Nie zawsze jest to łatwe, gdyż reakcją na nieludzkość obu wielkich wojen jest obecny lęk przed agresją, sformalizowany nawet w przepisach prawnych. Jednak możliwe. Możliwe jest też okazywanie agresji – pod warunkiem niewchodzenia w kolizję z Kodeksem i dobrymi obyczajami. Proszę przy tym pamiętać, że szachista może wykonywać bardzo agresywne posunięcia z całkowitym spokojem i łagodnym ruchem. Agresja nie polega na miotaniu się i krzyku! Wrzeszczeć znakomicie potrafią kobiety, wcale przecież jąder nie posiadające!!

Agresja jest motorem postępu. Był agresorem Galileusz ogłaszając: „A jednak się porusza!”. Jest agresorem spekulant giełdowy i – bokser na ringu. Zanik agresji – to zanik postępu. Z tym że agresorów nie może być zbyt wielu. Próba egalitaryzacji agresji doprowadziłaby do stanu niesłychanego napięcia. Toteż prawdziwe jest powiedzenie, że świat istnieje dzięki potulności kobiet. One odbierają nadmiar naszej agresji i mężczyzna będący panem w swoim domu nie musi wyżywać się na interesantach. To już sprawa kobiety, by ta agresja wyładowywała się w przyjemny dla niej sposób, ale i mężczyzna musi nad swoją agresją panować.

Widomym wskaźnikiem, że obecny stan rzeczy to nasza wina, jest stanowisko kobiet wobec małżeństwa. Małżeństwo przed stu laty było „okowami nakładanymi na kobiety”, było „niewolą” – obecnie natomiast prawo i nasza słabość dają kobiecie niezłą pozycję. Efekt: wtedy praktycznie wszystkie chciały wychodzić za mąż

– obecnie demonstrują niezadowolenie i nie chcą. Wyraźnie widać, że współczesne małżeństwo – a raczej pseudomałżeństwo

– właśnie im (a nie nam) nie odpowiada! *vide* ROZWÓD (TEORIA). Gdy wprowadzono rozwody, wszyscy myśleli, że grozi masowe porzucanie żon. Obecnie w wielu krajach występuje masowe porzucanie mężów przez żony, rozczarowane do – właśnie – pseudomałżeństwa.

Panowie! Pamiętajcie, że kobieta czego innego chce – a co innego deklaruje jako swoją chęć! I – oczywiście – ma pretensje, że stosujemy się do oznajmianych przez nią życzeń. I ma rację!

autorytet



Istnieją w tym względzie trzy różne szkoły (*vide* TEORIE WYCHOWAWCZE).

- Pierwsza - tradycyjna, przyznaje rodzicom rację *a priori* i wymaga od dzieci posłuszeństwa. Metoda ta jest znakomita z jednym wyjątkiem: kiedyś Pan pomyli się i - cały autorytet diabli wezmą. Może po drugim błędzie. Albo trzecim.

- Druga - nowoczesna, „wolnoamerykańska” (choć głoszono ją zarówno podczas oświecenia, jak i za Cesarstwa Rzymskiego) nie grozi taką katastrofą. Dziecko ma wychowywać się bez autorytetów i dopiero budować je sobie samodzielnie w odpowiednim wieku. Wbrew pozorom ryzyko pójścia fałszywą drogą nie jest tu wielkie; hippisi, narkomani itp. są w końcu niewielkim marginesem. Ale stwarza to trudne problemy wychowawcze, jako że nie można użyć argumentu: „Nie rób tego, bo ja ci to mówię”, nieodzownego, by odwieść dziecko od czynu, którego konsekwencji nie może sobie ono nawet wyobrazić. W gruncie rzeczy jest to metoda dobra dla rodziców dość bogatych, by ścierpieć np. podpalenie przez dziecko mieszkania czy samochodu.

- Trzecia - pragmatyczna, polega na budowaniu kapitału zaufania i ostrożnym korzystaniu zeń. Autorytet u dziecka mamy niejako z natury, umiając robić rzeczy dlań niemożliwe. Polecenia oparte o ten autorytet radzę Panu jednak wydawać rzadko i - tu paradoks - najlepiej wtedy, gdy dziecko nie posłucha. Łatwo można przepowiedzieć, że sparzy się próbując Pana naśladować w zapaleniu zapałki. Trzeba przedtem spokojnie powiedzieć: „Nie rób tego, bo się sparzysz” - i spokojnie czekać w pogotowiu, aby upuszczoną z wrzaskiem zapałkę zgasić, nim zapali się dywan (ojciec ze szkoły tradycyjnej zabroni

zapalania, z nowoczesnej – nie powie nic).

Cała sztuka polega w gruncie rzeczy na częstszym dokładaniu do kapitału niż korzystaniu zeń, tzn. więcej razy winno dziecko przekonywać się, że Pan miał rację, niż słuchać autorytetu na wiarę.

Nie ma zazwyczaj mowy, by do takiej dyscypliny skłonić kobietę. Nie złoścąc się musi Pan wziąć pod uwagę, że polecenia wydawane są przez matkę przy jednoczesnej pracy na kilku stanowiskach (sama coś sprząta, w kuchni buzuje, pralka warczy). Stąd w miarę dorastania dziecka trzeba mu tłumaczyć, że kobiety mają prawo do fantazji, humorów itp. co – nie umniejszając miłości dziecka – wyjaśni nieuniknione niekonsekwencje w wydawanych przez matkę poleceniach.

Rzecz prosta – argumentu z drugiego piętra abstrakcji: „Muszą mnie słuchać, bo ja mam autorytet” używać nie wolno.

bakterie

Zacznijmy od bojowego stwierdzenia: Bakterii nie ma! Nie ma i już! Nie istnieją!

Przez setki lat ludzkość zupełnie nie dbała o higienę i efekty były nie najlepsze. Odkąd Ludwik Pasteur odkrył bakterie, sytuacja zaczęła się odwracać i obecnie nasza cywilizacja cierpi raczej na nadmiar higieny.

Tymczasem pewne choroby – zwłaszcza dziecięce – są nam niezbędne. Mam tu na myśli świnkę, odrę, ospę wietrzną i szkarlatynę. Nie są one szkodliwe, przebieg ich w dzieciństwie jest lekki. Najprawdopodobniej uodparnia nas na jakieś inne choroby, w przeciwnym przypadku w wyniku ewolucji nasz gatunek uodporniłby się na nie. Skoro „opłaca” nam się przechodzić szkarlatynę, to widocznie ma to w przyszłości jakieś korzystne skutki.

Uniknięcie w dzieciństwie tych chorób jest natomiast poważnym zagrożeniem przyszłości Pańskiego dziecka. Najlepiej znany jest przypadek bardzo bolesnego półpaśca – będącego po prostu ospą wietrzną, której udało się uniknąć w dzieciństwie. Przejście ospy wietrznej praktycznie uodparnia na tę chorobę.

Kto wie, czy AIDS nie jest rezultatem zlikwidowania jakiejś choroby, która przez tysiąclecia gnębiła ludzkość? Jak słusznie pisał Stanisław Lem: „Kto wie, przed jakimi chorobami chroni nas zwykły katar?” Pojawienie się AIDS dziwnie zbiega się w czasie z tryumfalnym obwieszczeniem przez WHO, że zlikwidowano już malarię...

Bakterie współżyją z nami od dziesiątków tysięcy lat. Nie są zabójcze, bo gdyby były, to same by wymarły z nami. W zasadzie więc widząc, że synek sąsiadów choruje na odrę, powinien Pan, jako człowiek rozsądny, złożyć mu wizytę ze swymi dziećmi. Jednakże wyobrażam sobie furję Pańskiej Żony! Poza tym raz na dziesięć tysięcy trafiają się powikłania i wówczas miałby Pan wyrzuty sumienia oraz wyrzuty żony przez lat parę.

Dlatego bakterie należy ignorować. Dokładnie tak, jak gdyby ich nie było. Sam Pasteur miał kiedyś wykład o bakteriach. Rozwodził się o tym, ile ich jest w kropli wody – którą to wodę demonstrował w szklance. Następnie rysował na tablicy, przemawiał, aż wreszcie rozgrzany wykładem... wypił tę szklankę (ku przerażeniu słuchaczy). Oczywiście, nic mu się nie stało, bo niby dlaczego miałoby się stać?

Bakterie są naszymi symbiontami, organizmami, z którymi współżyjemy. Ich zwalczanie kończy się na ogół nie najlepiej, jak każde zniszczenie środowiska

naturalnego. Protestowałby Pan przeciwko wybiciu żubra? Tak? A przecież wybicie bakterii odrą jest znacznie większym zakłóceniem środowiska naturalnego!!!

Przypadek odrą jest szczególnie kłopotliwy. Odrą dobrze byłoby przejść. Jednakże byłoby Ministerstwo Zdrowia wprowadziło obowiązkowe szczepienia przeciw tej chorobie. Było to jawne wtargnięcie w prerogatywy rodziców – którzy zaczęli to zarządzenie bojkotować (oczywiście, gdyby Ministerstwo zaczęło załatwiać takie szczepienia za protekcją, to placówki służby zdrowia nie mogłyby opędzić się przed tłumami...). W praktyce przeto można obecnie podpisać oświadczenie, że nie chce się szczepienia i wola rodziców jest respektowana.

To jednak nie koniec sprawy. Szczepienia można unikać. Ponieważ znaczna większość dzieci jest mimo to szczepiona, istnieje ogromna szansa, że Pańskie dziecko uniknie przejścia odrą. Trudno powiedzieć, jakie to w przyszłości może mieć skutki. Najprawdopodobniej wobec takiej perspektywy lepiej być szczepionym, dzięki czemu w organizmie wytwarzają się – słabsze, bo słabsze, ale jednak – przeciwciała.

Wydaje mi się, że optymalne jest przeciąganie szczepienia dopóki się da, próba normalnego zarażenia odrą – a potem, mimo wszystko, zaszczepienie dziecka...

Co do innych chorób trzeba pamiętać, że bakterie żyją z nami stale. Nie powodują też objawów choroby, jeśli nie nastąpi nadwątlenie organizmu. Tak jak wilki zjedzą tylko osłabionego łosia (wilki tak sprawne, że zjadłyby każdego, wyginęłyby z głodu z braku łosi), tak bakterie atakują tylko osłabiony organizm.

Organizm może być słabszy z braku pożywienia i – z nadmiaru pożywienia. Z zimna i – z gorąca. Kontrolowanie tego jest możliwe, choć kosztowne. Przede wszystkim dbać trzeba, by dziecko nie było nazbyt zmęczone i by nie było nazbyt rozleniwione. Co prawda zazwyczaj samo o to dba, ale rozmaite wynalazki, do których ludzkość się jeszcze nie zaadaptowała, jak TV, powodują zachwianie się równowagi. W przyszłości zapewne ludzie nazbyt długo ślęczący przed odbiornikami wymrą na jakąś przypadłość, ale nie radzę na to czekać!

Gdy choroby – typu grypa, angina itp. – będą u nas gościć zbyt często, wskazuje to (między nami, mężczyznami), że bez pomocy współczesnej medycyny Pańskie dziecko byłoby już wyselekcjonowane ujemnie... Radzę w takim przypadku pomyśleć o zmianie klimatu na przychylniejszy. Rada lekarza o

szerokich horyzontach – nieodzowna! Nie warto na to oszczędzać. Rada za kilkadziesiąt tysięcy zaoszczędzi milionów zmarnowanych na walkę z chorobami tu lub na przeniesienie się w miejsce, być może, jeszcze gorsze. Proszę nie zawężać swoich możliwości: dziś Polak może pracować i w Libii, i na Syberii. Trzeba tylko chcieć. Nie święci garnki lepią.

Czym innym są bakterie nowe, jeszcze nie zaadaptowane. Te bywają nadmiernie groźne i nie ma potrzeby, by wywołane nimi choroby przechodzić. Kolejne wersje gryp azjatyckich, dżumy, cholery itp. są do uniknięcia, nasz organizm ich nie potrzebuje w tym sensie, można zapaść na nie będąc całkiem zdrowym. Stosunek między tymi drobnoustrojami a nami jest daleki od równowagi. W tym więc przypadku zetknięcia z bakteriami radykalnie unikamy. Dziecko należy natychmiast zabrać z zagrożonego żłobka – przedszkola – szkoły i epidemię przeczekać. Próbować przeczekać.

Może to bowiem być nieskuteczne. Bakterie unoszą się w powietrzu, siadają na naszej skórze – a jeśli trwa jakaś epidemia grypy, na którą sami nie chorujemy, to możemy być przekonani, że mamy je w sobie. Trafia i na dziecko. Jest dość obojętne, czy trafi ich tysiąc, czy milion. Jednak pięćdziesiąt, źle ulokowane, może zginąć. Dlatego w okresie takiej epidemii należy przestrzegać hasła; „Kaszłąc lub kichając zasłaniaj ręką lub nogą nos lub usta, a będziesz zdrowy lub chory”. W innych okolicznościach jest to raczej obyczaj towarzyski niż higieniczny.

Co do innych zabobonów XX wieku: słynny warszawski pediatra, dr Jan Bogdanowicz mawiał zawsze: „Dziecko w dzień powinno wyglądać jak świnka i pachnieć jak świnka”. W ten sposób dziecko spotyka się z bakteriami i uodparnia na nie. Czasem choruje – ale jest to wkalkulowane ryzyko. Kiedyś w warszawskim mrówkowcu, piętro pode mną mieszkało małżeństwo. Mieli znakomity plan: gdy ona poszła rodzić, on wynajął ekipę: pokoik dziecienny i drugi zostały wymyte, pomalowane emulsją z sufitem włącznie, podłogi chemolakiem, meble wytrzepane, wyniesione, wysterylizowane i przyniesione z powrotem... Potem raz na miesiąc mieszkanie myte było przy użyciu szlauchu (po wyniesieniu mebli)...

Jak żyję, nie widziałem dziecka równie chorowitego. Lekarze bywali tam średnio częściej niż raz w tygodniu. Higienę chwalili... No, trafili dzięki niej sporo pieniędzy!

Wylęgarnią bakterii – i to specjalnych, wyselekcjonowanych na złośliwość – są natomiast szpitale. Szczerze odradzam oddawanie tam dziecka. Wstrząs

psychiczny odgrywa ogromną rolę – i zwiększenie szansy wyzdrowienia, dzięki pobytowi w szpitalu, nie wyrównuje strat wskutek pogorszenia się stanu psychicznego oraz... dodatkowej możliwości zakażenia. Niektórzy lekarze twierdzą, że operacje bezpieczniej byłoby przeprowadzać na leśnej polanie niż w sali operacyjnej niektórych szpitali. O ile większość szpitali warszawskich jeszcze funkcjonuje jako tako, o tyle na „prowincji” bywa tragicznie. Bywa też i dobrze. Loteria!

Czasem pobyt dziecka w szpitalu jest nieodzowny. Jeśli jest to absolutna konieczność – trudno!

Trzeba pamiętać, że lekarze w Polsce (co tylko po części usprawiedliwione jest warunkami) ograniczają odwiedziny również w szpitalach dziecięcych. Przepisy te prawie zawsze można i należy obejść, trzeba jednak przy tym umieć zachowywać się kulturalnie. Musi Pan też stanowczo wbić żonie do głowy, że niedopuszczalne jest obchodzenie reżimu pokarmowego.

Zupełnym błędem jest również oddawanie małych dzieci (do wieku szkolnego) do wszelkich sanatoriów na dłuższe okresy. Mam w rodzinie przykład. Jest to ciężar na moim sumieniu, ale w ówczesnej sytuacji prawnej (*vide* GŁOWA DOMU) nie mogłem temu legalnie zapobiec. Mogłem wszakże dziecko po prostu z takiego sanatorium (gdzie skądinąd miało najlepszą opiekę) porwać. Nie zrobiłem tego. Dziś uczyniłbym to bez wahania – widząc rozmiary spustoszenia w psychice dziecka, jakie pobyt tam wywołał. A było to dobre sanatorium, ze znakomitą opieką.

Jeśli rzecz w klimacie – to zawsze można przeprowadzić się samemu. Mieszkanie w mieście wynająć komuś – i za to wynająć mieszkanie na wsi w odpowiedniej okolicy. Jeszcze coś powinno w kieszeni zostać. Praca też zawsze się znajdzie. Wysoko kwalifikowaną można wykonywać korespondencyjnie lub dojeżdżać. Inna czeka na miejscu. Trzeba tylko chcieć. Można też wysłać żonę z dzieckiem, przenieść się do wynajętej kawalerki – a mieszkanie podnająć. Wszystko da się zrobić. Powierzenie dziecka obcym w tak młodym wieku to ostateczność. Niestety, w wielu przypadkach idziemy na to – po najmniejszego linii oporu...

bezpieczeństwo

Jak Pan świetnie wie, słowa „zabezpieczać” i „ubezpieczać” są ulubionym wytrychem w naszych (pisałem to w r. 1987: chodzi o socjalistyczne – przyp. aut.) czasach. Z powodów jednak czysto ekonomicznych, by już o moralnych nie wspominać, „nasze czasy” się kończą i znów wrócimy do czasów, w których obowiązywać będzie zasada: „Kto nie ryzykuje, ten nie je”.

Priorytet dla bezpieczeństwa typowy jest w społeczeństwach opanowanych przez dwie kategorie istot: starców i kobiety.

Kobieta z natury pragnie bezpieczeństwa. Ona siedziała w jaskini i pilnowała potomstwa, a ochrona dostępu do jaskini była jej zadaniem pierwszoplanowym. Domagała się nieustannie większej ochrony – i ta, która się domagała skutecznie, miała największe szansę na wychowanie sporej gromadki dzieci.

Odwrotnie mężczyźni; do zdobycia mięsa niezbędne było ryzyko – i ten był najtłustszy, kto ryzykował najwięcej (w rozsądnych granicach). W ten sposób w walce selekcjonowały się odwaga i roztropność.

Ułatwione warunki życia spowodowały, że cechy te od paru-dziesięciu lat są zbędne i kobiecość zdominowała sferę społeczną, bo – jako ludzie leniwi – nie będziemy się przecież narażać, gdy nie jest to konieczne. Ze społeczeństwa zdrowych i silnych mężczyzn przemieniliśmy się w stado trutniów, tyjących i umierających na raka, zawały, ale w bezpieczeństwie.

Nie ma powodu, by cokolwiek innego mówić córkom: zabezpieczanie to ideologia w sam raz dla nich. Chłopców natomiast od owego umownego siódmego roku życia musi Pan umiejętnie wychowywać w kulcie ryzyka. Nie jest to trudne, mają ryzyko we krwi. Jednak system szkolny bardzo się stara, by te cechy wytrzebić – i dlatego trzeba przeciwdziałać.

Trzeba to robić inteligentnie, nie zmuszając do podejmowania zbyt ryzykownych decyzji, a nawet pozwalając, żeby żona próbowała ich od tego odwieść (by się przeciwko temu buntowali!). Trzeba podsuwać odpowiednie lektury i filmy. Trzeba też opowiadać właściwe eposy. Ich prawdziwość jest bez znaczenia: czytanie Karola Maya jest pożyteczne niezależnie od tego, czy Old Shatterhand istniał naprawdę, czy nie!

Jest to niewątpliwie okłamywaniem dziecka. Tylko w bajkach rycerz zwycięża smoka. W życiu zazwyczaj zwyciężają smoki. Jednak nie przypadkiem wszystkie narody rozwinęły się dzięki bajkom, w których opiewa się sukcesy rycerza, trupy jego poprzedników pomijając co najwyżej jednym zdaniem. Naród, który

opowiadałby dzieciom odwrotne bajki, daleko by nie zajechał. Lekturę *Przygód dobrego wojaka Szwejka* uważam za wybitnie w tym względzie szkodliwą... Zwłaszcza że niektórzy ze Szwejka robią bohatera – zgodnie, zdaje się, z intencjami Jarosława Haszka.

Ta taktyka jest ściśle związana z liczbą dzieci. By chciały one ryzykować, trzeba im powiedzieć, że zabicie smoka podwaja majątek – a szansa jest większa niż fifty-fifty. W rzeczywistości jest mniejsza, ale wówczas rozsądny człowiek nie będzie ryzykował, nieprawdaż? Ojciec dwóch – lepiej trzech, a jeszcze lepiej sześciu – synów może ich na walkę ze smokiem wysłać; ojciec jedynaka – nie.

Dlatego społeczeństwo mające duży procent jedynaków będzie zawsze społeczeństwem z zahamowaniami. Wbrew obawom ekonomistów nasz względnie duży przyrost naturalny będzie błogosławieństwem – o ile na czas zdejmie się bariery prawa dopasowanego do ery, gdy po strasznej wojnie marzyliśmy przede wszystkim o bezpieczeństwie.

Bariery zostaną zdjęte zapewne jeszcze przed wydrukowaniem tej książeczki (już są zdjęte, ale tylko częściowo – przyp. aut. 14 wrzesień 1990 r.).

Czy zdoła Pan syna przygotować do życia w takim świecie?

Czy potrafi on kochać ryzyko?

Jednym ze sposobów uczenia ryzyka – i uczenia rozsądnego ryzyka – są gry strategiczno-losowe. O tym osobno.

Ale hasło: „Kto nie ryzykuje, ten nie je” powinien Pan wyryć nad drzwiami do domu.

błąd

W edukacji dzieci błędy pełnią ważną rolę wychowawczą.

Dziecko uczy się o wiele lepiej i chętniej, gdy raz na jakiś czas dostrzeże błąd w podręczniku lub u nauczyciela – drobny błąd, oczywiście, by nie niszczyć autorytetu! W dawnych, dobrych czasach, gdy zecerzy nie robili błędów, niektóre gazety specjalnie popełniały ich kilka na numer, by bardziej przywiązać do siebie czytelników. Nikt nie kocha doskonałości!

Z drugiej jednak strony Pan ma być raczej szanowany niż kochany. Stąd też nie powinien Pan popełniać błędów...

Pewnym rozwiązaniem jest „autorytet odcinkowy”. W takim systemie rodzina czasem dworuje sobie z Pana żony, która robi błędy (ale nie na swoim terenie, by nikomu nie przyszło do głowy, że może podać placuszki z cykuta zamiast z cykorią) – a z kolei Pan może zabrać głos w jakiejś typowej sprawie kobiecej i dać się poprawić przez córkę (a nawet syna). W ten sposób zasada autorytetu zostaje utrzymana – a dzieci mogą mieć nadzieję, że z czasem dorównają rodzicom. Ideał powinien być trudny do osiągnięcia, ale nie tak całkiem niemożliwy.

Swoistym rodzajem błędu, często stosowanym jako sztuczka wychowawcza, jest rozmyślne przegrywanie z synem (lub córką) w rozmaite gry. Czasem trzeba – dla zachęty. Dziecko jednak nie może tego spostrzec, w przeciwnym razie obrazi się i zniechęci. Dzieci zaś są znacznie bystrzejsze, niż się na ogół sądzi.

Niektórzy ojcowie stosują inną technikę. Stale narzekają, że zdarza im się popełnić błędy (nawet niektórzy purytanie głośno wzdykają, jacy to oni są grzeszni...), ale dziecko nie ma sposobności tych błędów zobaczyć. Niemniej jednak nie traktuje ojca jako ideału nieosiągalnego.

Są też ojcowie, którzy z powodzeniem odgrywali niemal do dorosłości synów (z córkami udaje się to lepiej) rolę bezbłędnych decydentów. Czasem kończyło się to szokiem dla dziecka – ale od tego szoku nikt nie umarł, a wyniki wychowawcze mogą być dobre.

Różnorodność dróg... a wszystkie obiecujące!

Natomiast błędy popełniane przez dziecko są istotnym elementem nauki. Po to, by dobrze biegać, trzeba uczyć się przewracać. Jeśli żona chce uczyć dziecko chodzenia poprzez trzymanie za rączkę – to nie powinien Pan do tego dopuścić: lepiej niech chodzi o kwartał później, ale niech uczy się samodzielnie.

Samodzielność zakłada nie tylko eliminację błędów, ale też możliwość ich samodzielnego dostrzegania i oceny, co jest błędem. Również: oceny, co jest błędem w klasyfikowaniu błędów. Również: co jest błędem w klasyfikowaniu metod klasyfikowania błędów i tak dalej. Bardzo często dzieci inteligentnych rodziców nie spełniają oczekiwań, gdyż we wczesnym dzieciństwie oszczędza im się popełniania błędów (*vide* NERWICA). Jeśli wiedza przychodzi zbyt łatwo, nie wykształcają się mechanizmy zdobywania wiedzy (*vide* OGON OSŁA).

Tak więc, nie tylko należy pozwalać dzieciom popełniać błędy, ale też należy im samym pozwolić oceniać, czy popełniły błąd. Czasem jest to łatwe (gdy np. zbiją szklanę) – a czasem bardzo trudne (np. w plastyce).

Co do zbitych szklanek, jest to koszt edukacji. Proszę sobie policzyć, ile kosztowałoby posłanie dziecka do specjalnej szkoły kelnerskiej – a ile kosztuje kilkanaście szklanek. Czyż to drugie nie jest tańsze? Podobnie z masą niszczonych zabawek i innych rzeczy. Zwalczać należy jedynie bezmyślne niszczenie.

Uczenie się na błędach jest najlepszą formą nauki. Taniej będzie – ale nierównie skutecznie – uczyć się na błędach cudzych. Mimo to dobrze stosować i tę technikę...



bojaźliwość (matki)

Bardzo wielu ojców chce wychować synów na herosów – i w związku z tym chronią ich przed matką, świecąc przy każdej okazji przykładami własnej odwagi i zdecydowania. Kontakt z niewiastami grozi zniewieściałością! – mawia taki ojciec.

Przykład Achillesa tego nie potwierdza, ale przyjmijmy, że tak może się stać. Mimo to zbyt wczesne izolowanie od wpływu matki wcale nie pomaga w szczepieniu w synu odwagi.

Często bywa wręcz przeciwnie.

Świadomość, że symbolizowane przez matkę bezpieczne schronienie jest w zasięgu ręki, pozwala chłopcu zdobywać się na właściwe dlań wyczyny. Co więcej: wiedząc, że Tata je pochwali, chłopiec będzie się wyrwał spod skrzydełek matki. Natomiast chłopiec popychany do aktów odwagi, przekraczających jego chęci (*vide* HOMEOSTAZA) będzie tęsknił za mamusim fartuszkim i może wyrosnąć na zakompleksionego tchórza.

Dzieciom potrzebny jest i ojciec, i matka. W tym przypadku matka jako coś, od czego trzeba się odróżnić, i ktoś, przed kim można się popisać. To bardzo ważna rola. Nawet zupełnie idiotyczne zakazy matki nic nie szkodzą. Przeciwnie! Chłopiec, który przekona się, że złamanie zakazu matki niczym nie grozi, nabiera tym większej (nieraz wręcz przesadnej!) odwagi.

Pan, oczywiście, powinien w tych sprawach taktownie nie interweniować. Popieranie łamania zakazów jest błędem, ale popieranie takich zakazów też. Trzeba uprawiać trudną sztukę niedostrzegania. Ostatecznie nie musi Pan wiedzieć o wszystkim!

Nie musi Pan, rzecz jasna, tłumaczyć żonie, że jej zakazy wywołają w synu nadmierną odwagę. Jeśli jednak Pan to powie, to i tak albo nie uwierzy, albo mimo uwierzenia nie zdoła powściągnąć swego języka. Już dobra Natura zadbała

o to, by kobiety były jako matki wyposażone we właściwe cechy. Musi Pan przy tym czuwać, by nie wyrobić w synach pogardy dla lęklivosti matki. Trzeba po prostu tłumaczyć, że kobiety są inne, mają inne przymioty – a oni mają je chronić. To działa znakomicie – podobnie jak działało tysiąc lat.

Pamiętam sprzed paru lat film *Hibernatus*. Opowieść o człowieku rozmrożonym dziś – po stu latach spędzonych w lodzie. Stwarza mu się sztuczną rodzinę, by nie doznał szoku. To tylko błaha komedia – ale jedna rzecz była ciekawa: zupełnie niespotykana obecnie agresywność, z jaką ów młodzieniec chronił „sвій” mniemany dom i „swoją” niby ciotkę – z zachowaniem absolutnej XIX-wiecznej grzeczności. Wydaje się, że autor scenariusza i reżyser dobrze to zaobserwowali. Sądzę, że wiele dzisiejszych kobiet z żalem patrzyło, ile niepotrzebnych trudności zwała się na nie – bo mężczyźni zapominają o swoich obowiązkach wobec kobiet.

Ciekawe, czy upadek Sparty zawdzięczać należy temu, że wyhodował się tam typ matki – Spartanki, tak bezlitosnej i nieczulej, że z dzieci zamiast wojowników zaczęły wyrastać nedorajdy?

byk, za rogi wzięty

Gdy w domu pojawia się problem, ma Pan zasadniczo dwie drogi postępowania.

– Udawać, że się problemu nie dostrzega, i albo nie robić nic, albo podejmować pośrednie działanie, tak aby nikt się w tym nie połapał.

– Wziąć byka za rogi.

Trzeba się dobrze zastanowić przed podjęciem decyzji. Bardzo wiele problemów istnieje bowiem do dziś tylko dlatego, że ktoś je nie tylko dostrzegł, ale i nazwał. Z tą chwilą zaczęły one istnieć w świadomości. Jeśli zaczęły istnieć – to trzeba było coś z nimi zrobić. Gdy na akcję nastąpiła reakcja (*vide* HOMEOSTAZA), układ znalazł się w punkcie mniej więcej równowagi – i tak może sobie trwać latami. Pozostawienie go w spokoju mogłoby natomiast spowodować, że albo sam zniknie, albo przewali się (*vide* KATASTROF TEORIA).

Jeśli jednak już się Pan za problem wziął, to im szybciej Pan go rozwiąże – tym lepiej (zakładam, że nie weźmie się Pan za problemy nierozwiązalne?). Operacja przeprowadzona szybko i składnie – choć wywołać może protesty zainteresowanych – jest lepsza od ślimaczenia sprawy.

Tak więc: przemyśleć – zdecydować, czy coś robić – zdecydować co robić – to wszystko może trwać długo.

Ostatni etap: zrobić – powinien być szybki.

Byk ma sporo siły. Przez chwilę można go trzymać za rogi. Po jakimś czasie otrząśnie się z przeciwnika. Znam przypadek Pana, który chciał skierować syna na zupełnie rozsądne studia. Niestety, zaczął o tym mówić niezdecydowanie. Natychmiast wywołało to reakcję oporu i w rezultacie chłopak na złość tacie odmroził sobie uszy. Wybrał inne studia. Po dwóch latach zmieniał kierunek...

cel wychowania

Jeśli sądzi Pan, że będzie to najważniejszy fragment książki, to ulega Pan złudzeniu – popularnemu, niestety, w dzisiejszych czasach. Przykład: tysiące architektów zbierają się kilka razy do roku – a to w Singapurze, a to w Vancouver – i dyskutują nad zadaniami, jakie winna spełniać architektura. Sumptem UNESCO i podobnych tworów wydawane są na ten temat opasłe tomiska. Tylko w domach i miastach coraz ciężiej wytrzymać.

Nie dajmy się zwariować! Z drugiej wszak strony pewne generalia trzeba rozpatrzyć. Dwie są skrajnie przeciwne szkoły.

– Pierwsza opiera się o twierdzenia behawiorystów (co prawda jezuici w XVIII w. empirycznie doszli do tychże praw), że dziecko można rozwinąć w dowolnie wybraną osobowość pod warunkiem całkowitego opanowania steru wychowania dostatecznie wcześniej (jezuici twierdzili więcej: jeśli powierzyć im dziecko przed piątym rokiem życia; dziś za tę granicę uważa się raczej drugi rok).

– Druga uważa, że chęć osiągnięcia z góry zadanego celu jest absurdalna. Jedni uważają to za niemożliwe, inni za możliwe, ale szkodliwe. W konsekwencji opowiadają się za „nieskrępowanym rozwojem osobowości”, za „wydobyciem pełni zdolności” itp.; slogany te zna Pan, oczywiście, gdyż w XX w. szkoła zyskała przewagę. W USA rodzice z warstwy „oświeconej” nie wtrącają się nawet, gdy rozwijane naturalne zdolności sprowadzają się do genialnego wręcz tłuczenia talerzy. Zauważmy dwie rzeczy.

– Szkoła pierwsza nie wymaga założenia *tabula rasa* (czyli: „umysł noworodka jest czystą kartką, można na nią wpisać dowolną treść”). Podobnie twierdzenie: „Mogę spowodować, by młody pęd rośliny rósł pod dowolnym kątem” nie wymaga założenia: „Łodyga nie ma żadnego określonego kierunku wzrostu”. Pęd dąży ku górze (geotropizm ujemny), a mimo to manewrowanie światłem da pożądaný efekt.

– Z drugiej strony z faktu, że dziecko można dowolnie ukształtować, nie wynika, że należy to robić. Ja rozumiem: nie udało się Panu zostać sławnym podróżnikiem–pisarzem–fotografem (niepotrzebne skreślić) i teraz oto otwiera się szansa: Pański syn przy odpowiednim wysiłku z Pana strony może to osiągnąć. Kusi, nieprawdaż? Wstrzymajmy się na chwilę.

Dawniej te sprawy były proste. Najstarszego syna kierowano na wojskowego – i, konsekwentnie, gdy tylko powstał *vacat*, kupowano (bądź „zaklepywano” dzięki wpływom tradycji, zasług itp.) np. stanowisko pułkownika 7 regimentu;

drugi syn szedł na księdza, trzeci na naukowca lub artystę. W niższych sferach było podobnie: syn kowala zostawał kowalem, drugi szedł na księdza, dopiero trzeci udawał się do miasta, gdzie miał pewną swobodę wyboru.

Taki układ miał kilka zalet. Zamiast futuromantów usiłujących przewidzieć, jakie zawody będą potrzebne w roku 2000, działał automatyzm: z pokolenia na pokolenie odtwarzała się ta sama struktura zawodowa, a ewentualne zmiany potrzeb społecznych zaspokajali ci „trzeci synowie”. Co ważniejsze jednak, można śmiać się z „pułkownika” mającego pięć lat (a i tak bywało), lecz miało to potężną zaletę – nikt nikogo nie starał się wygryźć ze stanowiska, co dziś, przy systemie swobodnego dostępu do wszelkich urzędów, pochłania 75% energii umysłowej zdolnych i uczciwych z natury ludzi.

Historia uczy jednak, że ustroje o bardziej zdemokratyzowanym sposobie selekcji kandydatów do urzędów z powodzeniem konkurują z poprzednimi (przynajmniej przez pewien czas, bo w miarę jak znikają wszelkie bariery i szansę stają się idealnie równe, okres walki o właściwe stanowisko tak się wydłuża, że osiąga się je dopiero w wieku zgrzybiałym, stąd zgryźliwa uwaga Jana Anouilha: monarchia jest ustrojem lepszym od republiki, gdyż tam istnieje szansa, że w chwili śmierci króla następcą ma 20 lat – podczas gdy w republikach rządzą Adenauer, Czang-Kaj-szek, de Gaulle i Mao-Ze-Dong...). W systemie, w którym każdy, może walczyć o stanowisko odpowiadające jego mniemanym zdolnościom (mniemanym!), daje znać o sobie prawo Petera: „Człowiek awansuje tak długo, aż znajdzie się o szczebel za wysoko w stosunku do swych umiejętności; wtedy nie ma już podstawy do awansu – i na tym szczeblu pozostaje się do końca kariery...”.

Przejdźmy na grunt prywatny. Żona Pańska może się uprzeć i zasadzić Waszego trzylatka do pianina na 6 godzin dziennie. Tą drogą istotnie wychowano wielu wirtuozów klasy wyższej niż średnia. Pytanie jednak: ilu straciła ludzkość jeszcze wyższej klasy matematyków, szewców, hokeistów, malarzy, marynarzy, polityków itd., itd. dzięki tej edukacji? Odpowiedź: prawie tyluż!

Wychowanie dziecka tak, by miało osobowość z góry upatrzoną, podobne jest następującemu: upatrzyliśmy sobie ideał urody, modelujemy go w gipsie, robimy metalowy negatyw – i zakładamy ten gorset dziecku, by po wyrośnięciu przybrało taki właśnie kształt! Przy dodatkowych zabiegach fizjologicznych jest to teoretycznie zapewne możliwe, ale tak postępujących rodziców nazwałby Pan szaleńcami, nieprawdaż?

Gorzej! Widząc znakomite zarobki, np. programistów lub pianistów, może Pan

skierować cały wysiłek na doskonalenie umiejętności, jakie dziecku przydadzą się w tych zawodach. Niestety, może się po jego dojściu do pełnoletności okazać, że komputery programują się same, a ludzkość w wyniku inwazji nowej mutacji wirusa bezbolesnego zapalenia ucha środkowego (jest taki!) kompletnie ogłuchła. To pierwsze jest prawie pewne, to drugie – prawie niemożliwe, ale kto wie? Urzędy planujące olbrzymie nakłady na szkolenie programistów (w przeciwieństwie do pianistów) wydają się wierzyć w rzecz nieprawdopodobną: 20 lat nic się w komputerach nie zmienia.

Mając więc w oczach postać rodzicielki potworków z *Człowieka śmiechu* Wiktora Hugo (baba krępowała się silnie w pasie i na zamówienie impresariów cyrkowych produkowała np. płasko-głowe karły), porzucamy myśl o wychowaniu w duchu szkoły pierwszej – choćby cel miał być tak zbożny, jak próba wychowania świątobliwego anachorety. Czy to znaczy, że skłaniam się ku stanowisku drugiej szkoły?

Proszę Pana! Całkowicie swobodnie i naturalnie zachowywać się może tylko małpa, a i to pod warunkiem obfitości bananów i braku w okolicy serwala czy węża Kaa. Cała cywilizacja to odejście od naturalności. Fakt, że od kilkudziesięciu lat przeżywamy regres cywilizacji, nie oznacza, byśmy winni już dojść do szczebla pawiana!

Z dziecka wychowywanego metodą „naturalną” bynajmniej nie wyrośnie bandzior i morderca – o ile nie będzie miało takich rodziców ani nie będzie oglądało kryminałów w TV (fala przestępczości w USA to łączny skutek TV i wychowania – żaden z tych czynników z osobna nie jest pod tym względem szkodliwy; kryminał z negatywnym, mimicznym choćby tylko, komentarzem rodziców jest umoralniający, gdyż dziecko odczuwa potępienie zbrodni). Zabraknie mu natomiast pewnej liczby nawyków, które __nie mogą być wpojone przez przykład. Dziecko jest spostrzegawcze, ale nie będzie zdolne np. uchwycić samodzielnie skomplikowanego systemu pierwszeństwa przy wychodzeniu przez drzwi (*vide* TETYDA). Oczywiście, w wieku kilkunastu lat przeczyta jakiś podręcznik i nauczy się – ale nigdy nie nabierze odruchowej pewności siebie w takich sytuacjach, jaką ma właściwie poinstruowany pięciolatek.

Konkluduję: całkowita swoboda rozwoju to szkodliwa utopia. Pamięta Pan książkę Wilhelma Goldinga *Władca much* o regresie kilku i kilkunastolatków pozostawionych w warunkach naturalnych, tj. na bezludnej wyspie (*nota bene* dla człowieka dziś warunki naturalne to materac, kaloryfer i tramwaj – na koniu, trawie i przy ognisku czuje się całkowicie nienaturalnie)? System zaś

wychowywania „na kogoś” dobry byłby jedynie w ramach feudalnego ustroju, gdyż najdokładniejsze nawet przygotowanie dziecka do wybranej roli (gdyby się udało) nie usunie mu z drogi ewentualnej, bardziej utalentowanej konkurencji.

Pozostaje więc droga pośrednia: wyposażenie dziecka w niezbędne hamulce, bezpieczniki i automatyczne odruchy społeczne – bez specyfikacji, jakiemu celowi mają służyć. Na specjalizację (*vide* SPECJALIZACJA) przyjdzie czas.

Jest Pan rozczarowany? Uważa Pan, że bez „Celu” (z dużej litery) nic się nie osiągnie? Hmm, ewolucja nie stawiała sobie za cel „stworzenie znakomitego biegacza” – a próbował Pan ścigać się z np. antylopą? Syn Pana zapewne postawi przed sobą (może mu Pan go podsunie?) kiedyś jakiś cel – tym ponętniejszy, że własny. A jeśli ograniczy się do: „Chcę być uczciwym człowiekiem”? To pogratuluję Panu równie gorąco. A nawet może bardziej.

cele taktyczne i strategia

Bardzo wielu rodziców – zwłaszcza matek – nie jest zdolnych do myślenia kategoriami dalekiego horyzontu; bliskie interesy przesłaniają im przyszłość. Warto spróbować to przećwiczyć.

Na przykład dziecko coś niesie. Może się przewrócić i stłuc. Matka w takim przypadku jest skłonna mu odebrać przedmiot. Tymczasem wyrobienie w dziecku zręczności i pewności siebie może być warte ryzyka.

Choroba jest nieprzyjemna. Jednak przebycie choroby nieraz uodparma. Zetknięcie się z chorobą – hartuje. Czasem warto zaryzykować.

Mogę na dziecko wrzasnąć – i się uspokoi. Ale przy tym uodpornię dziecko na wrzask i przy tym dam przykład wrzeszczenia (*vide* IMITACJA). A jutro usłyszę je wrzeszczące akurat takim samym tonem.

Mogę zrobić coś sam – a mogę zlecić dziecku. Widzę, że robi to niechętnie... Lepiej zacząć samemu i poprosić o współpracę. Następnym razem będzie chętniejsze.

W tej książce znajdzie Pan dziesiątki podobnych przykładów. Zazwyczaj drobny zysk dziś daje dużą stratę jutro lub za dziesięć lat. A czasem tylko małą stratę.

Trzeba zawsze starać się postawić sobie taki problem: jaki będzie skutek długofalowy mojego działania? A w przypadku wątpliwości postępować tak, jak wskazuje najbliższa zasada moralna. Po to właśnie są Zasady (*vide* ZASADY). Zbierają one długofalowe doświadczenia – i ich skutki.

I jeszcze jedno. Rozmyślając o skutkach długofalowych nie należy zanadto uwzględniać skutków pośrednich i ubocznych – bo łeb może pęknąć.

Życie jest bardzo skomplikowane....

choroba i lekarstwa



Ludzi nie sposób podzielić na niskich i wysokich – wyraźnej granicy brak. Podobnie nie istnieją zdrowi i chorzy; każdy jest w jakimś stopniu chory. Absolutnie chorzy wachają kwiatki od spodu, a absolutnie zdrowy człowiek jeszcze się nie narodził i wobec postępów medycyny ma coraz mniejsze szansę.

Teoretycznie najlepiej byłoby nie kurować – zwłaszcza dzieci – lekami. Tak postępują np. wyznawcy Christian Science i niektóre sekty buddyjskie. Jest to jednak – zwłaszcza wobec dziecka – nadprzeciętnie ryzyko, gdyż inni się leczą (tyczy to zwłaszcza antybiotyków) i w ich organizmach rosną szczepy bakterii tak zjadliwe, by sprostać leczonemu organizmowi – co zazwyczaj równa się uśmierceniu organizmu nie leczonego. Postęp medycyny ustawił nas tak, że niekorzystanie zeń jest aktem desperacji. Schyliłbym z uznaniem przed nim czoła, ale jako ojca nie stać mnie na to i Panu też nie zalecam.

Pamiętać jednak należy, że lekarstwa nie wolno nadużywać: każda pomoc organizmowi (być może konieczna) dziś – to szkoda jutro; nie tylko dlatego, że lek na nerki na ogół szkodzi wątrobie, ale i dlatego, że oducza organizm wytwarzania własnych środków obrony.

Do zbrodni zaliczyć należy w szczególności podawanie piramidonu przy pierwszym objawie gorączki; organizm podnosi temperaturę, by szybciej zachodziły w nim reakcje chemiczne niezbędne do wytworzenia przeciwciał (są, owszem, choroby gdzie podniesienie temperatury jest niewłaściwe – o ile nam wiadomo). Podanie piramidonu w przeciętnej przypadłości to prostowanie kierownicy auta pokonującego zakręt, „by doprowadzić koła do stanu normalnego”.

Tak jak niewprawny szermierz zbyt szerokim ruchem paruje cios, dziecięcy organizm reaguje nieraz przesadnie. Kiedyś sprawdzając przed pójściem spać kołderkę mego – wówczas bodaj ośmiomiesięcznego – pierworodnego, zdumiałem się bijącą odeń falą gorąca (godzinę temu najnormalniej usnął...). Termometr

– i oboje nas ogarnęła panika: 41° C. Telefon do pogotowia, które przez godzinę nie przyjeżdżało, a po godzinie, jeszcze przed jego przybyciem, zmierzylśmy gorączkę powtórnie: 36,6° C... Licho wie, czy zwalczył w tym czasie pięć zabłąkanych laseczników czy dwadzieścia tysięcy gronkowców – w każdym razie uwinął się z tym szybko i skutecznie.

Pomny, że choroba jest normalnym stanem organizmu – człowiek całe życie zdrowy byłby jak roślina cieplarniana gotowa złamać się od pierwszego wietrzyku – nie będzie Pan panikował z byle powodu. Czasem jednak trzeba uznać dziecko za chore bezwzględnie. Tu więc kilka ostrzeżeń.

Do łóżka chodzącego dziecka (dwa – osiem lat) zapakować się nie da; zawsze wstanie, a jako że w łóżku jest się lżej ubranym, efekt bywa odwrotny zamierzonemu: raz rozgrzane pod kołdrą, raz półnagie na kołdrze... Lepiej ubrać ciepło i wynaleźć mało ruchliwe zajęcie w fotelu czy nawet na podłodze.

W łóżku winno leżeć dziecko nie mające sił albo ochoty chodzić. W takim wypadku proszę przypomnieć żonie (po całym dniu opiekowania ma ona zazwyczaj wszystkiego dość), by na 10 minut przed snem wyjęła je z łóżeczka, które należy prześcielić; chodzi o obniżenie temperatury materaca i pościeli. Bez tego zabiegu noc będzie dla dziecka dalszym ciągiem długiego, męcząco-nudnego dnia, a nie – porą snu.

Najważniejsza jednak sprawa, to wybór lekarza. Problem zawsze trudny i delikatny, a feminizacja pediatrii pogłębia go. Na ogół dziecko wędruje do lekarza rejonowego, jednak od wielkiego dzwonu (co poznać po tym, że żona domaga się od Pana poważniejszego zainteresowania chorobą) rodzice lubią mieć spec--medyka. Nie wnikając, czy jest to usprawiedliwione poziomem umiejętności konkretnego przedstawiciela (-lki) sztuki lekarskiej na co dzień, czy też chęcią wydania pieniędzy, by uspokoić sumienie, że „dużo się robi dla dziecka”, trzeba się z tym zgodzić – pod jednym warunkiem: wybieramy dobrego lekarza, ale jednego (o ile on sam nie zażąda konsylium).

Typowy jest – niestety – taki obrazek: rodzice wędrują z chorym do lekarza, wysłuchują diagnozy (*nota bene* proszę pamiętać: im gorszy lekarz, tym mniej chętnie tłumaczy; rzuca zazwyczaj kilka łacińskich terminów i każe ściśle przestrzegać łykania pigułek, co jest najczęściej sygnałem, że nie wie co dziecku jest i zapisuje lekarstwa na wszelki wypadek), biorą receptę – i niezadowoleni z jednej lub drugiej wędrują do następnego...

Niech Pan się zastanowi – lekarz coś stwierdził i coś przepisał. Jeśli pójdzie Pan do drugiego, to są dwie możliwości: zapisze to samo (stracony

czas i pieniądze) lub co innego. I wówczas kto zdecyduje, której kuracji się trzymać? Trzeci lekarz? A jeśli ten przepisze znów coś innego? A może Pan? To kup Pan sobie *Vademecum lekarza praktyka* i nie zwracaj głowy lekarzom – skutek będzie identyczny.

Z lekarzem winien rozmawiać Pan, żona natomiast winna wszystkie wskazówki zapamiętywać lub zapisywać, gdyż w gabinecie będzie Pan pamiętał wszystko, a poza nim zapomni Pan skromnych 10%, być może ważnych. Pytania: „Kiedy dziecko wyzdrowieje?” zadawać nie radzę w świetle uwagi na początku, raczej spytać; „Kiedy będzie mogło wstać (wyjść na ulicę, pójść do szkoły?)”. Ważne, by zrozumiał Pan mechanizm choroby rozpoznanej przez lekarza – szczegóły jakoś się dopasuje.

W wypadkach bardzo poważnych (ponad 30% szans śmierci) z lekarzem winien Pan rozmawiać sam.

Radzę w rozmowie z lekarzem – przed wypisaniem recepty – zaznaczyć, że należy Pan do szkoły zalecającej minimum niezbędnych leków. Słudzy Eskulapa są dziś sterroryzowani przez wszechwiedzących pacjentów i na wszelki wypadek zapisują 2 razy tyle medykamentów co potrzeba, by nie zostać obrażonymi za lekceważenie choroby. Taka wzmianka będzie zapewne przyjęta z wdzięcznością. Raz zdarzyło mi się nie zaznaczyć tego na początku, lecz dopiero po otrzymaniu sążnistej recepty z super-antybiotykami; lekarka spojrzała na mnie dziwnie, podarła toto i wypisała 3 razy krótszą bez antybiotyku; dziecko wyzdrowiało na trzeci dzień.

Podawanie lekarstw dziecku to osobna szkoła jazdy. Zdecydowanie odradzam tłumaczenie, że jest to znakomity cukierek; dziecko da się oszukać raz, a zaufanie straci na kwartał (trzylatek) lub do końca życia (ośmiolatek). Zawsze trzymałem się szkoły: „To jest bardzo niedobre (uwaga! farmaceuci coraz więcej lekarstw produkują w całkiem smacznej postaci), ale trzeba zjeść”. Dziecko rozumie na ogół konieczność, w ostateczności popartą stanowczym i spokojnym użyciem siły. Kontrast między groźną zapowiedzią a mniej groźną rzeczywistością spowoduje, że drugą porcję połknie być może z obrzydzeniem, ale z mniejszymi oporami. Oczywiście, nie muszę przypominać, że zalecone lekarstwa trzeba zużyć wszystkie i zgodnie z receptą.

Na zakończenie temat smutny. Dziecko chore nieuleczalnie bądź trudno uleczalnie. Część rodziców z rozpaczki jeździ do coraz droższych sław, część ucieka się do pomocy znachorów. Teoretycznie jest całkiem możliwe, że jakieś skuteczne kuracje istnieją poza oficjalną medycyną – jest to jednak mało

prawdopodobne. Trudno to potępiać – ale udających się do znachora trzeba przestrzec, że stokroć prawdopodobniejsze jest wpadnięcie w łapy wydrwigrosza lub, co gorsza, szarlatana. K obici v są dla nich idealnym żerem, musi więc Pan trzymać rękę na pulsie i nie zezwalać na żadne eksperymenty, jeśli nie rozumie Pan ich celu, a mogą pogorszyć stan dziecka. Jeśli nic już pogorszyć go nie może, niech Pan przynajmniej postara się o stwierdzenie jakiegokolwiek lekarza, że takie działanie (choć on sam uważa je za niesłuszne) może mieć jakikolwiek sens.

Czasem wszelkie wysiłki nie zdają się na nic – trzeba wówczas pamiętać, że nieuleczalnie chorzy stanowią (*vide* RÓŻNORODNOŚĆ) istotną część populacji i nie powinni być od niej izolowani. Ślepy ma szansę rozwinięcia zmysłów (np. węchu) do granic nam niedościgłych – co może być w pewnych okolicznościach bardzo ważne. Kalekami byli wielcy uczeni i artyści. Życie każdego człowieka ma sens i tę prawdę należy wpoić w dziecko i w siebie (zamiast zniechęcać się lub otaczać je nadmierną troską).

Dziecko kalekie potrzebuje ułatwień technicznych, a poza tym zupełnie normalnego traktowania; w przeciwnym razie rozkleja się moralnie.

A w ogóle – proszę raz jeszcze sobie uświadomić: choroba to normalny stan organizmu. Jednym drga powieka. Inny ma katar. Ktoś inny – odrę. Inny – padaczkę. A ktoś musi być chory jeszcze ciężiej. A inny jeszcze ciężiej. Taka statystyka. Wreszcie jeszcze jedno. Po uodpornieniu na większość chorób, zwłaszcza dzięki przejściu „chorób dzieciennych”, siedmiolatek wkracza w szczególny okres: niemal nie choruje! Należy wtedy zacząć dziecko bezlitośnie hartować. Wystarczy tu po prostu nie hamować jego naturalnych skłonności. A żonie kategorycznie zapowiedzieć, że jeśli chcącemu wyjść w samej podkoszulce dziecku każe założyć sweterek – to powyrywa jej Pan nogi z właściwego miejsca!

cybernetyka

Myślenie cybernetyczne to dokładnie coś innego niż zapewne Pan sądzi. Nie ma wiele wspólnego z matematyką, informatyką, techniką, a zwłaszcza z jakimikolwiek obliczeniami.

Myślenie cybernetyczne polega na traktowaniu obiektu, może to być dziecko – rodzina – naród – państwo – ludzkość, jako homeostatu (*vide* HOMEOSTAZA) i zastanawianiu się, w którą stronę i jak układ ten zareaguje, jeśli podziałam na niego w określony sposób.

Czy zacznie nerwowo drgać? Czy zdecydowanie powróci na swoje miejsce? Czy pozwoli się biernie przesunąć (co nasuwa podejrzenie, że coś z nim nie jest w porządku)?

O ile się przesunie, jak będzie drgać? – to już w zasadzie nie powinno cybernetyka interesować. Dlatego cybernetyka jest nauką idealnie dopasowaną do działania w układach biologicznych i społecznych.

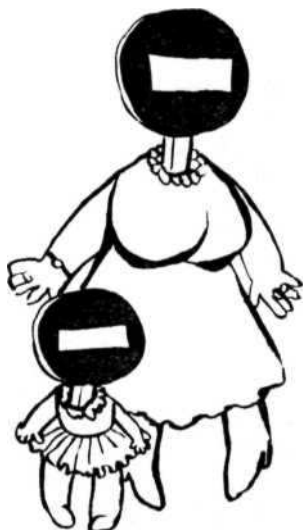
Z tego powodu przedstawiciele nauk opartych o matematykę usiłowali najpierw cybernetykę zniszczyć, a gdy się nie udało, oswoili ją, matematyzując i technicyzując.

Przy tym, rzecz jasna, zginęła podstawowa zasada cybernetyki: „Układ jest «czarną skrzynką», jego budowa nas nie interesuje, chcemy wiedzieć, jaka jest zależność między bodźcem a reakcją?”. Oczywiście wszelkie „sztuczne kończyny” i komputery nie są „czarnymi skrzynkami”, budowa ich znana jest całkowicie i nie może kryć żadnych niespodzianek.

Piszę to, aby podchodził Pan do wychowywania dzieci i życia w rodzinie (*vide* DZIECKO) jak naukowiec. Ale nie jak matematyk, jak cybernetyk właśnie. Obserwując, eksperymentując i – wyciągając wnioski.

To jest bardzo pożyteczna zabawa!

czym skorupka...



Kobiety są płcią homozygotyczną. Stąd zazwyczaj osobniczki tej płci są bardziej zrównoważone, mniej odbiegają od przeciętnej. Tym większej wobec tego wagi nabierają nawyki wynoszone z domu – a dziewczynki zazwyczaj więcej i dłużej przebywają w domu niż chłopcy.

Do tego dochodzi podobieństwo genetyczne...

Jeśli więc chce się Pan dowiedzieć, jaka będzie Pańska narzeczona w roli Pańskiej żony – należy dobrze przyjrzeć się kandydatce na teściową. Wizyty narzeczonego w domu przyszłej oblubienicy były całkiem niezłym pomysłem, pod warunkiem że przyszły mąż zamiast gapić się w narzeczoną jak sroka w gnat, patrzył na matkę. Nawet jej wygląd zewnętrzny jest ważny, ale jeszcze ważniejsze są odruchy.

W dzisiejszych, swobodnych czasach możliwości narzeczonego są o wiele większe. Można np. wpaść nie zapowiedzianym (jeśli narzeczona ma telefon, można go łatwo zdalnie zepsuć, w ostateczności przerywając drut (potem można się zasłużyć przy jego sprawnej naprawie!)). Wówczas należy bacznie przyjrzeć się, czy przyszła teściowa chodzi po domu zaniedbana? Tak? To tak samo będzie za lat parę chodziła i Pańska żona.

Ona będzie – całkiem szczerze – zaklinać się, że zdaje sobie z tego sprawę, że ją to razi, że ona nigdy... Że ona tego wręcz nienawidzi! Nic to nie pomoże. Po urodzeniu dziecka w kobiecie zaczynają grać archetypy – i działa instynktownie, jak mróweczka. Jeśli w jej dzieciństwie matka oblizywała smoczek „dla heieny” to ona również któregoś dnia z przerażeniem stwierdzi iż smoczek oblizuje. Jeśli jej matka pokrzykiwała na nią w charakterystyczny sposób, ona zacznie ją teraz naśladować i nawet tego nie zauważy. Będzie też, oczywiście, używać tych samych fraz. I będzie imitować porządek – lub

nieporządek – który jej matka utrzymywała w kuchni i w pokojach.

Rodzice panny na wydaniu świetnie zdają sobie z tego sprawę i jeśli zależy im na wydaniu jej za mąż – cynicznie oszukują swym zachowaniem. Dlatego dobrze jest wpaść niespodziewanie, zaaranżować nieoczekiwaną i trudną sytuację...

A co do własnych dzieci, to zacząć oszukiwać należy od zaraz! Dobrze jest np. nabierać małeńkie dziecko, że jesteście porządnicy. Małe dwadzieścia lat takiego oszustwa – i może uda się wychować dziecko, które już bez wysiłku będzie utrzymywało porządek. Tak właśnie rozwija się kultura.

Ja, przyznaję, na taki heroizm się nie zdobyłem...

Siła nawyków wyniesionych z dzieciństwa – a być może zakodowanych genetycznie – jest tak wielka, że walka z nimi jest praktycznie beznadziejna. Znani panią, która jest lekarką. Pani ta mieszała – sam słyszałem! – wykłady dla matek o nieprzeżrzeniu dzieci. Chodząc po domach bezlitośnie zdzierała z łóżeczek puchowe beciki i pierzynki...

Po czym urodziło się jej dziecko, dziewczynka zresztą.

Wpadłem z wizytą – i stwierdziłem z przerażeniem, że dziecko leży w dusznym pokoiku, okutane w trzy warstwy czegoś, plus pierzynka, a na wierzchu – poczwórnie złożony kocyk!!! Nie wytrzymałem i zrobiłem delikatną wymówkę. Pani doktor załamała ręce: „Ja wiem, ja nie powinnam... ale to takie malutkie, może się przeziębici...”.

Niech Pan sobie wybiję z głowy, że poprzez proces rozumowy cokolwiek uda się Panu zmienić. Kobiety są znacznie bliżej Natury niż my – i działania instynktowne mają u nich zawsze pierwszeństwo przed racjonalnymi.

I tak jest dobrze. Jest to pewien hamulec nałożony na naszą pomysłowość. Ostatecznie, niańczeni przez kobiety przeżyliśmy ładne parę tysiącleci i – żyjemy. Jest to pewna gwarancja, a kto wie, co by się stało, gdybyśmy zaczęli eksperymentować?

Właściwe działanie polega więc nie na próbie zmiany nawyków żony, tylko na wybraniu sobie żony z odpowiednimi nawykami.

I tyle tylko mogę Panu doradzić. Gdy zło już się stało, lepiej zdecydować się na leczenie objawów, np. zaopatrzyć się w leki usuwające potówki u dziecka, niż łamać nawyk przegrzewania go.

Ja próbowałem. Powiedzmy, że udało mi się to – częściowo.

Zdrowie też straciłem przy tym tylko częściowo...

demografia

Co jakiś czas rozmaici publicyści – a nieraz i poważne urzędy państwowe – próbują wpłynąć na Pańskie decyzje prokreacyjne, strasząc na zmianę to przeludnieniem, to wyludnieniem kraju. Za tym kryją się to podatki od bezdzietności, to znów kary za posiadanie dzieci.

Pańskim podstawowym obowiązkiem jest nie zwracać na to uwagi.

Jest jasne, że (*vide* HOMEOSTAZA) jakakolwiek polityka populacyjna nie byłaby przyjęta, najdalej za 25 lat zostanie uznana za katastrofalną i urzędnicy podejmą zdecydowane działanie w przeciwnym kierunku. Tak więc, pozostając głuchym na te argumenty, tylko ułatwi Pan sytuację państwu w dalszej perspektywie.

Prognoz demografów – zresztą zawsze fałszywych – nie należy w ogóle czytać! Po co się denerwować? I – co to Pana obchodzi? Co Pana w Krakowie obchodzi statystyczne zagęszczenie dzieci w Gdańsku, Montrealu lub Tananarivie?

To nie państwo ma Panu dostarczać informacji – to Pan poprzez poczęcie dziecka ma dostarczać informacji państwu! Nie tylko produkcyjnych, ale i o naturalnych trendach populacyjnych! Zachowujmy naturalne środowisko – a środowisko naturalne to takie, gdzie się w decyzje prokreacyjne nie ingeruje! Zwolennik ochrony środowiska nawołujący do ograniczania urodzin to sprzeczność sama w sobie.

Z drugiej jednak strony ludzie od chwili zrozumienia mechanizmu rozrodczości próbowali weń indywidualnie ingerować. I, jak widać, dopóki były to decyzje jednostkowe, nic się strasznego nie działo. Katastrofy przyszły, gdy decyzje takie podejmowało się o całych kolektywach i populacjach.

Dlatego proponuję wyjście kompromisowe: starać się zmniejszać lub zwiększać prawdopodobieństwo przyjścia potomstwa na świat, al^e w zależności od Pana sytuacji osobistej – a nie zbiorowej.

Natomiast środki zapewniające nieurodzenie się dziecka (vasek-tornia, przerywanie ciąży) są wręcz nieestetyczne, by nie powiedzieć przestępcze. Mówmy jednak o estetyce: urok życia polega na niespodziankach.

Podobnie i podejmowanie stosunków tylko po to, by coś spłodzić, kłóci się z estetyką. Do diabła, trochę przyjemności też się należy.

Trzeba po prostu zdać się na przypadek. Dzięki temu rzeczywistość może nas modyfikować. Jeśli walczy Pan w życiu zawodowym z nadmiarem planowania, to niech Pan nie wprowadza CUP-u do domu!

Niektórzy rodzice usprawiedliwiają swe zboczenie polegające na czytaniu

roczników statystycznych, względami ekonomicznymi: chcą wiedzieć, czy nie czynią krzywdy potencjalnemu potomkowi. Bo po co go rodzić – by narażać na straszliwą konkurencję w przeludnionym świecie? Z czego wynikałoby, że życie w Mauretanii jest bujne i bogate (duże bogactwa naturalne, jedna setna mieszkańca na kilometr kwadratowy), natomiast w Hong-Kongu – szare i biedne (żadnych bogactw naturalnych, paręset tysięcy na milę kwadratową).

Panie! Odpadła Panu w szafie jakaś noga – no, to *Rocznik statystyczny* może się przydać.

Jeśli nie – to *Rocznik* za okno. Won!

diabła Belzebubem

Nieraz zdarza się, że małe dziecko się „zatnie”.

Sytuacje takie zdarzają się. Najlepiej je po prostu przeczekać – filozoficznie patrząc, jak dzieciak wali głową o podłogę, wrzeszczy i kwiczy (czasem trzeba przy tym siedzieć na zakneblowanej żonie – oczywiście, każda chęć ratowania dziecka doprowadzi do wzmożenia jego wrzasków dążących do postawienia na swoim, więc nie może Pan dopuścić, by żona dała mu teraz komfort psychiczny). Jednak z jakichś powodów nie ma Pan na to czasu – dajmy na to, trzeba w tej chwili wyjść z dzieckiem na spacer, a ono nie chce. Trzeba szybko zrobić w myśli przegląd rzeczy, które dziecko ceni. Na przykład, ukochanego misia. Przystępujemy teraz do operacji wyganiania Diabła Belzebubem.

Wyczekując momentu, kiedy wyczerpane dziecko nieco przycicha, oświadcza Pan: „Zabieram Ci Twojego misia, a potem idziemy na spacer”.

Jeśli groźba jest realna i dostatecznie duża, reakcją dziecka będzie: „Oddaj mojego misia!” Wówczas przystępujemy do pertraktacji z pozycji siły. Zostaje zawarty honorowy kompromis: „Idziemy na spacer, ale miś pozostaje na miejscu”.

W ten sposób dziecko uratowało twarz, nie poddało się – a my możemy pójść z nim na spacer.

Uwaga! Ta metoda nie powinna być stosowana częściej niż raz na tydzień. Poza tym właściwa jest dla dzieci od półtora – do czterech lat (dalsze ograniczenia *vide* PRZYMUS). Mimo tych ograniczeń może być stosowana i później, ale tu już trzeba sposobów bardzo subtelnych i poczynienia kroków przygotowawczych (tj. zapowiedzi groźby „Belzebub” przed wystąpieniem sporu: trzeba go przewidzieć!!). Wymyślanie takiej groźby, gdy spór już trwa, jest niepedagogiczne – i na ogół nieskuteczne, gdyż dziecko przejrzy naszą grę.

dysedukacja

Póki co w Polsce dominuje koedukacja. W wyniku tego dziewczęta wchodzą w życie bardzo późno (dziewiętnastolatka bywała ongiś uważana za nieledwie starą pannę!!) z bagażem wiedzy zupełnie zbędnej (*vide* MATEMATYKA), którą to wiedzę mądra Natura w ciągu miesiąca od zdania matury usuwa z ich główek. Za to nie mają zupełnie wiedzy im potrzebnej, w dodatku wiedzy zgodnej z ich zainteresowaniami i zdolnościami.

Poza domaganiem się dysedukacji niewiele Pan może poradzić. Zawsze jednak pozostaje posłanie córki na kursy uczące użytecznych przedmiotów. Mogą to być różne kursy.

- Języki. Dziewczynki, z uwagi na lepszą pamięć i zdolność adaptacji, szybciej uczą się języków. Dobra znajomość kilku języków na pewno pomoże.

- Rysunek, plastyka i muzyka. Kto będzie uczył estetyki Pańskie wnuki? Komputer???

- Rytmika i taniec, co chyba oczywiste.

- Psychologia dziecka i psychologia małych grup. Wcale niezłe dla inteligentnej dziewczyny z miasta uniwersyteckiego (na wykłady można chodzić nie będąc studentem!). Uwaga: dziewczynie nieinteligentnej mogą zaszkodzić, hamując naturalne odruchy!

- Technologia żywienia. Sądzę, że bez ujmy dla smaku, nasze wydatki na żywność mogłyby ulec dwukrotnemu zmniejszeniu, gdyby polskie dziewczyny były fachowczyniami. I proszę tu mi nie mówić, że zapędzam kobiety do garów! One i tak będą zapędzone do garów – tyle że będą się przy nich męczyły jako amatorki.

- Pielęgniarstwo. Cóż stoi na przeszkodzie, by co druga matka umiała rozpoznać typowe choroby, aplikować leki – a nawet zastrzyki? Czyż nie jest to wiedza potrzebniejsza od rozkładania wielomianów na czynniki?

- Krój i szycie. To chyba też oczywiste.

- Dykcja, znajomość literatury itp. – jak w punkcie drugim.

Samych wymienionych przedmiotów starczyłoby dla przyzwoitego gimnazjum dla dziewcząt, na którego absolwentki popyt byłby niesamowity. Jakby się zmieniło nasze życie, gdyby domy prowadzone były fachowo i oszczędnie, dzieci dobrze wychowane i wychowywane w kulturalnej atmosferze, a taksówkarze nie woziliby bachorów z lekką grypką do kolejek przed zapracowanymi lekarzami! Świat dziś sam sobie robi kłopoty (być może w ramach walki z bezrobociem...) – ale nas na to nie stać.

Może Pan częściowo Swojej córce ułatwić życie. Jeśli Pana na to stać...

dziecko

Jak Panu wiadomo z wykładów fizyki, światło jest równocześnie promieniowaniem korpuskularnym i ruchem cząstek. Podobne rozdzielenie jaźni powinien Pan mieć przy podejściu do swego potomka.

To jest coś niepowtarzalnego, oryginalna połówka Pana i połówka Jego żony. Jest to wdzięczny kłębuszek emocji, urocze stworzonko, żywa istotka, Pańska nadzieja i cel Pańskich zabiegów, dziedzic Pańskiego majątku (choćby i kulturalnego wyłączenie), istota nieobliczalna itp...

A z drugiej strony – to jest pewien układ pierwiastków, bardzo kunsztownie powiązanych, o schematycznych reakcjach na pewne bodźce, podlegający pewnym prawom.

Myślenie o tym w tych drugich kategoriach nie powinno Panu w niczym zakłócać uczuć do dziecka na poziomie pierwszym. Traktując dziecko natomiast jako istotę wyłącznie ezoteryczną, może Pan łatwo wyrządzić mu krzywdę. I to Pan będzie za to odpowiedzialny, gdyż żona ma prawo tak myśleć. Ona nawet powinna tak myśleć! Pan – nie!

Dziecko podlegać powinno normalnej – tak! – tresurze w myśl wskazań Pawłowa i innych, po to, by zostało wyposażone w niezbędne w przyszłości odruchy. A jakie odruchy są niezbędne? O tym mówi doświadczenie pokoleń – niech Pan o nim nie zapomina – co nie znaczy, że w pewnych granicach nie powinien Pan eksperymentować! Ale świadomie. Eksperymenty z dzieckiem oparte o uczucia prowadzą niemal nieodmiennie do złych skutków wychowawczych.

Jeśli pozwoli Pan żonie wychowywać dziecko w oparciu o emocje, to i tak jest to eksperyment, za który Pan odpowiada! Może to być eksperyment udany, ale niech Pan go kontroluje!

dziedziczenie

Teoretycy od dziesiątków lat toczą zawzięty spór: czy swoje cechy dziecko dziedziczy głównie genetycznie, czy kulturowo? Wskazuje się na liczne przykłady – zwłaszcza bliźniąt jednojajowych – które znalazłszy się przypadkiem w różnych środowiskach zachowały niesłychanie podobne obyczaje.

Z drugiej strony wskazuje się też przykłady dzieci z różnych rodziców, które – wskutek wychowywania przez tych samych opiekunów – przejawiały bardzo zbliżone cechy. Jezuici twierdzili nawet, że byle dać im dziecko przed ukończeniem piątego roku życia – to zdołają ukształtować je dowolnie: na geniusza muzyki, na zbrodniarza.... (*vide* CEL WYCHOWANIA).

Jako zwolennik różnorodności, wyciągam wniosek, że należałoby, jak w Anglii, oddawać dzieci do szkoły dopiero w piątym roku życia, skasować natomiast przedszkola, wydłużając kobietom odpowiednio urlopy wychowawcze. Ale to już inna para kaloszy.

Z naszego punktu widzenia sprawa jest niemal nieistotna. W ogromnej większości rodzin dzieci wychowują się pod wpływem tych samych osób, które dały im swe geny. Naprawdę robi Panu różnicę, czy podobieństwo do Pana zawdzięcza syn w 68% Pańskim genom, a w 32% przebywaniu z Panem – czy odwrotnie?

Chcę zaznaczyć, że teoretycznie dwie Pańskie córki mogą nie mieć ze sobą ani jednego wspólnego genu (dwóch Pańskich synów – już nie!).

W każdym razie bezpłodne – i z reguły uwarunkowane politycznie – badania dowiodły jednego: na dzieci wpływa zarówno dziedziczność genetyczna, jak i kulturowa.

Tak więc, odpowiednio kulturalne zachowanie jest Pańskim obowiązkiem wobec dziecka (*vide* IMITACJA).

edyp

Na temat źródeł kompleksu Edypa psycholodzy stworzyli wiele teorii, a psychoanalitycy zarobili na nim ładnie parę miliardów dolarów. Mimo to źródła tego kompleksu nie są znane. Nikomu zresztą nie zależy specjalnie na ich poznaniu.

Pozwolę sobie mieć na ten temat prywatną hipotezę.

Otóż, radziłbym Panu staranne się... mycie!

W dzisiejszych ciasnych mieszkaniach dobrze jest, żeby dzieci miały osobny pokój. Trudno jednak czasem uniknąć sytuacji – nawet i w tak „komfortowych warunkach” – że po upojnej nocy przechodzi Pan przez pokój dziecięcy do łazienki albo też dzieci przychodzą do Was do łóżka.

Tymczasem dla mężczyzny – nawet chłopca – zapach innego mężczyzny (tzn. zapach męskich gruczołów wonnych), pociągający dla kobiet, jest nienawistny i wyzwala agresję.

Ta hipoteza zupełnie dobrze tłumaczy wiele faktów powiązanych z kompleksem Edypa.

Psychoanalitycy, oczywiście, rzucają się na mnie, gdyż odbieram sens ich pseudonaukowy bajaniom. Dopóki jednak nikt nie przedstawi mi przekonujących kontrargumentów, będę obstawał przy swojej hipotezie. Jest – najprostsza i fizyczna. Nie odwołuje się do bytów hipotetycznych, jak „jaźń”, „superego” i podobnych. A ja należę do szkoły, która takie hipotezy ceni najbardziej, to jest: testuje w pierwszej kolejności.

W każdym razie mycie się – specjalnie Panu nie zaszkodzi (choć przesadne mycie – może!). Radzę więc, na wszelki wypadek... bo tego Edypa spotkał koniec raczej nieprzyjemny, wie Pan?

głowa (domu)

Nasz najwybitniejszy pisarz, Stanisław Lem (gorąco polecam Jego książki Pańskim synom!) tak opisuje technikę zwalczania smoków zastosowaną przez Znakomitych Konstruktorów, Trurla i Klapaucjusza, w *Cyberiadzie (Wyprawa Trzecia, czyli smoki prawdopodobieństwa)*.

„Stare bajędy powiadają o smokach mnóstwo rzeczy nieprawdziwych. Na przykład głoszą, jakoby smoki miały po siedem głów. Tak nigdy nie bywa. Smok może mieć tylko jedną głowę, ponieważ obecność dwóch prowadzi natychmiast do gwałtownych kłótni i sporów; dlatego wielogłowce, jak je nazywają uczeni, wyginęły wskutek wewnętrznych niesnasek. Z natury uparte i tępe, potwory te nie znoszą najmniejszego sprzeciwu, więc dwie głowy w jednym ciele przywodzą do szybkiej śmierci, każda bowiem, pragnąc zrobić drugiej na złość, powstrzymuje się od posiłków, a nawet złośliwie wstrzymuje oddech – z wiadomym skutkiem. Ten właśnie fenomen wykorzystał Euforiusz Tkliwas, wynalazca rusznicy antygłowej. Smokowi wstrzeliwuje się małą, poręczną głowę elektronową w cielsko, momentalnie dochodzi do awantur, waśni, w rezultacie smok, jakby tknięty paraliżem, zeszywniały, tkwi na jednym miejscu dobę, tydzień, czasem miesiąc; bywało, że po roku dopiero zmoгло go wyczerpanie. W tym czasie można z nim robić, co się komu żywnie podoba”.

W ten właśnie sposób wrogowie naszej cywilizacji usiłują wykończyć podstawową komórkę społeczeństwa: rodzinę.

Ciekawe, iż najgłupszy pijany furman świetnie wie, że w rodzinie nie ma miejsca na dwoje decydentów – i wszelkie wysiłki kieruje na ustalenie swej roli w stadle. Natomiast uczeni profesorowie potrafią z przekonaniem pleść bajędy o możliwości „partnerskich stosunków w rodzinie”. Ciekawe, jak taki profesor przyjąłby propozycję, by na jego katedrę mianować współkierownika, który musiałby wraz z nim kontrasygnować każdą decyzję?

Bzdura jest tak oczywista, że zupełnie rozumiem ludzi wierzących, iż kryje się za tym światowy spisek, sterowany gdzieś z synagogi w Nowym Jorku (w USA jest taka partia polityczna, wcale wpływowa, zwolenników La Roche’a, twierdzących, że głową spisku jest... Królowa Elżbieta II, manipulująca politykami z Moskwy i Waszyngtonu przy pomocy pieniędzy uzyskiwanych ze sprzedaży narkotyków; sektę tę popiera 6% wyborców).

Obecny polski kodeks rodzinny wywodzi się z lat stalinowskich, kiedy uważano, że im większa ingerencja państwa we wszystko – tym szczęśliwsze będzie społeczeństwo; nie uznaje przeto pojęcia „głowy rodziny! Jest zupełnie

jasne, że gdy w rodzinie są dwie głowy, to co chwila w jej sprawy musi wtrącać się ktoś obdarzony państwowym autorytetem: może to być Sąd Najwyższy, a może referent działu socjalnego decydujący, czy sytuacja dojrzała do tego, że pieniądze z zasiłku nie należy wypłacać mężowi, lecz żonie. Rodzina całkowicie utraciła spójność, a najgorzej na tym wyszły, rzecz jasna, istoty słabsze, tj. kobiety i dzieci. My jakoś sobie damy zawsze radę, nieprawdaż?

Uwaga: z logicznego punktu widzenia uznanie równoprawności płci bynajmniej nie pociąga za sobą konieczności zniesienia pojęcia głowy rodziny! Ustawodawca mógł być np. przyjąć zasadę intercyzy: przed ślubem małżonkowie decydują, które z nich będzie decydowało lub kto rozstrzygać będzie ich spory! Mogą się umówić, że w latach parzystych mąż, w nieparzystych – żona, a po dojściu pierwszego dziecka do wieku trzynastu lat – rozstrzygać będzie dziecko. Byłoby to nieco dziwaczne, ale ratowałoby zasadę i... spójność rodziny.

To, że ustawodawca nie poszedł na takie rozwiązanie, jasno wskazuje, że jego prawdziwym celem nie było zapewnienie kobietom równouprawnienia, lecz zniszczenie rodziny jako samodzielnej jednostki społecznej. Już od czasów p. Edwarda Gierka władze nasze, widząc rozmiar strat społecznych, wzywały do odbudowy rodziny i jej wzmocnienia – co jednak nie jest realne bez całkowitej zmiany systemu prawnego w tej dziedzinie. Możliwe, że z uwagi na długi czas druku książki, problem ten jest już rozwiązany (Jest grudzień 1990 r. – przyp. aut.).

Sytuacja (pozornego) równouprawnienia małżonków jest przede wszystkim straszną pułapką dla kobiet. Znaczna ich część bierze swoje uprawnienia na serio i gdy w małżeństwie dochodzi do pierwszej sprzeczki, stwierdza z przerażeniem, że jedno musi ustąpić, a on jest silniejszy... Stąd liczne wypadki pobić, od których żona nie może się uwolnić, gdyż jedynym wyjściem jest udanie się do sądu (co praktycznie rozbije małżeństwo z ambitnym mężczyzną, a za nieambitnego nie warto wychodzić...), przy czym sąd ów może krewkiego małżonka skazać na grzywnę lub więzienie, co odbije się przecież nie na nim, ale na niej i jej dzieciach. Gdyby nie owo formalne równouprawnienie, kobiety: po pierwsze – nie żyłyby szkodliwych złudzeń, a po drugie – bardzo starannie dobierałyby małżonków pod kątem osobistej pozycji. Obecnie – naiwne – ufne w opiekę prawa wpadają w pułapkę wychodząc za niedostatecznie poznanego jegomościa. *A propos*, a Pańska?

W gruncie rzeczy jednak tylko niewielka część polskich kobiet (i w świecie

nie wszystkie ani nawet nie większość) uległa temu złudzeniu. Stare wartości nadal działają, i dominacja mężczyzny jest ciągle praktycznie uznawana (*vide* jednak ROZRZUT INTELIGENCJI), choć nawet i Kościół katolicki zszedł na manowce modernizmu, zmieniając kanoniczny tekst przysięgi małżeńskiej (pochodzący od św. Pawła) i zastępując go tekstem przypominającym z grubsza deklarację ONZ.

Uznanie wyższości mężczyzny leży również w interesie kobiety. Mężczyzna ma pradawny instynkt dominacji i – będąc podporządkowany kobiecie – działa niesprawnie, mniej energicznie, a zatem gorzej spełnia rolę opiekuna, dostarczyciela środków do życia itd. Prawdziwa kobieta chce mieć mężczyznę, który by nad nią dominował.

W dodatku tylko głupia kobieta chwali się, że kieruje swoim mężem. Jej przyjaciółki w takich razach udają, a jakże, podziw, a potem między sobą wydziwiają, skąd ona wytrzasnęła takiego fajtlapę. Co więcej, mówią o tym swoim mężom i nieszczęsny małżonek traci poważanie kolegów, staje się ich pośmiewiskiem, mniej zarabia, często zaczyna pić... w wyniku czego jego ewentualne dzieci mają gorszy start życiowy. Tym samym rodziny o takiej kulturze usuwane są z głównego nurtu społeczeństwa, gdzie ponownie zaczyna dominować model rodziny z mężczyzną na czele. Jest to proces nieunikniony – i żadne pseudofeministki uzbrojone w prawo nic na to nie poradzą.

Niemniej w wielu rodzinach (*vide* – o ile jeszcze Pan tego nie uczynił – ROZRZUT INTELIGENCJI) kobiety są inteligentniejsze od swoich małżonków. Jest więc dla rodziny korzystne, by decyzje podejmowała ona... ... i w tym celu mądre kobiety rozwijają całą sieć intryg i manewrów, dzięki którym wszyscy (z mężem na czele! to najważniejsze!!) przekonani są, że to on podejmuje decyzje – a naprawdę jest prowadzony na sznureczku. To ważne również z uwagi na dzieci (*vide* POSŁUSZEŃSTWO), a także z uwagi na inne kobiety!

Tak! Gdy model podejmowania decyzji przez mężczyznę jest powszechnie przyjęty, mądre kobiety postępują w opisany przed chwilą sposób (chyba że mają mężów jeszcze mądrzejszych...) – a głupim nie żal. Gdy natomiast przeciętna kobieta widzi, że inna rządzi stadłem, zaczyna jej zazdrościć, wtrąca się, buntuje – i rujnuje zazwyczaj nieodwracalnie pomyślność swojego związku.

Dlatego zwyczajowe – i prawne – utrzymanie zasady dominacji mężczyzny leży nie w interesie mężczyzny (prawda, że on nie ma z tym żadnego kłopotu?), lecz właśnie w interesie kobiet, tych najbardziej poszkodowanych przez społecznych

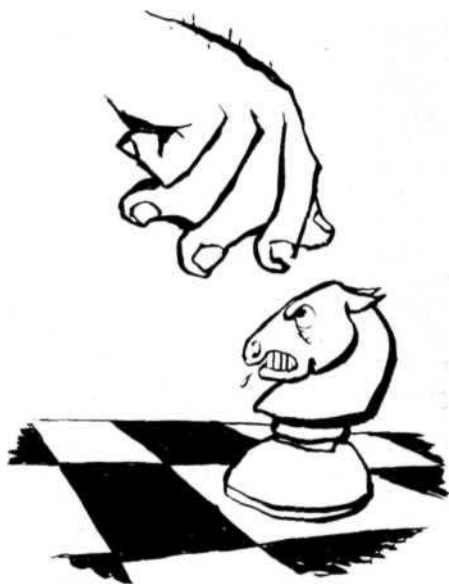
eksperymentatorów istot.

Utrzymanie dominacji mężczyzny w rodzinie jest tak ważne dla gatunku ludzkiego, że jest on uzbrojony w specjalnie wspomagający mechanizm, usuwający model rodziny prowadzonej przez kobietę.

Jest to zjawisko dobrze znane psychologom społecznym. Otóż, chłopcy z rodzin, w których dominuje matka, o wiele częściej zostają homoseksualistami (*vide* HOMOSEXUALIZM). W ten sposób rodziny tak skonstruowane nie reprodukuja się i zanikają. Podobnie i córki z takich rodzin mają zaburzenia w pełnieniu swej roli społecznej, często zostają lesbijkami, czasami naśladowa matkę – i tym samym odstrasza ewentualnych konkurentów. Bo wie Pan doskonale – tak między nami – że my się tak naprawdę kobiet boimy i musimy najpierw poczuć swoją przewagę, by myśleć o nich serio. Grupkę masochistów pomijam.

Tak więc, wyraźne demonstrowanie, że Pan jest głową rodziny, to podstawowy warunek zdrowia psychicznego Pańskich dzieci. I Pan musi o to zadbać, a Pańska żona powinna się do tego przyłożyć.

gry



Gry – to ulubione zajęcie chłopców, rozwijające ich zdolności, umiejętności, uczące logiki i oceny ryzyka. Nie znaczy, że nie istnieją wyjątkowe dziewczynki lubiące gry chłopięce, ani że nie istnieją gry właściwe dla dziewczynek. Są to przede wszystkim gry wymagające wczucia się w psychikę partnera.

Już z pięcioletnimi dziewczynkami potrafiłem przegrywać w fan-dao.

Każdy z graczy ma po trzy monety. Do prawej ręki bierzemy pewną ich liczbę – można me wziąć żadnej – i wystawiamy zamkniętą garść przed siebie. Gracze po kolei (w każdej rozgrywce zaczyna kto inny) zgadują sumę monet w prawych rękach. Nie wolno się powtarzać; jeśli ktoś powiedział „5”, a ja jestem przekonany, że jest pięć, to muszę podać inną liczbę. Nie wolno bluffować, np. przy dwóch osobach powiedzieć „4”, mając zero monet w ręku. Wygrywa ten, kto poprawnie odgadnie. Gra się do pewnej liczby punktów lub też ten, kto odgadł, odkłada monetę na bok, i trzy wygrane – czyli pozbycie się wszystkich monet (lub innych sztonów) – dają zwycięstwo.

Jednak w grach dedukcyjnych, przestrzennych i innych górują nieodmiennie chłopcy, a dziewczynki nie zapuszczają się na ten teren. Kiedyś specjalnie przyjrzałem się podczas ferii tłumowi dzieci grających na automatach zamontowanych w jednym pasażu w Warszawie: było ich tam ponad trzysta i ani jednej dziewczynki. A przecież policja nie pilnowała, by nie zajmowały się „niewłaściwymi” zajęciami!. Po prostu same wołały zająć się czymś innym. A może było w tym tłumie kilka przebranych za chłopaków?

W każdej grze, z szachami włącznie, istnieje element szczęścia. Nie polecam jednak gier opartych tylko na szczęściu. Na przykład, ruletka jest absurdem

jako pomoc naukowa – natomiast poker już nie. Absurdem jest jednak gra w pokera dzieci nie mających własnych pieniędzy.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że pocziwa „wojna” to gra dokładnie tak samo hazardowa jak ruletka, i ćwiczenie w pokera jest znacznie zdrowsze niż w „wojnę”, natomiast „wojnę” łatwo przerobić na grę ciekawą, choć łatwą!

W tym celu obaj gracze dostają po jednym kolorze, który trzymają w ręku. Czwarty jest zbędny, trzeci po potasowaniu wędruje zakryty na stół. Odkrywamy pierwszą kartę – i obydwaj gracze wybierają jedną swoją, kładąc ją jeszcze zakrytą na stół. Odkrywają ją jednocześnie – i ten, kto położył wyższą, zdobywa oczka karty ze stołu (As – 1, Walet – 11, Dama – 12, Król – 13). Jeśli wyłożone karty graczy były jednakowe – nikt nie bierze karty ze stołu. Wyłożone karty nie wracają oczywiście do ręki i po 13 „lewach” gra się kończy zwycięstwem tego, kto zdobył więcej oczek (nie kart!) ze stołu.

Nie będę dalej opisywał gier dziecięcych, poświęciłem temu osobną książeczkę. Namawiam jednak Pana, by do ciekawszych zachęcił dzieci. Tu znów warto zacząć od przykładu, np. zapraszając przyjaciela na szachy lub warcaby. Dzieci same będą chciały kibicować i uczyć się. Grając z nimi trzeba dawać fory i/lub czasami przegrać... Dziecko nieustannie przegrywające zniechęci się szybko.

Bardzo dobrą grą dla dzieci jest japońskie „go”. Gra bardzo trudna, ale o prostych regułach, mająca opracowany system handicapów pozwalających równoważyć siły gry. „Fory” w szachach są cokolwiek nienaturalne, a w warcabach po pewnym czasie dojdzie Pan zapewne z synem do sytuacji, gdzie pionek więcej zawsze daje zwycięstwo, a przy równych siłach Pan grając pełną siłą zawsze, niestety, wygrywa.

Gry są szkołą intelektu (a także zręczności, bo istnieją i gry zręcznościowe) od dawien dawna. W Saksonii narzeczoną trzeba było od ojca... wygrać w szachy, co skutecznie eliminowałoby z życia nie lubiące szachów geny, gdyby nie to, że cyniczni ojcowie cynicznie się podkładali. W każdym razie społeczeństwo, w którym dzieci dużo grają, zawsze wygra z takim, w którym dzieci ślęczą nad książkami i wbijają w głowy wiedzę (na ogół przestarzałą w momencie, gdy wchodzi już w życie zawodowe).

Gry były popularne we wszystkich warstwach społecznych, od chłopów po monarchów (w XVIII w. Polska przeżywała duży boom, i chłopci byli tak zamożni, że pół czasu spędzali po szynkach nie tyle pijąc, co grając w karty, wydawano nawet specjalne, zabraniające im tego zajęcia, edykty), jednak warstwy wyższe

otrzymywały w tym zakresie specjalnie troskliwe wykształcenie.

Na zakończenie przedstawię więc pewną karykaturę: wyliczenie gier, które musi znać kształcący się arystokratę w satyrze Franciszka Rabelais *Gargantua i Pantagruel*:

...„Tedy rozciągnąwszy zielone sukno rozkładano obfitość kart, kości, a także mnogo szachownic i warcabnic. I grywał tam:

w podaj dalej

w prymę

w „moja twoja”

w kupki

w tryumf

w pikardkę

w „stu do diabła”

w czerwone i czarne

w durnia

w latającą kartę

w „moja ostatnia”

w lansknechta

w rogala

w „kto da więcej”

w kupca

w mariasza

w wesołka

w zagadki

w „biore jedną, bierzesz

dwie” w sekwens w dołki w wilka i owcę w byczka w pułapkę w karę w ronfle

w żadelko

w mizerkę

w „co upadło to przepadło”

w sześćdziesiąt sześć

w trzydzieści jeden

w para nie para

w trzysta

w niezdare

w babulkę

w primus secundus

w rączkę
w kluczyki
w ostatnie karo
w łąbo łąbo
w cetno i lichy
w kunę
w kulki
w kręgielki
w szewca
w ciemno ciemno
w „zgadnij zgadula”
w czółenko
w sikawkę
w pośladki
w miotłę
w kominiarza
w glika
w honory
w morę
w szachy
w lisa
w marelkę
w krówki
w owieczkę
w szczęśniaka
w trzy kości
w stoliczek
w nik nok
w renetkę
w tryktraka
w baryłkę
w cztery stoły
w pierwszą z brzegu
w kabałkę
w lansjera
w warcaby

w smarki
w laryfary
w ropuchę
w kolano
w królów
w biloboket
w rzemiosła
w buru, bum, bux
w sosenkę
w przekleństwa
w orzechy
w mycie czepka
w żytko
w sianie owsa
w przepiórkę
w młynek
w defendo
w kręcinogę
we wściekłego psa
w puzderko
w oracza
w zdechłego barana
w „Święty Kostno, ja twój sługa”
w zielone
w wielki post
w kuternogę
w dzielenie włosa
w wilczy ogon
w pierdzimkę
w „gdzie masz lancę”
w trzęsionkę
w szalupe
w muszkę
w „baż, baż baranku”
w podobieństwo
w dziewięć rąk

w kapturek
w most zwodzony
w płytkę
w huśtawkę
w kura
w wyrwidęba
w czyżyka
w czapkę
w baranią głowę
w skowronki
w szydełko
w łaskotki
w puchacza
w zajączka
w tirlitantyńkę
w świnkę
w sroczkę
w rożek
w „gwałtu, gwałtu”
w sówkę
w „kto się roześmieje”
w szczypankę
w kucie osła
w solniczkę
w pętelkę
w wsiadanego
w czarnego Pietra
w brodatego
w „właz, właz drabinko”
w nadziewane prosię
w solony zadek
w gołąbki
w „moja trzecia”
w dawaj sera
w krzaczki
w krzyżownicę

w kapturek
w dziadowską sakwę
w jaskółcze gniazdo
w „wietrzyk wieje”
w figę marynowaną
w banialukę
w musztardę
w połykanie
w raczka
w żelazko
w hukają
w kamyczki
w garbuska
w świętego Znalazł
w „trzymaj ciepło”
w gruszę
w pastucha
w kózkę
w obrączkę
w maciorkę
w brzuch do brzucha
w pudełko
w różeczkę
w drążek
w „i ja także”
w łyska
w bębenek
w trzy nogi
w „leci kula leci”
w młynka
w śmierdziucha
w miotelkę
w jarmark
w „kumie pożyczcie mi worka”
w dzicze jajo
w diabełka

w marylską figę
w muszkę
w żandarma
w odzieranie lisa
w piątkę
w pana i panią
w „sprzedam owies”
w gaszenie węgla
w odpowiedzi
w „sędzia żywy i sędzia umarły”
w łajno smażone
w aniołka
w krótkiego
w czapkę
w obracane
w „potłucz garnki”
w „kaś ta wlaźł”
w piramidkę
w kardynały
w laseczkę
w piruetkę
w piszczałkę
w pikietę
w mydło
w szczupaka
w munsztuczek
w zamek
w trzy rzędy
w chrapkę
w rożek
w kapucyna
w „dołki”

Imponujące, nieprawdaż? Ja jednak uważam, że współczesne dziecko powinno znać zasady siedmiu-dwunastu gier co najwyżej. Gdy codziennie zaczyna grać w inną, to w zasadzie nie potrafi potem zrozumieć, na czym polega jej sens. Jest to typowa nauka po łebkach.

Z drugiej strony, by poświęcić się szachom, tak jak Robert Fischer, trzeba mieć poważne podstawy do przypuszczeń, że osiągnie się sukces. Dlatego zaczynać należy od różnych gier.

Normalny człowiek nie traktuje gier zawodowo, ale nie może też traktować ich nazbyt lekko. Dziecko powinno grać z ambicją, powinno chcieć się doskonalić. A doskonalić się może tylko grając w tę samą grę wiele razy i – z coraz silniejszymi przeciwnikami.

Od tego ma kolegów. Ale Pan powinien – jeśli umie Pan sam grać – co jakiś czas sprawdzać, jak z jego postępami.

Aż wreszcie powinien przyjść moment, gdy zacznie z Panem wygrywać. Jeśli do tego nie dojdzie – to będzie znaczyło, że na tym przynajmniej odcinku postęp (*vide* ORTOLINIJNOŚĆ) nie został osiągnięty.

heterozygotyzm

Trzeba to sobie jasno powiedzieć na samym wstępie: jesteśmy płcią upośledzoną.

Nasz aparat genetyczny jest zdefektowany. Chromosom Y zastępujący X nie daje nam odpowiedniej rekompensaty: jest w nim mniej genów, niż w brakującym chromosomie X. Ponadto posiadanie jednego X i jednego Y powoduje pewne rozchwianie naszej konstytucji, a zatem i większy rozrzut. Jesteśmy bardziej wyspecjalizowani niż kobiety – i trudniej się adaptujemy.

Brak nam pamięci i dobrej harmonii ruchów. W ramach samoobrony rozwinęliśmy tzw. inteligencję – bardzo marną rekompensatę, skoro – zamiast myśleć – można sobie wiedzę po prostu zapamiętać! Podobnie i z siłą... Gdyby mrówki miały nasz mózg – dawno wiedziałyby wszystko o kosmosie i laserach!

Niemniej jednak jesteśmy płcią „bardziej” (*vide* ROZRZUT INTELIGENCJI). W związku z tym udało się nam siłę i inteligencję rozwinąć bardziej, niż było potrzeba do skompensowania naszych naturalnych braków.

Dzięki temu, chwalić Boga, jakoś dajemy sobie radę ze wszystkim. Ale zawdzięczamy to ćwiczeniom przez tysiące pokoleń. Jeśli ćwiczeń tych zaprzestaniemy, jeśli zwalimy pracę na kobiety, ten dorobek może zostać częściowo zaprzepaszczone.

I jeszcze jedno: rozwój chłopców przebiega wolniej. Proszę się tym nie niepokoić. Mrówka biega niemal natychmiast po wykluciu, kurczę po paru minutach, pies po paru tygodniach, dziewczynka po niecałym roku.

Chłopiec potrzebuje zazwyczaj nieco więcej czasu.

Pan też potrzebował, i ja także.

Ale mimo to jakoś nam się udało!

higiena i hartowanie

Lepiej z nią nie dosolić niż przesolić! Typowe obecnie matki stanowczo przesadzają w tym względzie. Można by ręką machnąć (lubią się napracować, by mieć poczucie własnej niezbędności), gdyby pod wieloma aspektami nie było to szkodliwe.

Przez pierwsze tygodnie noworodek ma tę samą odporność, co jego matka: przeciwciała zaczerpnął z jej krwi, a następnie zaczyna wytwarzać własne. Jednak troskliwi rodzice zazwyczaj odgradzają go od możliwych kolonii bakterii i wirusów; efektem są stada chorowitych dzieci w wieku przedszkolnym.

Do czasów Pasteura wierzono, że katar pochodzi z zaziębienia. Następnie ludzkość (a raczej jej „oświecona” część) została przekonana o wszechpotędze bakterii, riketsji i wirusów. Aktualne przybliżenie prawdy brzmi: choroby istotnie wywoływane są przez drobnoustroje, jednak dla olbrzymiej większości ich gatunków (z którymi organizm już się miał okazję zetknąć) niezbędne jest ponadprzeciętne osłabienie organizmu.

Groźnych drobnoustrojów, z którymi się zetkniemy, jest dobre kilka tysięcy (patologowie wybaczą mi zaniżenie tej liczby, ale chodzi o takie, które naprawdę dość gęsto pętają się między nami) – sama grypa ma kilka odmian na tyle różnych, że odporność przeciw jednej nie daje odporności na inne. Sztuka nie polega na wybijaniu wszystkich lub szczelnym izolowaniu się od nich – trzeba nauczyć się z nimi współżyć.

Proszę pamiętać, że w interesie wirusa nie leży zabicie człowieka; śmierć to przypadek, w statystycznym rozkładzie mniej lub bardziej ciężkich zachorowań muszą trafiać się przypadki skrajne (*vide* RÓŻNORODNOŚĆ). Bakteria zabijająca wszystkich gospodarzy (a nawet zbyt dużą ich część), sama skazałaby się na śmierć. Ofiarą epidemii padają populacje osłabione albo fizycznie (np. głodem), albo genetycznie (zbytni dobrobyt lub zbyt szczelna osłona przed bakteriami w przeszłości). Nawet i wówczas część najsilniejszych osobników przeżywa, co dla populacji – jeśli nie brać pod uwagę punktu widzenia osób zmarłych – jest bezwzględnie korzystne. Obecne warunki naszego bytowania prowokują wręcz pandemię: tworzymy higienicznie wydelikacowane społeczeństwo, mające codzienną łączność lotniczą z ciepłą wylegarnią bakcyli i laboratorium, jakie stanowią kraje Południa. Olbrzymie nakłady na epidemiologię i wiedza medyczna jak do tej pory zawsze ratowały nas znad brzegu przepaści; za którymś razem się nie uda...

W ogóle zaś dziecko lepiej znosi choroby niż dorośli (*vide* CHOROBA I LEKARSTWA) i gdy zachoruje, np. na różyczkę, należy filozoficznie pocieszać się obliczaniem prawdopodobieństwa zachorowania w wieku późniejszym – i możliwymi wówczas skutkami... A w końcu: gdyby (mało to prawdopodobne przy obecnej wiedzy lekarskiej) choroba miała się skończyć tragicznie, to trzeba sobie brutalnie powiedzieć, że lepiej teraz niż za dziesięć lat, gdy już dziecko ma ukształtowaną osobowość, świadomość umierania, gdy my jesteśmy doń bardziej przywiązani i więcej weń zainwestowaliśmy (uczuciowo i materialnie). Prosty lud kwitował to dawniej powiedzeniami „Widać było mu pisane...” lub „Bóg tak chciał!” Należy czynić co w ludzkiej mocy, by wykorzystać szansę uniknięcia losu – ale też trzeba umieć spojrzeć szerzej na zagadnienie.

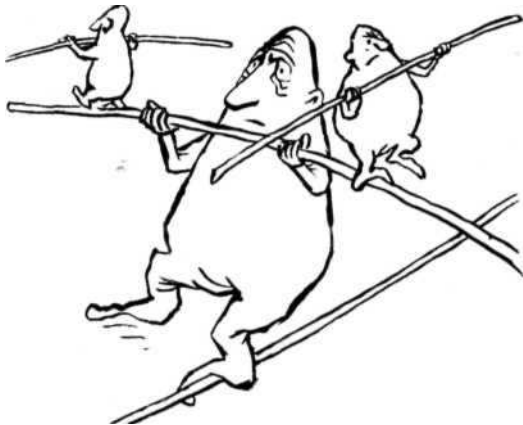
Do uodporniania dziecka należy przede wszystkim hartowanie: przy kąpieli w wanience można do dużej wanny nalać chłodnej (nie lodowatej!) wody i na chwilę – wystarczającą do oziębienia skóry, ale nie organów wewnętrznych – zanurzyć w niej niemowlaka. Matka będzie protestowała – przekona się po tygodniu. We mnie widok trzyletniego dziecka stojącego po kolana w wannie i z satysfakcją polewającego się zimną wodą budzi dreszcz. Trudno, ja byłem dzieckiem wychuchanym (i, oczywiście, chorowitym...).

Przestrzegam przed (zwłaszcza jednoczesnym) lakierowaniem podłóg i emulsyjnym malowaniem ścian. To nie jest zbędna higiena, to nie jest szkodliwa higiena – to antyhigiena! Wprawdzie wszystko bardzo łatwo umyć, ale mieszkanie takie nie oddycha; jedyną drogą wietrzenia pozostają okna, także i podczas zimy, gdy trzeba je zamykać...

A propos wietrzenia. Nie wierzy Pan, mam nadzieję, w krakanie zreumatyzowanych dziadków: „Od przeciągów może dziecko zawiąć”. Przeciąg nie bardziej jest szkodliwy niż tej samej siły i temperatury wietrzyk na dworze. Jeszcze jedno: mieszkania w zimie nie wietrzy się zostawiając szpareczkę – co znakomicie oziębia – lecz otwierając na 2-5 minut wszystkie okna, od czego powietrze się wymienia, a ściany pozostają nagrzane. Inna sprawa, że w wielu nowoczesnych mieszkaniach nie ma okien po obu stronach budynku, więc z tą wymianą będą trudności. Uwaga: Anglicy i Skandynawowie doprowadzają do tzw. niskich temperatur w sypialni i biorą ciepłe kołdry. To też metoda.

Resztę spraw (*vide* jeszcze UBIÓR) zostawiamy pani domu.

homeostaza



To jest takie greckie słówko, określające podstawową właściwość żywych układów: utrzymywanie się w tym samym stanie.-

Pojęcie to jest podstawowe dla cybernetyki, ale nie ma w nim nic tajemniczego. Po prostu żywe organizmy muszą utrzymywać wewnątrz siebie mniej więcej tę samą temperaturę, ciśnienie, zawartość tlenu i tysiące rozmaitych parametrów. Gdyby tego nie umiały robić, rozregulowałyby się i błyskawicznie zmarły.

Tak - na przykład - temperatura. Mamy gdzieś tam rozmieszczone (gdzie? - cybernetyka to nie interesuje, od tego są biologowie) mechanizmy, które powodują, że gdy tylko temperatura spadnie o pięćdziesiątą część stopnia, to już organizm spala więcej i wyrównuje stratę. W ten sam sposób regulowany jest poziom np. soli, insuliny, kadmu, selenu... i kilku lub nawet kilkudziesięciu tysięcy najrozmaitszych składników, mniej lub bardziej niezbędnych do życia. Organizm nasz znakomicie utrzymywał te składniki w normie w czasach, gdy ludzkość nie tylko nie miała pojęcia, co to jest kadm, ale nawet nie znała soli ani ognia.

Dbają o to mechanizmy nieraz niesłychanie skomplikowane. Jakiś impuls nerwowy pobudza jakiś gruczoł do wydzielania jakiegoś hormonu. Obecność hormonu powoduje zahamowanie produkcji innego związku, co powoduje wzmożenie produkcji trzeciego - i tak dalej. To był przykład prosty. A mimo to maszynka ta jakoś działa.

Sporo już o niej wiemy i sporo jest nadal tajemnicą.

W każdym razie pomysł, by sterować nią przez świadome działania, jest dość śmieszny. Najlepsze laboratoria i największe mózgi nad tym pracują, a mimo to coraz się okazuje, że proponowane przez nich kuracje mają liczne niepożądane skutki uboczne. Co dopiero sądzić o działaniach na własną rękę?

Dość irytujące są nawoływania: a to do joggingu, a to do jedzenia

pomidorów, a to do niejedzenia pomidorów (bo rakotwórcze)... Nieraz nawołują do tego uznane autorytety naukowe – specjaliści od wąskiej dziedziny, w której to dziedzinie działa istotnie to-to dobrze. Znanym przykładem jest historia prof. Linusa Paulinga, laureata Nobla z medycyny, który objeżdżał świat zalecając jedzenie witaminy C na kilogramy – i zapewniając, że to często pomaga, a nigdy nie szkodzi. Inni specjaliści mocno powątpiewają, a ja – jako cybernetyk, – jestem pewien, że tak nie jest. Gdyby to bowiem była prawda, szybko wytworzyłaby się rasa ludzi uwielbiających kiszoną kapustę i cytryny – i ludzie o takich upodobaniach wyparliby rasę uwielbiającą (ponoć szkodliwe) słodczy. Tymczasem smakosze kiszonej kapusty pożeranej w gargantuicznych ilościach nie są przecież tak znowu liczni?

Czy to oznacza, że jedzenie słodczy jest pożyteczne? Nie jest, to pewne! Dopiero od niewielu pokoleń tanie cukierki są w masowej sprzedaży i całkiem możliwe, że ludzkość nie zdążyła się jeszcze do tego dobra przyzwyczaić, tzn. wyeliminować selekcyjnie miłośników słodkiego obżarstwa. Jest jednak prawdopodobne, że za kilka lat kolejny geniusz medycyny odkryje, iż słodczy jednak są bardzo zdrowe...

Jestem absolutnie przekonany, że i picie alkoholu – po przekroczeniu pewnego wieku (*vide* KIELISZEK I PAPIEROS) – ma jakieś pozytywne skutki. Gdyby tak nie było, nałóg ten zostałby już przed tysiącleciami wyeliminowany. Uwaga! Może pożyteczność alkoholizmu polega na tym, że osobnicy o słabej woli szybciej umierają i nie zatruwają życia społecznego!!! (już wiem – okazuje się, że alkohol likwiduje sklerozę, rozpuszczając nadmiar tłuszczów – **przyp. aut. wrzesień 1989 r**).

Homeostaza pojawia się w naszym życiu od pierwszych sekund po poczęciu: gdy jajo z plemnikiem podzieli się na kilka komórek, już współpracują one ze sobą i przesyłają wzajemnie sygnały pozwalające utrzymać równowagę. Ba! Usunięcie na tym etapie jakiejś ważnej grupy komórek na ogół powoduje, że inna się rozrasta i ją zastępuje.

Dziecko sześciomiesięczne – tj. na trzy miesiące przed terminem normalnego porodu – w zasadzie dysponuje już kompletem mechanizmów homeostazy; w wypadku wcześniejszego przyjscia na świat inkubator pomaga mu utrzymać właściwą temperaturę i zawartość wody w organizmie. Jednak mowa tylko o homeosta-

7IP urpwtiptrynpi Cnnlf»r7nip Hyiprkn nr7y rlnhrvrh kilkanaście**

Homeostaza 3

lub innymi dorosłymi – i tak też musi być przez socjo-cybernetyków

rozpatrywane. Pojęcie homeostazy rozciąga się bowiem i na społeczeństwo. Społeczeństwo jest też żywym organizmem mającym zdolność trwania i samo-się-naprawiania (poprzez płodzenie organizmów zamiennych). Ale o tym za chwilę.

Ogromna liczba zmiennych regulowanych przez rozmaite mechanizmy homeostazy, ich wzajemne przenikanie i współdziałanie czynią praktycznie niemożliwym skuteczną ingerencję. Ingerencja lekarzy daje dobre rezultaty tylko wówczas, gdy nawala jedna zmienna. W ogromnej jednak większości przypadków zaangażowanych jest ich więcej i rola leczenia polega na zapewnieniu organizmowi warunków do samodzielnej naprawy samego siebie oraz na podbudowaniu psychicznym. Dlatego właśnie wyniki szarlatanów dają czasem zdumiewająco dobre rezultaty.

Organizm małego dziecka znakomicie potrafi regulować swoje potrzeby pokarmowe. Jeśli jednego dnia zje ono więcej, to następnego zje mniej. I odwrotnie. Czasami dzieci całymi tygodniami jedzą mniej, co może np. oznaczać, że organizm „dostrzegł” jakąś niepotrzebną fałdę tłuszczu wewnątrz ciała i teraz ją spala, nie potrzebuje więc tyle pokarmu z zewnątrz. Może też oznaczać wiele innych rzeczy. Chore dziecko poznaje się nie po tym, że ma taką czy inną wagę lub zawartość czerwonych krwinek, tylko po tym, że wygląda jak chore dziecko. Jeśli tak wygląda, a wyniki wszystkich badań są w najlepszym porządku – trzeba zwrócić się do dobrego lekarza, nie uspokajając się wynikami, które sprawdzają tylko kilka zmiennych, podczas gdy istotnych dla życia są tysiące. Podkreślam: dobrego lekarza, co poznaje się po jego całościowym podejściu do organizmu. Niestety, feminizacja fachu lekarskiego spowodowała, że pamięciowe uczenie wyparło – bądź ograniczyło – myślenie systemowe (*vide* CHOROBA i LEKARSTWA).

Z drugiej strony, jeśli dziecko wygląda zdrowo, a wyniki badań wykazują odchylenia od normy – radzę się nie przejmować i nie męczyć dziecka wizytami u lekarzy. Z tego jest zazwyczaj więcej szkody niż pożytku – a same analizy też potrafią zaszkodzić.

Spyta Pan może: „Po czym odróżnić chore dziecko od zdrowego? A może się mylę?” Drogi Panie! Choćbyś nigdy w życiu nie widział Pan np. szakala, to odróżni Pan szczenię od dorosłego szakala! Po czym? Nie wiem – to się widzi. Ma Pan zakodowany wzorzec zdrowego dziecka swojej rasy – proszę mieć do siebie zaufanie!

Odchylenia od normy bywają znaczne. Słyszałem o dzieciach

Homeostaza 4

sypiają dłużej. Jedne mają szybką, a inne powolną przemianę materii. No, i bardzo dobrze. Różnorodność jest – i być powinna. Przyznaję, że co innego wiedzieć statystycznie, że jeśli milion dzieci sypia po 9 godzin, 600 tysięcy – po 8,5, 200 tysięcy – po 8 itd. – to raz na dziesięć lat pojawi się w 100-milionowej populacji takie, które sypia tylko 2 godziny – a co innego mieć taki fenomen w domu.... Trzeba jednak wierzyć Naturze. Działa? Działa. W takim razie proszę pamiętać: homeostatowi nie zagląda się do środka, jeśli się nie ma pewności, że trzeba!

Ośławiony dr Benjamin Spock twierdził nawet, że dziecko roczne jest do tego stopnia dojrzałym homeostatem, iż jeśli w miseczkach poustawiać mu rozmaite potrawy, to sobie łapką wybierze tyle i takie, jakich potrzebuje. Sądzę, że nieco przesadził. Jednak w granicach określonych tradycjami działania układu matka-dziecko (tj. w zakresie ilości mleka) nasz rodzaj ma długą historię – i na pewno da sobie radę.

Przypominam, że dziecko przez długi czas tworzy „wspólny układ” z matką. Układ ten działa w ten sposób, że jak dziecko jest głodne – to woła jeść, na co w matce budzi się niepowstrzymana potrzeba nakarmienia go. Układ ten jest dopasowany do normalnych czasów, a dla biologicznego gatunku normalnym stanem jest brak pożywienia. Dopiero rozwój kapitalizmu w XIX wieku spowodował, że w naszej cywilizacji łatwiej umrzeć z przejedzenia niż z głodu. I nasz gatunek nie zdołał się jeszcze przed tym zabezpieczyć, nie wytworzył u matek odpowiednich hamulców, które powinny się włączać w sytuacji, gdy dziecko błaga, że nie chce jeść. Stąd czasem potrzeba Pańskiej ingerencji w ten układ.

Wytworzyła się również znakomita homeostaza w układzie sił i środków w rodzinie. Temat ten jest bardzo obszerny, ale współgranie czynników genetycznych i kulturowych wytworzyło taki system, że starszy brat nie robi krzywdy młodszemu. Pańska ingerencja po stronie słabszego może natomiast spowodować, że starszy poczuje się ograniczony w swych naturalnych prawach. Z drugiej strony młodszy – wskutek tych ingerencji – może sobie pozwalać na zbyt wiele i umyślnie prowokować brata, co oczywiście zwiększy poczucie krzywdy u starszego. Tak oto może Pan wywołać podskórną nienawiść między dziećmi. Tu trzeba pozwolić, by zakres stosunków ułożył się sam – nawet kosztem tyranizowania jednego przez drugie.

W Anglii istniał system „fagasów”, tj. chłopcy młodszy usługiwali w internatach starszym i byli przy tym wyzyskiwani. Mimo to wychowanie

angielskiego dżentelmena uważane było za wzorowe, a stosunki między Anglikami, zwłaszcza z tej samej szkoły,

A ..-..AA>>VA i-r ff T nrrn- ->1 ■« ; |{liri})

Homeostaza 5

Również w stosunkach z matką pełno jest mechanizmów homeostazy. Proszę zauważyć, że na ulicy paroletni szczeniak prowadzony za rączkę wyrywa się i robi wrażenie, że w każdej chwili grozi mu wpadnięcie pod samochód. Ten sam dzieciak pozostawiony bez matki będzie szedł skupiony i piętnaście razy sprawdzi, czy może wejść na jezdnię. W ten właśnie sposób nadmierna opiekuńczość powoduje zanik wytwarzania się instynktu samozachowawczego. Uwaga: przypominam, że do pewnego stopnia może to być korzystne! Ten mechanizm jest dość skomplikowany i sterowanie nim przypomina trochę operacje na układzie matka-dziecko w problemie Tadka-niejadka (*vide* OGON OSŁA).

Mógłbym – i może zrobię to kiedyś – zapełnić dwa tomy krótkimi opisami ważnych i nieważnych mechanizmów regulujących stosunki w rodzinie i społeczeństwie. Te kilka przykładów mają za zadanie skłonić Pana do przyjęcia pewnej szerszej perspektywy, do zrozumienia, że bardzo wiele spraw reguluje się samo, że interwencja często szkodzi i – że nie ma tego dobrego, co by na dobre nie wyszło (i odwrotnie).

To myślenie nie może Pana zdominować. Na przykład, typowym mechanizmem, działającym sprawnie, jest eliminacja gorszych genotypów. To zapewnia zdrowie i lokalnym populacjom, i całej ludzkości. Jednak gdy zagrożone jest życie Pańskiego dziecka, nie będzie Pan rozumował w tych kategoriach!! Pańskim pierwszym obowiązkiem jest dbać o swoje dziecko – i jest to obowiązek, którego zrozumienie też wytworzyło się w sposób ewolucyjny i naturalny. A o ludzkość niech Pan się nie martwi – da sobie radę! Kto wie, czy szkodliwe w zasadzie geny, które uratował Pan ratując życie swego dziecka, nie okażą się kiedyś zbawienne? W Afryce żyje plemię, które w pojęciu europejskim jest w całości chore na anemię, ale właśnie ono tam żyje, bo dzięki temu jest odporniejsze na malarię. A może Pański syn będzie nosicielem genu, który powoduje chorobliwy wygląd, ale daje odporność na powiedzmy – AIDS? W ten sposób Pańska „egoistyczna” troska o dziecko, „zaśmieszenie” ludzkości „szkodliwymi” genami może być dla ludzkości zbawienna.

Niech Pan pamięta: o tym co jest szkodliwe decyduje praktyka, a nie teoria. Decyduje życie. Decyduje Natura. A nasze zabiegi medyczne są też częścią

rzeczywistości. Zresztą: Natura „wie” co robi, gdy wyposażyła narody w nakaz ratowania życia członków swojej społeczności. Spartanie ze swoją skałą Tajgetu powinni opanować świat – a, jak Pan wie, wyginęli...

Niech pan ma zaufanie do swego rozumu i instynktu. Cała reszta jest czymś drugorzędnym...

homosexualizm

Homosexualizm ma dwa zasadnicze źródła: obawa przed kobietami wywołana słabą pozycją ojca w rodzinie oraz zwykle uwiedzenie przez pederastę w momencie, gdy bodźce skoncentrują się na „niewłaściwym” z punktu widzenia biologicznego i społecznego – obiekcie.

Jest Pańskim obowiązkiem, jako ojca, strzec synów przed popadnięciem w homosexualizm. Przede wszystkim dbanie o swoją pozycję (*vide* GŁOWA DOMU); po drugie – usuwanie podejrzanych znajomości. Po trzecie (*vide* UŚWIADOMIENIE)

– ostrzeganie, ale w formie nie bezpośredniej, lecz znacząco pogardliwego krzywienia się (To nie pokaz. Pan sobie może prywatnie pederastę wysoko cenić), gdy trafi się okazja do aluzji. To zazwyczaj zupełnie wystarcza.

Jeśli jednak mimo wszystko trafiło się Panu takie nieszczęście

– to trzeba raczej założyć, że nie ma na to rady. Jeśli przyczyną była Pańska słaba pozycja w domu, to przecież nic Pan nie zdoła zdziałać. Jeśli uwiedzenie – to jedyną, nasuwającą się propozycją jest znalezienie dziewczyny tak atrakcyjnej, by zdołała przełamać rodzące się „uwarunkowanie na mężczyzn”.

Tak więc: przeciwdziałać należy ze wszystkich sił. Gdy jednak nieszczęście się zdarzyło, nie należy wylewać łez nad rozlanym mlekiem. Wielu wybitnych ludzi było homo- i biseksualistami, grozi Panu jedynie brak wnuków.

Należy natomiast zdecydowanie, bardzo zdecydowanie – tępić wszelką ostentację. Homosexualizm ukryty nie jest dla społeczeństwa groźny i nie jest potępiany. Groźny jest homosexualizm jawnie demonstrowany i propagowany. I tu nie może Pan ustąpić ani na cal. Wszelkie afiszowanie się z przyjaciółmi – pederastami musi być karane usunięciem z domu.

W Polsce – na szczęście – stosunek do tych problemów jest normalny. W USA natomiast liczne są przypadki nie tak może karykaturalne, jak ten, który za chwilę opiszę – ale dostatecznie szokujące.

Ten był wyjątkowy. Otóż, w Stanach Zjednoczonych, jak i w Polsce, do niedawna dzieci w wypadku rozwodu niemal automatycznie przyznawano matkom. Oczywiście równouprawnienie i tu pogorszyło ich sytuację. W tym jednak przypadku rozkład małżeństwa nastąpił z powodu homosexualizmu męża, którego on zresztą nie ukrywał. Mimo to sąd przyznał dziecko jemu. Kobieta odwołała się do sądu ponownie, stwierdziwszy że mąż przyjął do mieszkania swojego stałego przyjaciela. Sąd mimo to podtrzymał decyzję stwierdzając, iż stworzeniem przez byłego małżonka harmonijnego stadła świadczy on, że

poważnie traktuje opiekę nad chłopcem i chce mu stworzyć wzorową rodzinę zastępczą!!

Jako przykład różnorodności zachowań – jest to optymistyczne. Wątpię jednak, czy z takim punktem widzenia zgodziłaby się zainteresowana rodzina, jej część homoseksualną, oczywiście, pomijając.

Radzę też Panu pamiętać, że znajomi i sąsiedzi nie będą się szczególnie interesowali Pańskim synem, tym bardziej że nigdy nie będą pewni jego odmienności. Gdyby się dowiedzieli – być może nie będą go potępiać. Jednakże na pewno będą Pana potępiać (o ile tylko na „potępieniu” się skończy), jeżeli Pański syn wciągnie w to ich dzieci.

Dlatego – a może ma Pan jeszcze młodszych synów? – musi Pan trzymać syna z daleka od swojej rodziny i okolic. Nawet, gdyby groziło to Panu prawnymi konsekwencjami (np. syn może domagać się praw do mieszkania), nie powinien Pan ustępować. Tego typu sprawy wloką się latami, a policja nie jest skłonna do interwencji.

Proszę się o syna zanadto nie obawiać. Homoseksualiści to zwarte, dość solidarne i zamożne środowisko. Nie zginie. O ile – oczywiście – nie wejdzie w kontakt z AIDS...

imitacja

Starożytni Rzymianie powiadali: *verba doceri – exempla irahunt*. I jest to prawda przynajmniej w stosunku do dzieci.

Małe dziecko wszystkiego uczy się przez naśladownictwo. Sądzę, że gdyby wychowywać je z dwumetrowymi dżdżownicami

– to jako dwulatek pełzałoby nawet po schodach i drzewach. Przez naśladownictwo dziecko opanowuje tak skomplikowane czynności, jak mówienie...

... tak, nauka gramatyki jest całkowicie niemal zbędna! Dziecko zapamiętuje słowa, frazy i wyrażenia, uczy się je analizować i syntetyzować, przeprowadza na nich skomplikowane operacje logiczne! Jeśli małe mówi: „Idę do muzeuma” – to znaczy, że usłyszało kiedyś słowo „muzeum”, że słyszało, iż słowa są odmieniane, że wybudowało w swej głowinie atrakcyjne pojęcie Dopełniacza, że umie naśladować końcówkę dopełniacza i... że nie miało okazji naśladować kogoś, kto by jej użył poprawnie.

Dziecko jest zwyczajnym małpiszkiem – niemal do wieku szkolnego – i należy o tym bezustannie pamiętać. Wszelkie Pana i Pańskiej żony gesty, tiki, tony, fumy, fochy, okrzyki, miny, wyraźzonka i przekleństwa – zostaną zauważone, zapamiętane i (najczęściej) w odpowiedniej sytuacji reprodukowane.

Jeśli dwuletnia córeczka niesłuchanie kulturalnych państwa profesorostwa ni z tego, ni z owego powie w gniewie: „Ty kulwo”

– to może Pan być przekonany, że umieszczenie mikrofoniku w mieszkaniu tych państwa dałoby Panu niezły materiał do badań nad obyczajami ludu polskiego!

Jeśli Pański syn gapi się bezmyślnie w okno – niech Pan sprawdzi, czy przypadkiem Pan nie ma tego nawyku od czasu do czasu?

Niczego w tym rozdziałiku nie chcę sugerować. Wszelkie wnioski niech Pan wyciąga sam, pamiętając o owym ojcu, który pytał syna: „W kogoś Ty się wrodził, że codziennie spotykam Cię w tej knajpie?”.

informatyka

Proszę nie dziwić się, że omawiam ten temat osobno mimo hasła MATEMATYKA. Z punktu widzenia matematyki bowiem, informatyka nie ma z nią nic wspólnego – w pewnym sensie jest ona nawet jakby antymatematyką!

Matematyk stara się objąć logicznie trudny problem, informatyk natomiast rozwiązuje go poprzez szybkie przeliczenie wszystkich możliwości. Tales z Miletu obliczył dokładnie odległość od okrętu, który utknął z dala od brzegu. Byłby jednak zgorszony, gdyby pojawił się jakiś pływak ciągnący za sobą sznurek z supełkami, a to właśnie robią informatycy. Po co – powiadają oni –

subtelne metody przyspieszania liczenia, skoro każdy nosi w kieszeni komputerek?

Dla matematyka informatyk jest pasożytem, żerującym na jego terenie, w dodatku posługującym się jego terminologią bezprawnie! Dla matematyka istotną właściwością liczb jest ich nieskończoność – informatykowi jest to najzupełniej obojętne i gdyby mu powiedziano, że liczb jest raptem tylko centezylion – to wzruszyłby ramionami (dopóki, oczywiście, komputery nie byłyby zdolne doliczyć się do centezyliona).

Piszę to po to, by uświadomić Panu, iż zajmowanie się dzieckiem matematyką i informatyką – to dwie całkiem odmienne dziedziny. Dwa style myślenia: teoretyczny i skrajnie praktyczny.

Mówi się, że informatyka to przyszłość świata. Obawiam się, że zanim Pańskie dziecko wejdzie w życie zawodowe, zdanie to należeć będzie do przeszłości. Już dziś nasze praktyczne potrzeby w dziedzinie informatyki są teoretycznie całkowicie rozwiązane; kwestia upowszechnienia tych technik to – kilkanaście lat, a dalszy postęp warunkowany jest tylko faktem, że wielkie mocarstwa pragną mieć rakiety sterowane komputerami o ułamek sekundy szybszymi niż komputer przeciwnika.

Któregoś dnia mocarstwa dojdą do wniosku, że gdy różnica ta jest mniejsza od milionowej części sekundy, to gra przestaje być warta świeczki. W tym czasie każdy obywatel zostanie już w ramach produkcji ubocznej zaopatrzony w komputerek, który po powiedzeniu: „Podaj całkę z funkcji Lagrange’a”, będzie ją wypisywał na ekranie, a gra w szachy zaniknie, gdyż komputer VII generacji ustali, kto w nią wygrywa i poda ciąg wygrywających ruchów dla Białych (A może dla Czarnych? A może szachy są remisowe?).

Moim zdaniem informatyka już wkrótce się zatka – a przyszłość należy do biogenetyki (o ile ta odzepi się od człowieka). Nie wiem, jak stoi biogenetyka w Polsce, ale obawiam się, że marnie.

Natomiast dziecko musi rozumieć, o co chodzi w informatyce – i powinien Pan to mu ułatwić. Czy się tego chce, czy nie – komputerek będzie niedługo takim samym narzędziem jak długopis – i powinien Pan synowi coś takiego zafundować, choćby ten wykorzystywał go jedynie do gier typu „Zorro”. Kiedyś skusi się do programowania – a przynajmniej zrozumie, o co tam chodzi. Nie jest to trudne. Przypomina rozwiązywanie szarad.

Gry komputerowe też dziecku nie szkodzą. Wyrabiają sprawność palców i refleks, jestem przekonany, że dzięki ich rozpowszechnieniu sprawność

prowadzenia samochodów znacznie wzrośnie! Będą i oczywiście, i ofiary: maniacy, którzy strawią życie na grach komputerowych. Ale na to nie ma rady: by istnieli, śred-niacy, muszą istnieć ekstremiści.

Trzeba jednak pamiętać, że komputer odrywa od rzeczywistości. Upraszcza rzeczywistość. Dlatego dawka działań na komputerze musi być równoważona ćwiczeniami w życiu realnym.

Niech się Pan nie obawia. Normalne dziecko komputerem też się znudzi – jak każdą zabawką. Raczej nie trzeba tu interweniować. Jeśli się znudzi grami – posłać na naukę programowania...

inteligencja



Słowo to oznacza:

A. Warstwę ludzi operujących abstrakcyjnymi pojęciami ze zrozumieniem.

Zróbmy test:

„Średni plon prosa w Rurytanii to 64 q/ha, a w niektórych jej kacykostwach znacznie więcej”.

„Średni plon prosa w Rurytanii to 64 q/ha, a w niektórych jej kacykostwach znacznie mniej”.

Czy oba zdania głoszą o rurytańskim rolnictwie mniej więcej to samo, czy też ich treść jest diametralnie odmienna?

Jeśli Pańska odpowiedź brzmi: „Tak, prawie to samo” – zalicza się Pan zapewne do inteligencji.

Jeśli Pańska odpowiedź brzmi: „Nie, sytuacja opisana w pierwszym zdaniu jest korzystniejsza” – jest Pan pół- lub ćwierćinteligentem.

Jeśli nie rozumie Pan problemu, jest Pan normalnym, porządnym człowiekiem.

Inteligencja jest warstwą sztuczną, mającą wiele wad, jednak niezbędną dla celów specjalnych, podobnie jak wyspecjalizowane mrówki w swej społeczności. Nawyk myślenia zdobywa się w dzieciństwie, braki trudno nadrobić po dziesiątym roku życia, bo rzecz w nawyku krytycznej analizy, a nie samej umiejętności. Stąd wyhodowanie warstwy inteligencji trwa wiele pokoleń i straty spowodowane emigracjami, zaborami i okupacjami – z najtragiczniejszą, planową, eksterminacją hitlerowską – długo jeszcze nie będą odrobione. Przynależność do inteligencji jest w znacznej mierze dziedziczna (co nie

powinno nikogo mylić, bycie inteligentem to ciężki obowiązek, a nie przyjemność!), ale jest to warstwa niesłychanie otwarta: inteligentny „człowiek skądkolwiek” wchodzi w nią po kwartale, a jego dzieci nie mają już żadnych trudności. Gorzej ze wszechobecną półinteligencją, ale i to siedlisko snobizmów trzeba tolerować, gdyż zapewnia transmisję informacji między biegunami. Wraz z rozwojem i dostępnością środków przekazu półinteligencja tę rolę traci, obserwujemy obecnie w świecie agonalne paroksyzmy tej warstwy.

B. Zdolność orientowania się w nowej sytuacji. Jest to jedna z tysiąca mniej lub bardziej udanych definicji. Wiadomo, że inteligencja dziecka rozwija się stopniowo, poszczególne komponenty doszklusowują z wiekiem – koroną inteligencji jest zdolność rozumowania abstrakcyjnego, dana względnie niewielkiej liczbie osób. Umiejętność ta nieraz przeszkadza w myśleniu konkretnym, ponieważ jednak przeważa – i to znacznie – u mężczyzn, została przez kobiety okrzykana jako najważniejsza (*vide* PŁCI ROLE).

Jeśli zerknął Pan pod to hasło, uświadomił Pan sobie, że córka – nawet głupia – jakoś sobie radę da, natomiast dla chłopca orężem w walce o byt jest tylko siła i inteligencja, przy czym ta druga, odpowiednio ukształtowana, wystarczy samoistnie, podczas gdy sama siła fizyczna może nawet nieraz zaszkodzić. Trzeba więc dbać o rozwój inteligencji.

Pierwsze przykazanie brzmi: żadnej systematycznej nauki! Wiedza jest przeciwieństwem inteligencji; gdyby było inaczej, można by wyhodować mędrców mądrych mądrością niemal nieograniczoną. W języku polskim nie odróżnia się pojęć *saentia i sapiemia*, życie nakłada jednak na wybitne umysły podobne ograniczenie, jak zasada Heisenberga na poznawalność lokalizacji elektronu: by czegoś dokonać, trzeba się sporo nauczyć, zabijając wrodzoną inteligencję.

Eksklamacja „Żadnej systematycznej nauki!” nie znaczy, że dziecko ma nic nie wiedzieć! Rzecz w tym, by nie pomylił Pan wiedzy z inteligencją. Syn może udzielać poprawnych odpowiedzi na trudne pytania, gdyż już zna rozwiązanie lub też przerabiał podobne zadania. Wykrzyknik ten oznacza też, że nie ma metodyki uczenia inteligencji, choć pewne heurystyki są niekiedy publikowane. Proszę nie dawać im wiary: gdyby to było możliwe, cywilizacje kontemplacyjne dawno by to wykryły – a już na pewno postarałyby się wykorzystać szansę taśmowej produkcji Clausewitzów połowa armii świata (druga by po prostu nie zdażyła).

Jak więc rozwijać inteligencję dziecka? Bodźcowo! Tu i tam rzucić uwagę prowokującą do samodzielnego namysłu, pokazać nieoczekiwane konsekwencje

pozornie prostych działań (Do czego doprowadziło zarządzenie, nieproporcjonalnie ograniczające awanse oficerów polskich w armii carskiej? Do tego, że Polacy na każdym szczeblu byli lepszymi oficerami! *Numerus clausus* na studentów-Żydów musiał podobnie owocować na wyższych uczelniach itd.)> ukazywać bezsensy i sprzeczności otaczającego nas świata (Ma Pan tu szerokie pole do popisu: Czemu kolonie były biedne? Bo metropolia wyciągała z nich pieniądze! A czemu po odejściu kolonizatorów kolonie są jeszcze biedniejsze?), od czasu do czasu podsuwać trudny problem – wymagający myślenia, a nie wiedzy.

Idealnym terenem rozwoju myślenia abstrakcyjnego są gry (*vide* GRY) i matematyka (*vide* MATEMATYKA). Chłopcy (w odróżnieniu od dziewczynek) chętnie grają prawie we wszystko i rozwiązują (odpowiednio zainteresowani – nie materialnie, broń Boże!) abstrakcyjne problemy. Na marginesie, zadania typu:

„Masz ciąg sześciu liczb, zgrupowanych wg pewnej zasady:

2 5 10 17 26 37...

odgadnij zasadę i wpisz siódmą liczbę w wolne miejsce” mimo operowania liczbami, nie należą do matematyki, niemniej są świetnym sposobem wyrabiania zdolności analizy i indukcji.

Wystarczy jedno ziarnko, jedno zdanie rzucone chytrze na przynętę, jedno dobre zadanie na tydzień (a nawet rzadziej), by wysiłki otaczającego świata, zmierzające do zabicia w Pańskim synu samodzielnego myślenia (*vide* np. PRZEKAZIORY), spełzły na niczym.

Z drugiej strony, jeśli przyzwyczaił Pan syna do pewnego poziomu, skutki zaniedbania w późniejszym okresie mogą być – a piszę to z własnego doświadczenia – przykre. Inteligencja nie znajdując właściwego zatrudnienia to obraz ponury. Lepiej byłoby nie pobudzać inteligencji we wcześniejszym okresie, niż zachowywać się jak „dobra pani”.

Jeszcze jedno *memento*. Wielu ojców pragnie, by jego dziecko było inteligentne (a przynajmniej takim się wydawało) jak najwcześniej. Samodzielność i inteligencja są jednak ze sobą związane w sposób dość skomplikowany, najczęściej negatywny. Proszę pamiętać, że dziewczynki rozwijają się szybciej niż chłopcy, Murzyni niż Biali, szympansy niż ludzie, psy niż szympansy, chrabąszcze niż ssaki! Samodzielność łączy się z odpowiedzialnością, a umysł dla swobodnego rozwoju musi być nieskrępowany. Dlatego przeciętny młodzieniec powinien jak najwcześniej być samodzielny i odpowiedzialny – natomiast kandydat na Einsteina powinien być przed taką

odpowiedzialnością chroniony. Inteligenci, zwłaszcza lewicowi, rozumieją to drugie – ale sądzą, że takie wychowanie trzeba zapewnić wszystkim, nawet tym 95 procentom niezdolnych do abstrakcyjnego myślenia. Jest to tak, jak gdyby potężne żuchwy, właściwe mrówkom-żołnierzom przyprawiono zwykłym robotnikom.

Natomiast dziecko naprawdę błyskotliwe powinno być nieskrępowane – choćby nawet psuło wszystko dookoła. Myśl ludzka potrafiła przetrwać inkwizycje, inwigilacje i cenzury – zabójcza jest dla niej autocenzura: „A może tak nie można?”. Nie przypadkiem rozkwit cywilizacji przypada na *fin de siecle*, kiedy prawa obywatelskie (a więc pełnię odpowiedzialności) przyznawano dopiero dwudziestojedno-dwudziestosześcioletnim ludziom! Zarówno wcześniej, jak i potem było inaczej.

Oczywiście, inteligencja nie jest jedyną wartością, o którą musi Pan dbać.

I

inwestycja

Dziecko jest nieustanną inwestycją.

Wkłada Pan w nie swój wysiłek, czas i pieniądze – im większe dziecko, tym większe pieniądze.

Nie ma sensu inwestować źle. Proszę sobie uświadomić, że przez jeden błąd w wychowaniu zamiast syna, będącego światłem Pana starości (tak, tak: statystycznie posiadacz dziecka ma ponad 80% szans dotrwania wieku emerytalnego – Pana też to dotyczy!), otrzyma Pan zgorzkniałego mruka, wykręcającego się już nie tylko od jakiegokolwiek pomocy, lecz wręcz unikającego kontaktu z rodzicami.

Ten ciężar spoczywa na Panu. Matka powinna reagować spontanicznie, bez poczucia odpowiedzialności – zresztą taką właśnie będzie kochał całe życie pański syn. (Z córką jest zupełnie inaczej, lecz na stosunki żony z córką nie będzie miał Pan większego wpływu).

Pan również powinien postępować, nie według zasady: „Czy to jest korzystne” (z krótko – lub dalekosiężnych interesów), lecz: „Czy to jest słuszne”. Pańska etyka może różnić się od mojej w szczegółach lub nawet podstawach, ale wewnętrzne poczucie słuszności działania jest najważniejszą bodaj cechą wychowawcy. Nie musi Pan swoich motywów nikomu wyjaśniać – ważne jest, by czuł się Pan w zgodzie ze swymi zasadami. Pańskie czyny nie mogą być również sprzeczne z zasadami przez Pana głoszonymi – w miarę upływu lat wszelkie zasłony znikną, gdyż dziecko wydedukuje sobie zasady z poczyną.

Przed snem winien Pan pół minuty poświęcić na rozważania: „Czy nie popełniłem jakiegoś błędu i czy nie pokazały się u dziecka jakieś niepokojące tendencje”. W 95% uśnie Pan spokojnie, w pozostałych wypadkach warto i dwóch nocy nie przespać, gdyż jedna szczelina niezacementowana od razu może z wolna zniszczyć cały troskliwie budowany gmach.

Rozważania, w jakim celu budowany jest gmach, znajdują się w innych hasłach. Tu omówię jeden tylko aspekt: ubezpieczenia.

Ubezpieczenia znano już w średniowiecznej Wenecji. Służyły znakomicie, gdy kupieckie wyprawy przynosiły zysk idący w tysiące procent, lecz były bardzo ryzykowne. Potem świat się ustabilizował i problem zszedł na drugi plan.

Wrócił wraz z bujnym rozkwitem Nowego Świata. Na Manhattanie wyrastały wieżowce towarzystw ubezpieczeniowych; są ekonomiści twierdzący, że ekspansja kapitału w warunkach demokracji amerykańskiej możliwa była jedynie dzięki

akumulacji w spółkach ubezpieczeniowych. Dziś jednak bogactwa prerii Zachodu, kopalnie złota, fortuny pojawiające się i niknące z dnia na dzień należą do przeszłości – a sam kapitalizm przypomina starca w wieku emerytalnym – ale polip ubezpieczeń pozostał.

Pośrednim – acz łatwo przewidywalnym – skutkiem ich działania jest rozpad rodziny. Wbrew bowiem twierdzeniom Sorela marksowska teza, że „byt kształtuje świadomość” jest weryfikowana (i prawdziwa) w ujęciu statystycznym. Przeciętny człowiek przywiązuje wagę do rodziny całkiem szczerze, świadomie i bez żadnej ekonomicznej motywacji. Jednak jego podświadomość rejestruje niewątpliwie ekonomiczne korzyści z istnienia rodziny: „Ja zapewniam opiekę dzieciom, one zatroszczą się o mnie na starość”.

Ubezpieczenia zniszczyły więc rodziną. Człowiek w pełni sił od swych dochodów odejmuje część, zwaną składką ubezpieczeniową (a więc zużywa pieniądze, które mógłby obrócić np. na korzyść dzieci), a w zamian za to otrzymuje rentę lub emeryturę, dzięki której nie jest od pomocy dzieci zależny. Co więcej, system ubezpieczeń daje tę korzyść, że osobnik żyjący dłużej niż przeciętnie korzysta z pieniędzy, które zmarły wcześniej emeryt odjął od ust swoim dzieciom. A z nich wszystkich żyją urzędnicy i urzędniczeki.

Tak więc, ubezpieczenia na życie powinny być w społeczeństwie totalitarnym zakazane jako hazard własnym życiem; płacę stawkę i wygrywam, jeśli zachoruję lub umrę(?!); przegrywam, jeśli będę zdrowszy niż przeciętnie. Również idee chrześcijańskie zgodne są z tym poglądem: czy Hiob powinien był się ubezpieczyć?

Czy pomyślał Pan o tym, że ubezpieczywszy się na życie na wysoką sumę zmusza Pan dzieci do odsuwania podświadomego „A gdyby tak ojciec umarł?”. A swoje dzieci? Ubezpieczy je Pan i albo nic im się nie stanie (czysta strata), albo też – nie daj Boże – któreś umrze; czy wówczas wypłacone odszkodowanie będzie dla Pana jakąś rekompensatą? Niech się Pan dobrze zastanowi: chyba żadna odpowiedź na to pytanie nie brzmi sympatycznie, nieprawdaż? Więc dajmy spokój tej loterii.

W dziecko inwestuje Pan wprowadzić również pieniądze – nie tylko czas i wysiłek – ale ani Pan tego nie będzie wyliczał, ani domagał się na starość równowartości (?). Cała sztuka ekonomii uczuć polega na przebrnięciu przez zasadzki, które zastawia rzeczywistość. Pańska żona może tę trudność ominąć, nie uświadamiając jej sobie. Pan musi być tego świadom, a mimo to zachowywać

się jak człowiek, który niczego nie żąda. Tylko wówczas Pańskie uczucie do dzieci będzie czyste i – odwzajemnione.

Może na zakończenie przykład wyjaśniający praktycznie tę nieco zawiłą myśl. Kupuje Pan synowi motocykl; na stwierdzenie, że jest to prezent kosztowny, może Pan odpowiedzieć:

- Drobiazg, nie ma o czym mówić.
- Dość drogi, no, to co z tego?
- Bardzo drogi i spodziewam się, że będzie doceniony.

Wariant środkowy jest najbliższy ideałowi. Pierwszy jest błędem zarówno w stosunku do syna, innego rozmówcy lub... samego siebie (deprecjacja lub chwalba), ostatni odbija się na Panu na starość, z tym że będzie Pan w gorszej pozycji, po Panu raczej mało już się będą spodziewać...

jedynak



Pokusa poprzestania na jednym dziecku jest ogromna. Stanowczo jednak doradzam nie redukować do zera prawdopodobieństwa urodzenia się następnych potomków.

Przed wszystkim rodzice mający jedno dziecko wkładają wszystkie jajka do jednego koszyka. Wypadki chodzą po ludziach – zdarzyć się mogą i Waszemu dziecku...

Są to przypadki rzadkie, ale rodzice doskonale je wyczuwają. Dlatego jedynacy otoczeni są nadmierną opieką, co powoduje ich psychiczne wykrzywienie, groźne zwłaszcza dla chłopców. Na przykład US Air Force nie przyjmowała z zasady jedynaków. Motywowało się to troską o rodziców, ale prawda jest taka, że jedynacy nie mają tej determinacji i zdolności zaryzykowania w ułamku sekundy. Są zanadto rozpieszczeni.

Rodzice często wychowują jedynaka na „starego malutkiego”. Dziecko (*vide* IMITACJA), widząc wokół siebie wyłącznie dorosłych, zaczyna odruchowo zachowywać się tak samo.

Nie jest to błąd! Jeśli już zdecydowaliście się Państwo na jedynaka (przypominam: chłop strzela, Pan Bóg kule nosi... znam człowieka, któremu urodził się brat, gdy on już był na studiach) – to należy wykorzystywać plusy jego sytuacji, a nie na siłę upodabniać go do średniej. Jest zbyt poważny? No, to niech się zajmuje poważnymi sprawami. Dzieci bogatej cywilizacji

cierpią raczej na brak powagi.

Tak więc, specjalizować go należy w tej powadze. Jeśli jest to dziewczynka nadmiernie przywiązana do matki – niech wyrośnie na dziewczynkę-nadmiernie-się-przywiązującą. W dzisiejszej parszywej epoce okazać się może skarbem. Trzeba będzie jednak o nią potem dbać, bo z braku matki może przywizać się do stracha na wróble! Im mniej samodzielne dziecko – tym większą odpowiedzialność ponoszą za nie rodzice!

Decydując się na jedynaka, bierzecie Państwo na siebie obowiązek wychowania go (czy jej) jak jedynaka, ze wszystkimi wadami i zaletami. Jedynactwo jest cechą niejako wrodzoną, a naturalne cechy trzeba rozwijać, a nie tłumić.

Jedynak musi więc mieć zabawki i książki, pozwalające na samotne spędzanie czasu. Musi mieć zagwarantowaną odpowiednią porcję uwagi rodziców. Po paru latach jedynactwa pojawienie się rodzeństwa bywa wstrząsem, trzeba więc przygotować się i na to.

Skoncentrowanie – mądre! – wysiłku wychowawczego i edukacyjnego na jedynaku może przynieść bardzo dobre wyniki. Nie jest to jednak łatwe.

Proszę w każdym razie pamiętać, że ostrzegałem!

karta wstępu

Na początku naszego nieszczęsnego wieku w kołach towarzyskich Nowego Jorku opowiadano przezabawną historyjkę o pewnym nuworyszu. Był to teksański nafcjarz, który postanowił zostać człowiekiem niesłychanie ekskluzywnego klubu nowojorskiego. Nie pomagały znajomości handlowe z Morganami i Rockefellerami – nikt tego cowboya nie chciał wprowadzić na salony...

Teksańczyk powierzył jednak tę sprawę pewnemu podupadłemu finansowo arystokracie i wreszcie, po dwóch latach starań i wydatkowaniu 100000 dolarów (była to wówczas suma ogromna) na subtelne intrygi, nadeszła wielka chwila. Do drzwi zadzwonił posłaniec i po chwili lokaj podawał nafcjarzowi wymarzony dokument: kartę członkowską.

Ten popatrzył na nią ze wzruszeniem przez kilka chwil, po czym wzruszył ramionami, podarł ją i wyrzucił do śmieci!

– Co Pan robi? – wykrzyknęli obecni.

– A cóż mi po członkostwie klubu, który przyjmuje nawet takich jak ja!

Tę anegdotę dedykuję wszystkim, którzy pragną uszczęśliwić kobiety oferowaniem im stanowisk zastrzeżonych dla mężczyzn (i odwrotnie).

Jakie są dwie instytucje, cieszące się od wieków niezmiennym i najwyższym szacunkiem i poważaniem kobiet? Wszyscy statystycy są zgodni: jest to Kościół i wojsko. I nie jest przypadkiem, że są to właściwie jedyne instytucje odmawiające programowo przyjmowania kobiet!

Zwariowane zwolenniczki urawniłowki wyobraziły sobie, że uzyskawszy (na co się zanosi w Kościołach protestanckich) dostęp do stanowisk kapłańskich uszczęśliwią kobiety. Niestety – jest dokładnie tak jak z lekarzami (nawet z ginekologami!) – kobiety wolą mężczyzn!

Pewne sfery – od leczenia, które jest w 80% szamańskim rytuałem, aż po religię – wymagają otoczki *sacrum*. To nie może być robione „po prostu”, to musi robić ktoś wyjątkowy. A kto jest wyjątkowy? Taki ktoś, którym Ja nie mogę zostać...

Jeśli więc zwolenniczkom równych praw kobiet uda się doprowadzić do dopuszczenia kobiet do urzędów kościelnych, to będzie to satysfakcją dla kilkudziesięciu kapłanek, a bezpowrotną stratą dla milionów innych. Trudno o bardziej antykobiecego pomysł!

W starożytnym Rzymie były święta i obrzędy dostępne tylko dla kobiet i obrzędy dostępne tylko dla mężczyzn. Ta właśnie różnica napięć pozwalała Rzymianom na doprowadzenie społeczeństwa do stanu wysokiej kultury przy

zachowaniu jego bojowości.

O tym, co by się stało, gdyby do wojska dopuścić kobiety” – nie chcę nawet myśleć. Jest zresztą kraj – Izrael – gdzie udało się to przeprowadzić z dobrym skutkiem, ale tylko dzięki pieczołowitemu oddzieleniu obydwu formacji oraz atmosferze realnego nacisku i zagrożenia życia. W takich chwilach nawet samice małp włączają się do walki obok samców. W warunkach europejskich przegranie wojny z jakimkolwiek sąsiadem nie grozi dziś fizyczną eksterminacją ludności – a więc i kobiety w armii są zbędne.

Wróćmy do cywila. Musi Pan pamiętać: podziw Pańskiej żony – być może nieco udawany – bierze się stąd, iż nie ma ona pojęcia, że „męskie” czynności są w gruncie rzeczy bardzo proste, przynajmniej te typowe. To samo – o czym może Pan wiedzieć – dotyczy zajęć kobiecych. Każdy głupi potrafi zrobić zupełną grzybową z profitriolkami oraz chateaubrianda na grzance z frytkami i fasolką – jeśli pół dnia potrenuje. Ale – lepiej o tym nie wiedzieć!

Czyż nie przyjemniej podziwiać Kapłankę Domowego Ogniska niosącą chrupiące faworki – niż konsumować sporządzoną pos-pólnie porcję węglowodanów z tłuszczami nasyconymi i skrobią posypane sproszkowaną glukozą i sacharozą krystaliczną z domieszkami fruktozy?

Jest to po prostu kwestia smaku. Chodzi o estetykę. Artyści zawsze, jako piękne, rysowali góry i inne formy zróżnicowane. Jeśli rysowali morze – to obowiązkowo z falami.

Dopiero od pewnego czasu – Kandinsky? – pojawiła się tendencja do zestawiania na płótnach kilku gładkich, kolorowych prostokątów. Ten kierunek nadal się upraszczał (secesję nazywano ohydą i wynaturzeniem, wyobrażasz Pan sobie??!), aż wreszcie nastąpiło to, co nastąpić musiało: pewien pacykarz – niech nazwisko jego utonie we mgle zapomnienia – wystawił ogromne płótno w kolorze jednolicie czarnym.

Jest to akurat ten rodzaj sztuki, jaki pasuje do ery urawniłowki. To – a nie socrealizm!

A ja – lubię secesję!

kary

Im młodsze dziecko – tym bardziej przypomina zwierzątko. Stąd ewentualne kary u zupełnych maluchów powinny być stosowane tylko bezpośrednio po „występku”. Japończycy, słynący z dzieci nadmiernie dobrze wychowanych, osobników do piątego – siódmego roku życia w ogóle nie karzą, rozpoczynając tresurę w wieku późniejszym (ale kończąc na czternastym roku; gdyż kto do tego czasu syna nie wychował – nie wychowa już nigdy...). Dalej stosuje się perswazję i apele do rozumu.

Kara nie powinna być przewlekła ani też mieć charakter zemsty czy poniżenia. Musi być – i to jest najważniejsze – sprawiedliwa. W związku z tym powinien Pan dobrze przemyśleć jej zastosowanie, ale pamiętać, iż zaniechanie kary za występki jest też niesprawiedliwością. Z uwagi na warunek pierwszy – karanie na miejscu – nie będzie miał Pan zazwyczaj zbyt długiego czasu do namysłu.

W gruncie rzeczy bardzo dobrą karą jest chłosta. Spotyka się ona ze zdecydowanym potępieniem fałszywych humanistów. Ludzie ci zazwyczaj wykazują jako model systemu społecznego Wielką Brytanię. Zapominają jednak dziwnie łatwo, że chłosta była tam w okresie największego rozkwitu kultury politycznej stosowana i do ludzi dorosłych, a w stosunku do chłopców stosowana jest do dziś w szkołach prywatnych. Udawanie, że poziom szkół prywatnych jest niższy niż państwowych, byłoby śmieszne – przeto problem korelacji pomijany jest milczeniem.

Spranie szczeniaka za ewidentne przestępstwo jest odruchem tak naturalnym, że stosują je nawet zwierzęta. Powinno być jednak minimalizowane.

Dlatego właśnie powinien Pan być bezwzględny, by nie rzec: okrutny. Jeśli za jakieś przewinienie wlepi Pan dzieciakowi lekkiego klapsa, a za inne – drugiego, to efekt będzie nie tylko mizerny, ale i nad wyraz nieprzyjemny dla delikwenta. Natomiast spranie raz, a porządnie, zapewni Panu i żonie spokój na pół roku (nie powinno się to zdarzać częściej!) i w sumie dziecko oberwie mniej, niż gdyby co drugi dzień dostawało raz paskiem.

Jeśli mimo takiej wstrząsowej terapii dziecko nadal popełnia wykroczenia, to trzeba nie bić, tylko się zastanowić: może ma za dużo obowiązków? Być może niewłaściwie je Pan lub Pańska żona traktujecie? Być może należy zmienić klimat psychiczny w domu? Być może (to ostateczność, gdyż psycholodzy-praktycy w Polsce są marnymi fachowcami, znającymi się raczej na młodocianych przestępcach, niż na problemach rodzinnych) należy udać się do psychiatrii?

Mimo to trzeba załatwić sprawę tak, by dziecko nie odniosło wrażenia, że z uwagi na „obiektywne warunki” nastąpiło zelżenie reżimu; można je w ten sposób wręcz wpędzić w chorobę psychiczną (jeśli objawy choroby będą dawały pożądane przez dziecko rezultaty)!!

W Polsce tradycyjnie siedmiolatek przechodził pod władzę ojca. Pan również od tego wieku powinien odebrać żonie prawo karania synów. Kobiety rzadko potrafią być sprawiedliwe, kierują się raczej emocjami. Kobiety również mają zwyczaj tu szturchnąć, tu za czuprynę lub ucho pociągnąć, tu klapsa dać, tam pokrzyczeć

– w rezultacie dziecko zamiast bać się kar uodparnia się na nie (*vide* MLYNARZ ŚPIĄCY) i potem nawet pasek nie pomoże.

Proszę mnie jednak dobrze zrozumieć: pasek jest uprawnionym środkiem wychowawczym, jeśli stosowany jest rzadko i jeśli wymierza Pan karę panując nad sobą. Ojciec bijący dziecko w gniewie, często i bez opamiętania – to obraz żaloszny. To raczej ojciec, a nie syn powinien się udać do psychiatry.

Im starsze dziecko, tym subtelniejsze mogą być systemy kar. Nigdy jednak nie powinny trwać zbyt długo. Na pewno zaś musi być stosowana zasada Prawa Dżungli: po wymierzeniu kary wina przestaje istnieć. Nawet jeśli kara polega na pozbawieniu deseru przez tydzień, to nie wolno robić co dzień wykładu, przypominać, moralizować itp. Dziecko samo dobrze pamięta, że deseru nie ma

– i za co! Powinno to być robione tak dyskretnie, by rodzeństwo tego braku deseru nie zauważało (przynajmniej pozornie)... Temu, który to wytknie – też odbierać deser!

Pies nie wyrośnie na dobrego, agresywnego psa, jeśli będzie się go bić. Podobnie i Panu nie wolno przez bicie złamać syna i przerobić na niewolnika. Trzeba szanować godność dziecka!

Proszę też pamiętać, że kara zmazuje winę. Również w umyśle ukaranego. Jeśli Pan winę dostrzeże, ale nie ukarze, to poczucie winy będzie dziecko skutecznie dręczyć (a więc ukaranie może być humanitarne!). Jeśli natomiast ukarze Pan nadmiernie, to dziecko ma poczucie nie winy, tylko – krzywdy! Skrajnym przykładem – typowym! – na słuszność takiego rozumowania jest znane zjawisko, iż osobnik niesłusznie ukarany – np. za kradzież – uważa, że wobec tego ma moralne prawo raz coś ukraść! Czy nie ma w tym odrobiny sensu?

Dziewczynki są zazwyczaj znacznie subtelniejsze, stąd i kary powinny być odpowiednio dobrane. Napomnienie ustne łagodnie udzielone albo solidny klaps raz na jakiś czas powinien wystarczyć.

Jeśli dzieci są nieposłuszne, to w 95% przypadków winna jest Pana żona, która daje przykład niewykonywania Pana poleceń (*vide* IMITACJA). Sam Pan musi tu podjąć właściwą decyzję.

Czytałem kiedyś w „Kulisach” o pewnym panu, który nie mógł sobie na ulicy dać rady ze sprzeczącą się żoną i synkiem. Po chwili namysłu przetrzepał skórę dziecku, a potem... żonie. Ku zdumieniu przechodniów – poskutkowało znakomicie! No, ale to było na Śląsku, gdzie erozja pozycji mężczyzny nie zaszła jeszcze tak daleko...

katastrof teoria

Jest to dział matematyki z pretensjami do zastosowań w życiu. Interesujące jest w nim jedno twierdzenie. Jeśli trwa spór sytuacyjny – bądź zwykła sprzeczka małżeńska – to często najkrótszym i najefektywniejszym wyjściem jest... sprowokowanie katastrofy.

Jeśli żona o coś Pana oskarża, to dobrym sposobem jest wskazanie, że właściwie Pańska wina jest znacznie większa. Następnie wyliczyć swoje dalsze przewinienia – starając się, by co najmniej jedno było monstrualne (oczywiście, również dobrze mogą być one fałszywe). Jeśli uda się Panu doprowadzić ją do jeszcze większej wściekłości, to powinien nadejść moment, w którym dojrzeje ona i spostrzeże absurdalność sytuacji.

W tym momencie jedno zręcznie dobrane słówko – a czasem nawet i tego nie trzeba, czasem nie trzeba nawet miny – może sprowadzić sprawę na płaszczyznę żartu. Następuje nagłe rozładowanie atmosfery.

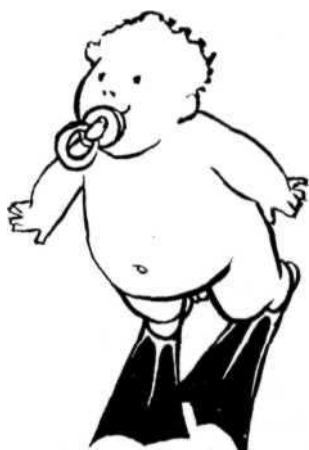
Teoria katastrof głosi właśnie, że wycofywanie się z awantury musi się odbywać drogą okrężną, z pominięciem tematów zasadniczych i trwa dość długo... Natomiast przeskok przez krawędź bezpośrednio na inną płaszczyznę, choć ryzykowny – jest często najlepszy.

Choć ryzykowny. Czasem kończy się to stłuczeniem całej zastawy stołowej. Ale rzadko – rozwodem!!!

Zdrowa i gwałtowna burza znakomicie czyści atmosferę. Natomiast przy powolnym rozładowywaniu kłótni prawie zawsze pozostają jakieś osady (*vide* KLÓTNIA).

Może zostanie Pan Napoleonem kłótni w rodzinie? Uwaga: trójgraniasty kapelusz nieźle chroni przed latającymi talerzami!

kapiel



Kapiel dziecka jest jedną z czynności, z którymi kobiety często miewają kłopoty. I dlatego kilka wskazówek szczegółowych, na wypadek nagłego przywołania, może się przydać.

Czytał Pan zapewne o samodzielnie pływających niemowlakach. Otóż, jest to dziennikarska przesada. Normalne niemowlę pływać zbornie nie będzie (poza możliwymi wyjątkami) – natomiast woda kojarzy się dziecku z bezpieczeństwem w łonie matki, przeto nie będzie się jej ono bało, jeżeli nikt go swym strachem nie zarazi. Dlatego jeśli żona ma jakiegokolwiek wątpliwości i obawy, radzę odsunąć ją od dzieła i pierwsze kąpiele przeprowadzać samemu.

O tym, że woda powinna być cieplejsza niż dziecko, ale nie za gorąca, pisać nie warto (choć ręka lub łokieć mogą być zawodne). Osobiście doradzam wchodzenie do wanny razem z niemowlakiem, a po kąpielii oddawanie go żonie i kąpanie się samemu. Babskim gadaniem, że wanna nie jest idealnie czysta, nie radzę się przejmować, nic się dziecku nie stanie, jeśli się nawet tej wody napije.

Dziecko podtrzymywane jednym palcem pod karkiem będzie leżało na wodzie i i upodobaniem ruszało kończynami. Może Pan śmiało zanurzyć je do linii nosa i ust, z uszami oczywiście włącznie, i nie słuchać obaw, że „należy mu się do uszu”. Jak się należy – to się wyleje lub wyparuje. Na ogół się nie nalewa. Kapałem tak pół tuzina dzieci i jakoś nigdy nie miałem z tym kłopotu.

Jeśli woda jest ciepła, nie ma żadnych ograniczeń czasu przebywania w wannie lub w wanience. Uwaga: rzadko się to zdarza, ale dziecko może zrobić w wannie kupkę! Trzeba być na to przygotowanym – najlepiej z jakimś sitkiem.

Główkę niemowlaka również bardzo wygodnie myje się jedną ręką, gdy pływa on na wznak. Nie grozi wówczas dostanie się mydła do oczu. Resztę ciała myjemy w wanience na wpół siedząco, a w wannie – po oparciu dziecka o swoje kolana.

Wspomnianą resztę dzieciaka można spokojnie umyć byle jak __poza okolicami stykającymi się z wydzielinami. Buzię, zwłaszcza oczy, myje się przed lub po kąpieli, pupę natomiast – bardzo starannie – podczas. Lepiej umyć te okolice zbyt szorstko niż zbyt delikatnie.

Pisząc „resztę można umyć byle jak” – zakładam, że całe dziecko zanurzone jest w wodzie. Jeśli ktoś myje dziecko tak, że wystaje ono z wody, to trzeba części wystające starannie umyć mydłem.

Reszta – według fantazji. Jeśli potrafi Pan wyczuć, kiedy dziecko nabiera powietrza, można (w pozycji na brzuszku) zanurzyć mu na moment głowę pod wodę. Uwaga: dziecko ma szybszy oddech niż dorośli, zacząć trzeba przeto od sekundy – i z czuciem zwiększać ten czas, dając okazję do nauczania się kontrolowania oddechu. Podobno niektóre dzieci potrafią od razu na kilka sekund wstrzymać oddech automatycznie; mnie jakoś trafiały się mniej ziemio-wodne stworki.

Jeśli dysponuje Pan wanną i wanienką, możliwe jest hartowanie dziecka. Do jednej – woda zimna, tj. chłodniejsza od pokojowej, do drugiej – o temperaturze bardzo ciepłej kąpieli. Dziecko może się trochę drzeć, ostrzegam, ale nic to nie szkodzi, z tym że należy do niego uspokajająco przemawiać i nie wykonywać gwałtownych ruchów. Oczywiście, do zimnej wody wkładamy dziecko tylko na kilka sekund!

Uwaga! Jeśli żona nie potrafi powstrzymywać odruchów zdenerwowania, to na czas kąpieli bezwzględnie usuwamy ją z łazienki. Ostatecznie nie musi widzieć i wiedzieć, co Pan robi ze swoim dzieckiem, skoro sama się nim nie zajmuje w kąpieli! Niektóre kobiety mają taki lęk przed wodą, że nawet gdy roześmiany mąż podtrzymuje wesoło gaworzące niemowlę pływające na plecach – rzucają się i zabierają je z wanny. Wpadnięcie do wody całej trójki nie jest przy tym wykluczone!

kieliszek i papieros

Pominąwszy omawiany osobno onanizm, nałogi grożące dziecku można podzielić na trzy grupy:

A. Używki: kawa, nikotyna, marihuana.

Wszystkie one są z pewnością dla dziecka szkodliwe, gdyż – pomijając skutek fizjologiczny – zaburzają normalną homeostazę (*vide* HOMEOSTAZA). Gdy dziecko potrzebuje zmobilizować energię, jego organizm zmuszony do wysiłku uczy się ją mobilizować. Gdy dostanie pomoc w postaci używki – na drugi raz będzie czekało na środek wzmacniający.

Nikotyna ma to jeszcze do siebie, że dym z papierosa palonego przez Pana również szkodzi dziecku. Niepalący czują z obrzydzeniem, że ktoś przebywał w pomieszczeniu z palącymi, zwłaszcza przy podłym tytoniu. Jeśli Pan lub/i żona musicie palić w domu – to wydzielcie osobne pomieszczenie. Jeśli macie tylko jeden pokój wraz z dzieckiem – palcie w ubikacji!

B. Alkohol i LSD

Są to środki bezpośrednio uszkadzające młody mózg – i muszą być wykluczone. Nie ma natomiast dowodów, że umiarkowane ich zażywanie w wieku dojrzałym daje rujnujące następstwa. W odniesieniu do alkoholu są nawet przesłanki pośrednio przemawiające za jego niekoniecznie szkodliwymi skutkami – a nawet fizjologiczne (alkohol „wymiwa” cholesterol opóźniając sklerozę).

Tym niemniej dzieci trzeba chronić przed alkoholizowaniem się. Tu sądzę, że jeśli dziecko nie zostało uzależnione od narkotyku w łonie matki lub poprzez nakłanianie do picia – to przykład pijących nie jest specjalnie szkodliwy. Raczej: bardziej szkodliwe jest picie paru kieliszków – niż upijanie się na umór. Dzieci z domów pijackich, jeśli się nie rozpiją w dzieciństwie, potem mają zazwyczaj wstręt do alkoholu. Tu przykłady odstraszaają.

Technika upicia dziecka czymś obrzydliwym (podobnie jak danie papierosa, co powoduje obrzydzenie!) bywa skuteczna. Natomiast są narody – np. Francuzi – traktujący rozcieńczone wino jak soczek dla dzieci. I szkodliwość tego mierzy się wprawdzie częstymi zgonami na marskość wątroby, ale trudno powiedzieć, czy jest to skutek wczesnego rozpoczęcia picia, czy raczej niewytrenowania wątroby w młodym wieku na alkohol.

Utrzymanie domu w stanie całkowicie bezalkoholowym ma wiele zalet, ale przecież młodzienc w innym domu kiedyś się jednak z tymi płynami zetknie...

Moim zdaniem należy parę razy dziecku pokazać pijaka. Pokazać sąsiada – alkoholika w zrujnowanym mieszkaniu. A samemu można rytualnie wypić czasami

kieliszek. Szesnastoletni chłopak też może z jakiejś okazji wypić kieliszek wina... Niech nie traktuje tego jako coś zakazanego.

C. Ciężkie narkotyki

Tu sprawa jest zupełnie skandaliczna.

Pan, jako ojciec, jest niemal pozbawiony możliwości działania, a przecież to Pan właśnie mógłby tu najskuteczniej zainterweniować! Żadna instytucja nie pomoże Panu, jeśli syn Pański zacznie wchodzić w kontakt z nałogiem. Nie wolno Panu – teoretycznie – ani dziecka z domu wyrzucić, ani dziecka w domu uwięzić (ale radzę to spróbować bezprawnie zrobić). Nie może Pan posłać go do zakładu zamkniętego na swoją odpowiedzialność. Społeczeństwo robi co może, by był Pan bezradny.

Jednocześnie to samo społeczeństwo pod przymusem odbiera Panu pieniądze na „walkę z narkomanią” i za te pieniądze podlecza narkomanów, by – broń Boże – nie umarli od razu, lecz chodzili po świecie i częstowali tą zarazą innych.

Wyjściem byłoby zalegalizowanie narkotyków, co spowodowałoby, że handlarzom nie opłacałoby się wciskać Pana dziecku darmowych porcji hery „dla zachęty” – by potem je doić z pieniędzy. Społeczeństwo nie dojrzało jednak jako całość do zniesienia prohibicji, bo to jest typowa metoda „ogon osła” – za trudna dla przeciętnego obywatela demokracji.

Co można zrobić w tak ograniczonym zakresie?

Zdać sobie sprawę z powagi sytuacji!

Przy pierwszych objawach kontaktów z narkomanami należy od razu:

a) Sprać dziecko – i to bezlitośnie – jeśli wzięło.

Przede wszystkim szczerze o narkotykach mówić już z dziesięciolatkami z odpowiednią dozą zgrozy i obrzydzenia w głosie. Pokazywać zdjęcia narkomanów. Normalne dziecko – odrzuci!

b) Natychmiast się przeprowadzić. To jest możliwe. Jeśli mieszka Pan w mieście – a tylko tam poważnie pojawia się narkomania – wynająć mieszkanie komuś za ciężkie pieniądze, wynająć chałupę na wsi za mniejsze pieniądze. Przenieść tam żonę z dziećmi, samemu dojeżdżać. Finansowo powinien Pan to wytrzymać; straty, jakie Pan poniesie, gdy syn czy córka zaczną wynosić z domu „fanty”, będą znacznie większe. Pomijając już niemal nieuchronną śmierć swego dziecka.

Jeśli dziecko jest już trochę uzależnione, nie oglądać się na rady lekarzy, którzy w gruncie rzeczy zacieśniają jego kontakty z innymi narkomanami w różnych ośrodkach. Zamknąć dziecko na dłuższy czas jak w więzieniu. Proszę

się nie obawiać, że „umrze od głodu narkotycznego”. Jeśli jest w takim stanie, to i tak umrze za jakiś czas! A tu jest szansa! Wymagana jest jednak żelazna konsekwencja.

Na czas izolacji dziecka już uzależnionego – jak i podczas pobytu nie uzależnionego na wsi – musi ono mieć nieustanne zajęcie. Najlepiej atrakcyjne typu sport. Jeśli się nie da – to egzekwować dowolną robotę pod przymusem!

Jeśli nie ma Pan nad dzieckiem kontroli, a mają Państwo inne dzieci – to bezwzględnie źródło zarazy z domu wyrzucić!

Powtarzam: to może zrobić tylko Pan. Ma Pan mało czasu. Liczą się dni, a nawet godziny! Szukanie kontaktu z ośrodkiem zamkniętym – to szukanie kontaktu z wylęgarnią zarazy, poza może jakimiś wyjątkami. W ośrodkach takich pracują pielęgniarki. Po co oni tam pracują za marne grosze? By dorobić na sprzedaży towaru narkomanom! To są duże pieniądze!! Nic ich nacisku nie zwalczy.

Musi Pan działać sam.

Powodzenia!

kłótnia

Przede wszystkim – co nie jest łatwe w dzisiejszych warunkach (mnie się nie udało) – kłótnia między Panem a żoną powinna być absolutną tajemnicą dla dzieci. Miałem to szczęście, że tylko raz usłyszałem w takiej sytuacji podniesiony głos mego ojca, dzięki temu że podkradłem się pod dziurkę od klucza. Moje dzieci nie mają tak dobrego ojca...

Problematyka kłótni, ich strategie i taktyka – to temat do oddzielnych rozważań. Tu pragnę podkreślić jedno:

Temat kłótni jest bez znaczenia!

Jeśli żona robi Panu awanturę o chleb, to zapewne nie chodzi jej wcale o chleb, tylko o to, że Pan ją zaniedbuje (zwłaszcza sexual-nie), nie poświęca dostatecznej uwagi, ewentualnie chce ona coś załatwić za cenę zgody na koniec kłótni.

Mimo tej wiedzy unikanie kłótni byłoby błędem. Powód kłótni nie zniknie. Pominięcie dyskusji byłoby kamieniem obrazy, a odżywka (w odpowiedzi na pretensję o kupno nieświeżego chleba): „No dobrze, już kupię Ci tę sukienkę!” – acz jest tym, o co żonie chodzi, wywoła wściekłość, gdyż świadczy o przejrzeniu jej taktyki, a tego kobieta nie daruje. Owszem, łaskawie zgodzi się wreszcie sukienkę przyjąć, ale będą fupy i następna awantura w drodze.

Jeśli prawdziwym powodem do awantury jest pierwszy z wymienionych, to trzeba małżonkę po prostu... no, wśród prawników są spory, czy zgwałcenie własnej żony jest karalne. Ale w tym przypadku oskarżenie Panu nie grozi... A i w pozostałych zalecam raczej jakiś gest dramatyczny (*vide* KATASTROF TEORIA) niż międlenie ciągle tego samego i powolne ustępowanie.

Po męsku trzeba: albo-albo. Przecież tego ona od Pana w gruncie rzeczy oczekuje!

kobieta

Jest to, jak wiadomo, najlepszy przyjaciel człowieka. W haśle PŁCI ROLE znajdzie Pan o różnicach płci. Tu tylko kilka napomnień.

Próba zrozumienia kobiety jest zupełnie bez sensu. Musi Pan zachowywać się tak, jak Pan uważa za słuszne – i znaleźć kobietę, której to odpowiada. Dlaczego jej to odpowiada? Nie może Pan tego zrozumieć, gdyż nie jest Pan kobietą. Natomiast próby dopasowywania się do wymagań kobiety przynoszą skutek opłakany, gdyż owa kobieta będzie miała Pana w pogardzie (pomimo demonstrowanej szczerze wdzięczności i radości – owa pogarda jest czysto podświadoma).

Również w wychowanie córki nie powinien się Pan zanadto wtrącać, pomijając, rzecz jasna, generalia. Kobiety mają swój świat, w który może i można by wejść, ale szkoda czasu (trzeba by przejść proces kobiecego wychowania...).

Dziś kobieta ma bardzo trudną rolę do spełnienia i powinien Pan jej w tym pomagać. Przede wszystkim nie powinna pracować w domu ani poza domem. Wyedukowana do pracy poza domem, do pracy w domu nadaje się źle i – na odwrót. Nie Pana to wina, ale trzeba zrozumieć dramatyczną sytuację dzisiejszych kobiet.

Od kobiety trzeba wymagać bardzo dużo, ale w tym kierunku, w którym ona może się posuwać. Zazwyczaj po terenie działań związanych z jej płcią, ale są liczne wyjątki.

Napoleon Bonaparte, jak wiadomo, znakomicie radził sobie z kobietami. Warto więc, by poznał Pan kilka jego myśli:

„Wspólne wychowanie, które tak dobrze uczy mężczyzn współżycia i które przez koleżeństwo przygotowuje ich do życia publicznego, dla kobiet jest szkołą zepsucia. Rolą mężczyzn jest żyć w jasnym świetle dnia; kobiety stworzone są do życia w wąskim kręgu rodziny i w zaciszu domowym”.

„Państwa upadają, gdy kobiety rządzą sprawami publicznymi”.

„Gdyby kobiety wyszły ze stanu zależności, w jakim powinny pozostawać, przewróciłyby to cały porządek społeczny”.

„Niechaj formuła wygłaszana przez urzędnika stanu cywilnego zawiera przyrzeczenie posłuszeństwa i wierności żony. Powinna ona wiedzieć, że wychodząc spod opieki swej rodziny, trafia pod władzę męża”.

I wreszcie uwaga już podsumowująca, zapisana na wyspie św. Heleny:

„Tylko brak rozeznania, pospolitość myśli i niestaranne wychowanie mogą sprawić, że kobieta zacznie uważać się za całkiem równą mężowi. Zresztą,

istniejąca między nimi różnica nie zawiera w sobie żadnej ujmy: wyższymi właściwościami, moje panie, są piękność, wdzięk, urok; wasze obowiązki to uległość i posłuszeństwo”.

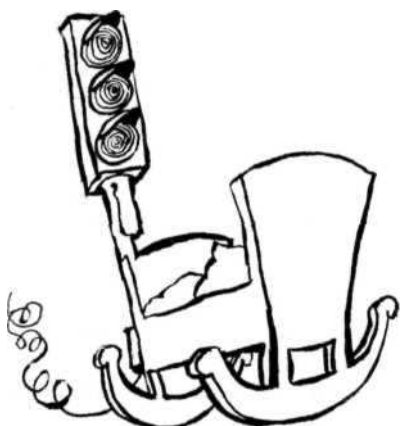
Niestety, otrzymujemy obecnie kobiety wyjątkowo niestarannie wychowane. Nie chodzi tylko o wychowanie publiczne; dziś już pochodzą one często z rodzin, w których matka, pracując, w ogóle nie mogła dać im wychowania właściwego płci. Podstawy społeczeństwa zostały zaiste podkopane i to nie przez dominację kobiet, tylko przez dominację ducha męskiego, dziwnie w kobiecych umysłach przetworzonego.

Pańskim obowiązkiem jest traktować swoją żonę nie jak współtowarzysza i kumpla, lecz jak kobietę. Dać jej szansę odbudowania w jej i Pana córce (jeśli ją Państwo macie, oczywiście) owych pierwiastków kobiecości.

Może to być zajęcie beznadziejne.

Ale warto spróbować.

Czy widział Pan w Swoim życiu prawdziwą Kobietę?



konflikt w rodzinie

Matka może pozwolić sobie na przemilczenie pewnych spraw odkładanie ich *ad calendas Graecas*, wykrętne wyjaśnianie. Niekonsekwencja nie odbierze jej miłości dziecka, bo nie na konsekwencji jest to uczucie oparte. Pan, niestety, musi udzielić odpowiedzi krótkiej i definitywnej – a problemy rozwiązywać zdecydowanie, nie czekając, aż „same się załatwią”. Elżbieta I była właśnie taka, ale jej poddani byli ludźmi dorosłymi i Anglia nawet nieźle wyszła na jej kunktatorstwie, gdyż mężczyźni najlepiej załatwiają sprawy bez zewnętrznej, odgórnej interwencji.

Kobiety i dzieci są istotami łatwymi towarzysko, stąd nie mają wyrobionej zdolności ustalania formalnych ram współpracy. Nie jest im to potrzebne. Wie Pan zapewne z doświadczenia, że wiele takich grup działa w najlepsze w warunkach organizacyjnego bałaganu posuniętego do stadium, w którym mężczyźni pozabijaliby się z braku rozgraniczenia kompetencji lub cisnęliby robotę w diabły. Ta różnica leży zresztą u źródeł niedostosowania kobiet do działania w organizacjach – w najlepszej wierze rozkładają one system pracy.

Rodzina nie jest jednostką formalną. Jeśli więc stwierdzi Pan, że podczas Jego nieobecności wszystko stoi – Pańskim zdaniem – na głowie, jednak w Pana obecności wszystko jest OK, buziaki uśmiechnięte – wszelka ingerencja będzie szkodliwa. Nie należy budzić licha, kiedy śpi! Starsi synowie, dorastając, sami będą wrywać się z tych układów, dążąc do męskich ustaleń.

Jeśli natomiast coś zaczyna się psuć, należy wkroczyć jak najszybciej, ustalając reguły gry. Jest to bardzo trudne zadanie. Przede wszystkim musi Pan przekonać do nich żonę – i to przed ich ogłoszeniem. Samo wymyślenie tych reguł jest skomplikowane – a uzgadnianie ich z kobietą prowadzi do modyfikacji.

Tu ważna uwaga. Po wymyśleniu reguły, np.: „Synowi do godziny 20-tej nie

można zabrać kolejki, jeżeli bawi się w swoim pokoju”, będzie z niej Pan niewątpliwie dumny, i tym bardziej przekonany o jej zasadności, im dłużej Pan nad nią myślał. To zwykły mechanizm psychologiczny. Z drugiej strony wiadomo, że długi namysł oznacza, iż wszystkie możliwe do przyjęcia rozwiązania są mniej więcej równorzędne. Dlatego w wypadku wahania (co nie powinno się Panu często zdarzać) lepiej od razu konsultować się z żoną. Jeśli zaś będzie ona nalegała na zmianę reguły, radzę tym przychylniej odnieść się do jej propozycji, im większe budzi ona w panu odruchowe opory.

Typowy rozwój wypadków jest następujący: dziecko przybiega, wołając: „Tato, Mama nie pozwala mi...”. Pańska reakcja winna być niezależna od zagadnienia i wieku dziecka: „Teraz nie można. Mama ma rację, a potem pomyślimy o tym z Mamą!”. Po tym sygnale zaczyna Pan myśleć sam (dziecko nauczone, iż decyzji nie zmieni – odchodzi), biorąc pod uwagę następujące momenty: Kto ma rację? Jak w przyszłości będzie najlepiej? Jakie podobne konflikty mogą się zdarzyć?

Tu krótka systematyka konfliktów rodzinnych:

– Między dziećmi; najłatwiejsze, przy ich rozstrzyganiu należy kierować się wyłącznie poczuciem sprawiedliwości. Uwaga: oznacza to, że jeśli prawo do zabawy czołgiem przyznałby Pan Jackowi, to nie można wydać decyzji na niekorzyść Placka tylko dlatego, że był niegrzeczny, za co już został ukarany! Jest to niedopuszczalne. Uwaga: równie sprawiedliwie musi Pan rozstrzygać spory dzieci własnych z cudzymi!

– Żoną a dziećmi, o tym najkłopotliwszym zatargu w dalszym ciągu tekstu.

– Panem a żoną; nie wchodzi one w zakres tej książki. Jeśli nie potrafi ich Pan rozstrzygnąć po swej myśli, to należy albo przekazać tę książkę żonie, albo liczyć się z szybkim rozkładem małżeństwa.

W każdym razie o konflikcie między rodzicami nie powinny wiedzieć dzieci. Jeśli się jednak przypadkiem dowiedzą, muszą zostać w najogólniejszej formie poinformowane o jego istocie tonem uspokajającym. Nie ma Pan pojęcia, jak wielka jest szansa, że dziecko przyczyni się do złagodzenia bądź zaniku sporu!

– Panem a dziećmi; takich sporów być nie może! Albo należy przeprowadzić swoją wolę tak, by dzieci były przekonane o słuszności Pańskiego postępowania, albo ustąpić zanim konflikt się

Konflikt w rodzinie 3

zacznie. Nie wolno Panu utracić pozycji arbitra argumentując: „Moje biurko powinno tu stać, bo...”. Pańska rodzina nie składa się z idiotów; jeśli

rzeczywiście powinno, po kilku dniach zgodzą się z tym wnioskiem bez potrzeby tłumaczenia.

Wróćmy do tematu. W rozważaniu „Kto ma rację” nie może Pan brać pod uwagę kwestii autorytetu żony. Jeśli swym poleceniem złamała ustaloną dawniej zasadę, należy natychmiast odpowiedzieć: „Poprosimy Mamę, by Ci pozwoliła!” i z uśmiechem na twarzy (choć wściekłością w duszy, gdyż zły to omen) odszukać żonę i poprosić, by odwołała (lub pozwoliła Panu odwołać) niefortunne polecenie z jakimś rozsądnym uzasadnieniem. Jeśli żona jest chwilowo nieosiągalna, odwołuje Pan polecenie na własną rękę, gdyż dotrzymywanie umów jest ważniejsze, a pozycja matki nie opiera się na nieomyślności i konsekwencji.

Jeśli sprawiedliwość dopuszcza kilka rozwiązań, wybiera Pan najdogodniejsze, biorąc pod uwagę, że może ono stanowić precedens przy następnych, podobnych wypadkach, np. trudno będzie zabronić przybijania gwoździ na stołku, na którym wolno piłować!

Jeśli dojdzie Pan do wniosku, że zakaz żony był niewłaściwy, musi Pan przekonać o tym żonę. Nie zawsze jest to łatwe. Argument: „I tak będę im na to pozwalał!” jest bardzo silny, ale nie wolno go – z wyjątkiem skrajnych przypadków – używać. Jeśli jednak będzie Pan przekonany o swej racji, powiedzie się to z pewnością. W przeciwnym razie da się Pan przekonać do innego rozwiązania...

Dzieciom komunikuje Pan: „Ustaliliśmy z Mamą, że na przyszłość...”. Nadmierny patos jest w tym miejscu przesadą, odrobina poczucia humoru jest na miejscu, niezależnie od tego, czy werdykt wypada po myśli dziecka, czy przeciwnie.

konserwatyzm

Jest to jedna z zasadniczych cech umożliwiających nam utrzymanie spójności kulturowej, a w konsekwencji pozytywną ewolucję obyczajów.

Tylko pielęgnowanie tych samych zasad przez pokolenia pozwala ocenić, które są naprawdę zdrowe i dobre. Gdybyśmy zmienili je szybko – cały efekt przepadłby, gdyż realne skutki wychodzą na jaw dopiero po dłuższym czasie. Stąd wszelkie społeczeństwa wykazują sporą dozę konserwatyzmu, przynajmniej w dziedzinie towarzyskiej i obyczajowej. I tak być musi, jeśli nadmiar postępu nie ma wyrzucić nas poza nawias.

Zasada konserwatyzmu daje poczucie bezpieczeństwa. Również wygody. Działając stale tak samo, nie trzeba ryzykować i myśleć. Jest to jednym z

powodów powszechności konserwatyzmu. Jak widać po wynikach ewolucji, nie szkodzi to, tylko pomaga.

Z drugiej strony jednak do rozwoju potrzebny jest postęp. Stąd konserwatyzm musi być w pewnej delikatnej równowadze z siłami prącymi do zmian.

Czynnikami zmiany są zawsze dojrzały mężczyźni. I

Bastionem konserwatyzmu są starcy i dzieci. Tak, dzieci! Proszę zauważyć, jak przywiązane są do codziennych rytuałów. Owszem, lubią zmiany – ale w oparciu o trwałe podstawy.

Bardzo konserwatywne są też kobiety. Z pewnym wyjątkiem: kobiety w młodym wieku, powiedzmy 14-24 lata, stają się bardzo elastyczne i podatne na przejście z jednego systemu zasad do

Konserwatyzm 2

drugiego. Mimo to zazwyczaj zasady wyniesione z domu wracają w późniejszym okresie, jeżeli nie są zastąpione przez twarde i dostatecznie rozbudowane zasady wpojone w domu męża. Innymi słowy: kobieta wychowana w klerykalizmie może zostać po mężu wojującą ateistką. Jeśli jednak trafi na męża, który będzie w tych sprawach wykazywał tolerancję – to wkrótce wróci do dewocji.

Również młodzież płci męskiej wcale nie jest tak bardzo nowatorska. Ma ogromną plastyczność umysłu, fenomenalne zdolności kombinacji, jednak gotowa jest raczej szerzyć swoje hasła niż eksperymentować z nowymi. Proszę zauważyć, że radykalne ruchy romantyczne wcale nie otwierały drogi do ewolucji, były próbami narzucenia sztywnych zasad, bynajmniej zresztą nie nowych.

Prawdziwe nowatorstwo związane jest – jak powiedziałem – z mężczyznami w wieku średnim. Mają oni jeszcze dość energii, by zwalczać nawyki, a dość rozumu, by robić to w sposób skuteczny. Stąd społeczeństwa oparte o kobiety, młodzież i starców są – pomimo wielce postępowych haseł – bardzo konserwatywne. Te natomiast, które przyznają możliwie dużo swobody i środków mężczyznom w sile wieku – są postępowe rzeczywiście.

Wiek XX był wiekiem socjalizmu, czyli spętania tych właśnie ludzi. Nic też dziwnego, że postęp społeczny w tym okresie to postęp na drodze do niewolnictwa.

Ale coś się, proszę Pana, zmienia. Do XXI wieku niedaleko.

lenistwo

Lenistwo jest motorem postępu. Maszyna parowa, koń (jako siła pociągowa i wierzchowiec), samolot... nawet krzemień został wymyślony przez kogoś, komu

nie chciało się krześć iskry pocieraniem przez godzinę dwóch patyczków.

Tylko ludzie leniwi są twórczy. Pracusię – owszem, mogą sobie harować, ale tylko oni mają z tego korzyści. Natomiast z leniwych ma korzyść cała ludzkość i nie trzeba ich nawet w tym celu obkładać podatkami, jak pracusiów.

Dlaczego w takim razie lenistwo jest powszechnie potępianą wadą? Bo ludzie dziwnie używają tego terminu.

Facet, który struga tak niestarannie, że za chwilę będzie musiał wszystko poprawiać lub robić na nowo, któremu nie chce się podłożyć gazety i potem będzie musiał zmiatać strużyny, który odkłada hebel w takie miejsce, że musi się za każdym razem przechylać przez cały stół – taki jegomość nie jest człowiekiem leniwym!?!?! Skądże znowu! Jest to człowiek pracowity co łatwo sprawdzić obliczywszy, o ile bardziej się napracował od starannego pracownika.

Czy jest to człowiek bezmyślny? Bardzo prawdopodobne. Bezmyślność, czyli lenistwo umysłowe, jest wadą straszliwą. Tę wadę musi Pan tępić u swoich dzieci.

Jednak dziecko leżące brzuchem do góry niekoniecznie musi

I być bezmyślne. Może myśleć intensywnie. Ale jeśli nie ma nic

konkretnego do roboty – to poganianie go, by wykonywało jakieś bezmyślne czynności, jest bez sensu. Ludzie leniwi nie znoszą bezmyślnej pracy. To pracuś gotów jest pracować, byle tylko nie kazano mu myśleć.

Lenistwo 2

Gwoli prawdy, są ludzie nieznoszący bezczynności i jednocześnie leniwi, tj. umiejący wynaleźć sobie pracę i zorganizować ją tak, by wykonanie zajmowało jak najmniej wysiłku. To skarb. Jeśli znajdzie pan taką kobietę – niech Pan natychmiast ją łapie!

Może więc ludzi podzielić na cztery kategorie.

– Aktywnych i leniwych. O nich była mowa przed chwilą.

– Aktywnych i pracowitych. Ci wykonują bezmyślnie każdą pracę – byle coś robić, nie zastanawiając się: jak? Szop pracz pierze, choćby miał puste ręce. Taki nawyk.

– Pasywnych i leniwych. To też klejnoty. Taki do niczego się nie miesza, najchętniej nic nie robi, a zmuszony (żołądek każdego zmusza!) zaczyna się migać od każdej prostej roboty, z czego powstają wynalazki. Takich ludzi trzeba umiejętnie wykorzystywać.

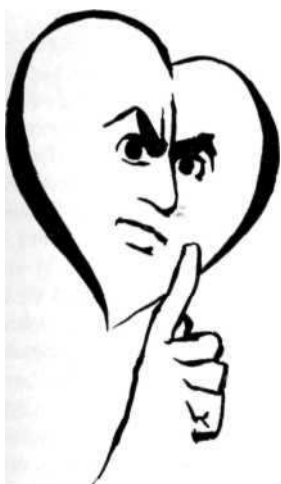
- Ostatnia kategoria to popychla. Popychło samo niczego nie przedsięwzięcie - a zmuszone wykonuje pracę zadaną, nie wkładając w nią inwencji. Proszę uważać, by nadmiarem wydawanych poleceń nie wychować dziecka na członka kategorii IV! Ludzkość dość starannie próbuje wychowywać dziewczynki na kategorię II, a chłopców na III. Jeśli przy okazji uda się krzyżówka i wyjdzie kategoria I - to tym lepiej. Ale trzeba się liczyć z tym, że ideały trafiają się rzadko - i starać się z każdego wydobyć to, co możliwe.

Ratować dziecko zagrożone spadkiem do IV kategorii można następującymi sposobami:

- dawać mu osobisty przykład. Niestety, pracy myślowej nie widać, a demonstrowanie jej innym jest zabijaniem, a nie rozwijaniem ich inwencji;

- premiować przebłyśki aktywności u dziecka, chwalić, jeśli samo zechce coś zrobić. Nie poganiać do roboty!

- jeśli to nie wypali - pozostaje dryl. Poganiać tak, by wyrobiło sobie nawyk niepozostawiania bez zajęcia. Trudno - ale czasem innej rady nie ma....



liberalizm & pobłażliwość

Pojęcia te wymieniane są zazwyczaj obok siebie, a ludzi skłonnych do pobłażania utarło się od kilkunastu już lat nazywać liberałami. Tymczasem są to dwie odmienne i wrogie sobie koncepcje wychowania, przy czym znaczna część ojców preferuje pierwszą, a większość matek - drugą. Oto krótka charakterystyka.

Liberalizm uważa, że człowiek powinien móc robić prawie wszystko. Zakazy powinny być nieliczne. Aby jednak społeczeństwo nie rozpadło się od anarchistycznych poczynań jednostek, przekroczenia tych nielicznych zakazów musiały być surowo karane, w przeciwnym wypadku ustroje liberalne spotykała klęska.

Pobłażliwość jest systemem dokładnie odwrotnym. Wychowanka stara się

ustrzec od popełnienia błędu poprzez otoczenie go murem nakazów, zakazów, pouczeń i rad. Z góry zakłada się, że większość z nich zostanie przekroczona lub nie wysłuchana – toteż kary są symboliczne i stosowane tylko w wypadkach dużej szkodliwości społecznej.

Liberalizm cechuje trzymanie się litery prawa; pobłażliwość odwołuje się do uczucia i korzyści.

Dziecko z natury rodzi się w stanie, w którym nadaje się wyłącznie do stosowania metody pobłażliwej. Nikt przy zdrowych zmysłach nie skarci trzymanego na ręku niemowlaka za zrobienie kupki akurat w danym momencie. Z drugiej strony dojrzały – powiedzmy, ponad dwudziestoletni – młody człowiek instynktownie tej metody nienawidzi, jeżeli nie znajdował się pod wpły-

Liberalizm & pobłażliwość 2

wem matki tak długo, że przywykł do „ciepłego bagienka”. Jak uczy dialektyka, w rozwoju przechodzi się przez stadia pośrednie: przełom następuje u chłopców w wieku 7-9 lat (w dawnych czasach wiązało się to z przekazaniem dalszego wychowania w ręce ojca), u dziewcząt pragnienie samodzielności rozwija się stopniowo, tłumione działaniem hormonów; stąd w pełni samodzielne kobiety znajdujemy dopiero w okresie przekwitania*. Uprzednio najzacieklejsze nawet emancypantki przechodzą okresy, w których szukają takiej czy innej formy paternalistycznej opieki – niekoniecznie ze strony mężczyzny! Również zdarza się to mężczyznom, jednak wypadki takie są rzadsze, a okresy – krótsze, z powodu działania hormonów skłaniających do agresywności, nie dającej się pogodzić z tą formą współżycia.

Tłumienie owej agresywności jest możliwe, jednak – jak każde działanie przeciwne naturze, na dalszą metę przynosi skutki szkodliwe (*vide* HOMEOSTAZA). Nie dopuszczam myśli, by mój czy Pański syn mógł popełnić chuligański rozbój lub gwałt, ale fala tych przestępstw istnieje – a spowodowana jest niemożnością wyładowania agresji i instynktu władzy w sposób społecznie akceptowany. Kobieta skrępowana przyzwyczają się do sytuacji, mężczyzna – buntuje się lub płaci apatią, otyłością, nerwicą i przedwczesnym zgonem.

Zaryzykowałbym więc twierdzenie, że ekspansywna polityka i kolonie były źródłem potęgi Anglii nie z powodów ekonomicznych (dziś kraje postkolonialne domagają się pomocy gospodarczej, co dowodzi, że zyski – jeśli były – pochodziły z racjonalnego włodarzenia, a nie zasobów przyrodzonych), tylko społecznych. Męska młodzież, źle znosząca urzędniczą stabilizację w

metropolii, mogła się wyżyć w koloniach (Australia została nawet świadomie poddana kolonizacji przestępców i w razie potrzeby (wojna!) była bezcenną rezerwą. Nie przypadkiem Australijczycy i Sybiracy byli elitą swych armii! Prawie wszystkie państwa doby dzisiejszej mają kłopoty z tą kategorią ludności; próbuje się ową aktywność rozładować w erotyzmie i sporcie. Nie wydaje się to jednak na dłuższą metę wystarczającym ujściem dla gromadzonej energii, zresztą profesjonalizacja sportu osłabia jego wpływ, a

* Wg terminologii Maranona człowiek przechodzi w życiu przez fazę feminizacji i maskulinizacji. Różnica płci zaznacza się w czasie: chłopiec maskulinizuje się przy dojrzewaniu, kobieta – w okresie przekwitania. Inaczej pisząc, „dojrzałość do człowieczeństwa” pojawia się wraz z hormonami męskimi, ale u kobiet ujawnia się dopiero w wieku „przejrzałym”.

Liberalizm & pobłażliwość 3

dalekosiężne skutki upadku moralności (gdyż w pierwszym wariantcie niezbędnym plastrem jest druga płeć...) bywają gorsze niż choroba.

Tak więc, w stosunku do córki winien Pan być pobłażliwy i elastycznie stopniować samodzielność w miarę potrzeby. Opiekuńczość jest potrzebna w dużym wymiarze, lecz nie można przekroczyć granicy buntu przeciwko niej. Nie oznacza to, że córki nie wolno karać, będą to jednak wypadki o wiele rzadsze. Syn natomiast w wieku lat dziesięciu powinien mieć jasno przedstawiony system obowiązków i zakazów.

Celem takiego ustalenia nie jest regulacja życia w rodzinie (wie Pan doskonale, że na wołowej skórze nie spisałyby się zwyczajów i norm, niezbędnych dla normalnego życia), lecz kształcenie przyrodzonych zdolności dziecka. Dziewczynka, zazwyczaj obdarzona intuicją i znakomitą wyczuć sytuację, tę cechę powinna doskonalić, chłopak natomiast musi znaleźć oparcie w umyśle i inteligencji (*vide* LOGIKA i INTELIGENCJA), należy więc dać mu szansę rozwinięcia tych przymiotów.

Liczba zakazów winna z wiekiem maleć, od jedenastego roku życia syn Pański stał się obiektem prawa cywilnego i karnego, a jego pełnym podmiotem (możność zawarcia małżeństwa i bierne prawo wyborcze) w wieku dwudziestu jeden lat, przeto regulacja rodzinna musi ustępować szybciej niż krępować go będzie społeczna. Dla matki nawet dorosły syn bywa obiektem opiekuńczych zapędów. Pan musi jednak zdobyć się na rzucenie go na głębokie wody.

Oznacza to brak wszelkiej protekcji: w szkole, na studiach, w pracy. Znam, proszę Pana, znam współczesne stosunki i stosunek, sam wiele rzeczy

załatwiam po znajomości, jednak powtarzam: żadnej pomocy w okresie wchodzenia w życie! Najlepsze byłoby postępowanie a la straszny dziadunio (z książki Marii Rodziewiczówny), ale skąd wziąć dzisiaj wiernego Bazy-lego? Na szczęście, w obecnej dobie jesteśmy zazwyczaj aż za dobrze informowani o wszystkim, może więc Pan bez większych trudności kontrolować z daleka sytuację – by ewentualnie interweniować (raz, jeden jedyny raz!) w momencie załamania całkowitego (co prawda nie sędzę, by synowi mogło to grozić w naszym systemie – *vide* BEZPIECZEŃSTWO).

Najlepszą formą rozwoju jest samodzielne przełamywanie trudności, po pierwszych oporach powinny zacząć przychodzić sukcesy. Wtedy, w drugiej fazie, można je delikatnie wzmocnić, by – gdy syn stanie się wartym uwagi partnerem – przejść do

Liberalizm & pobłażliwość. 4

normalnej w naszym społeczeństwie życzliwej kooperacji. W fazie pierwszej taka pomoc byłaby nawet przez dziecko widziana niechętnie, a już zabójczym błędem jest umieszczenie chłopaka na posadzie podlegającej służbowo Panu bezpośrednio lub nawet poprzez osoby trzecie (wszystko jedno, czy jest to wspólny podwładny, zwierzchnik czy też osoba na szczeblu pośrednim).

Powyższe uwagi dotyczą wyłącznie kariery urzędniczej, gdzie ocena pracy jest wysoce subiektywna. Nie ma żadnych przeciwwskazań do pracy syna w warsztacie ojca, jeżeli nie są tam zatrudnione inne osoby! Niechaj Pan pamięta: przed tysiącem lat rzemieślnik szykujący syna do swego zawodu posyłał go w termin do kolegi – najchętniej w innym mieście, a nawet kraju! Tak, Europa wtedy mimo braku kolei, samochodów i samolotów Concorde była o wiele mniejsza, a podróż np. do Włoch trwała tylko 2 tygodnie. Proszę to porównać z dzisiejszym czasem oczekiwania na wizy, szczepienia ochronne – nie mówiąc już o skierowaniu; uczony polski, pragnący wyjechać na konferencję w r. 1981 musiał to zgłosić do „planu wyjazdów” w r. 1979!

Nie ma również powodu, by syn nie rozpoczął pracy w fabryce jeśli ojciec, robotnik tamże, nie zajmuje stanowiska pozwalającego wywierać jakikolwiek nacisk na zwierzchników syna. Jeśli ten warunek nie jest spełniony – Polska jest długa i szeroka, podobnych miejsc pracy sporo, a po 2-3 latach syn, przetarłszy się w świecie, już jako fachman, może wrócić w rodzinne strony. Nie będzie się wówczas czuł jak kurczę w inkubatorze. Widział Pan brojlery? Podobają się Panu? Smakują? No, więc!

Dla dorastającego mężczyzny – aż do pierwszych objawów starości

przynajmniej, ale u większości do końca życia – naturalny i pożądanym jest stan pełnej swobody w granicach jasno określonych. Te granice są ważne: idee niczym nie skrepowanej „blond bestii” wcielającej w życie „naturalną moralność pana” zostały teoretycznie skompromitowane przez markiza de Sade na długo przed niezbyt co prawda wierną próbą ich realizacji przez nazistów. Brak ograniczeń w praktyce prowadzi do faszyzmu lub anarchii. Łudzą się jednak lewicowi liberałowie marzący o wtłoczeniu swej idei w powszechne obecnie ramy konstytucyjne, tj. przy równouprawnieniu. Gdy pełne prawa obywatelskie mają kobiety i niezbyt jeszcze odpowiedziami młodzieńcy, liberalizm jest niemożliwy. Czy sąd wyda taki sam wyrok w stosunku do mężczyzny i kobiety w ciąży? Nie? Dziękuję, wystarczy.

Nawet w świecie pobłażliwym mężczyzna może i musi znaleźć dla siebie „niszę ekologiczną”. Brutalizacja sportu dowodzi słusz-

Liberalizm & pobłażliwość 5

ności powyższych rozważań, nie może Pan jednak męskiego wychowania syna ograniczać wyłącznie do sportu! Stąd waga odpowiedniego wychowania i przygotowania.

Podkreślam – jest to bardzo trudne. Nasza cywilizacja coraz bardziej traci zdobywcze cechy męskie i skłania się ku spokojowi, bezruchowi, pobłażliwości. Na szczęście też dialektyka poucza, że po każdej tendencji nadciąga jej negacja. Trudno powiedzieć, kiedy to nastąpi, ale oznaki są coraz wyraźniejsze. Przyspieszenie tego procesu zależy od nas!

logika

Ludzie dzielą się na myślących ściśle. Reszta to istoty człekopo-dobne.

Nawyki logicznego myślenia wyrabia się w dziecku poczynając od pierwszych rozumianych (ale nie wypowiedzianych) słów i gdzieś w wieku ośmiu lat jest już po wszystkim. Owszem, sylo-gizmów nauczyć można w razie potrzeby (nie widzę jej...) każdego, ale nie idzie Panu chyba o sztukę dla sztuki, chodzi o myślenie w codziennych sytuacjach.

Jeśli Pan nie wpoi synowi tego nawyku – nikt tego nie zrobi. Bo kto?

Żona? Drogi Panie, gdyby była osobą myślącą zdyscyplinowanie, nigdy by się nią Pan nie zainteresował jako kobietą (*vide* KOBIEĆ). Oczywiście są takie, ale ukrywają to starannie lub umierają bezpotomnie niekiedy z dobrowoli (*vide* DEMOGRAFIA).

Szkoła? – może już być za późno.

Wiem, że szczyci się Pan swoją inteligencją, ale czy nie zdarzyło się Panu

powiedzieć synowi: „Jedź jak człowiek, a nie jak zwierzę!”. A w rok (miesiąc, tydzień, godzinę) później: „Patrz, pies ma w budzie porządek, a u ciebie w pokoju taki bałagan!”.

Istnieje dla obu tych twierdzeń ratująca ich spójność interpretacja (choć nie będzie mógł Pan wówczas mówić: „Nie łaź po drzewach jak małpa!”), ale jak Pan zareaguje, gdy na drugą wymówkę dziecko odpowie: „Mam bałagan, bo nie chcę zachowywać się jak zwierzę!!?”.

Logika 2

Może Pan skrzyknąć syna za chwytywanie za słówka, kpiny z ojca, a nawet gwizdnąć go w ucho, najniesłuszniej, rzecz jasna. Wszystko to wszakże nie zaszkodzi, jeśli zdarzy się dwa razy do roku. Syn zachowa niesprawiedliwość w pamięci i wyrobi sobie krytycyzm w stosunku do Pana, co jest z wielu stron korzystne, choć cierpi autorytet (*vide* AUTORYTET i BŁĄD). Jeśli jednak postępował Pan tak od maleńkości, to wychowuje Pan człowieka pozbawionego jedynej w życiu niezawodnej busoli – własnego rozsądku.

Znakomitym terenem uczenia logiki są rozmaite gry (*vide* GRY), ale najlepszym i niezastąpionym jest samo życie.

Skoro został Pan przyłapany na nieściskości, musi Pan albo uciec się do kazuistyki, albo (jeśli pozycja jest nie do utrzymania) przyznać się do błędu. Smutne, ale konieczne.

Nigdy chyba nie zapomnę sceny, gdzie zabroniłem najstarszemu (wówczas 4 lata) synowi dotykać buteleczki z tuszem. Ze spojrzeniem, którego znaczenie zrozumiałem o ułamek sekundy za późno, wyciągnął ku niej rękę; bez namysłu trzepnąłem po łapie. Rozpacz pod hasłem: „Przecież jej nie dotknąłem” była wielominutowa i najoczywiściej płynęła nie z bolącej ręki, tylko ze świadomości, że ojciec złamał regułę gry. On chciał mnie wypróbować!!

Próby ratowania się, że oberwał nie za dotknięcie butelki, lecz za drażnienie się ze śpieszącym się rodzicielem, niewiele dały – musiałem dołożyć połowiczne przeprosiny. Za to przy najbliższej (za 2 dni) okazji, gdy zasłużył na klapsa, przypomniałem mu (o, znakomicie pamiętaną...) sytuację i ogłosiłem amnestię kompensacyjną.

Jeśli nawet mój syn nie przypomina sobie tego zdarzenia (wolę nie pytać...), jest ono zakodowane w jego podświadomości (*vide* PODŚWIADOMOŚĆ) i w motywacjach późniejszych decyzji odgrywa ważną rolę. A gdyby to była córka?

Po pierwsze – dziewczynki są posłuszne. Po drugie – gdyby wyciągnęła palec do butelki, to z przekory, a nie chęci sprawdzenia mej dosłowności –

zastosowana kazuistyka by wystarczyła. Po trzecie – sama byzrozumiała(?). Po czwarte – przecież nie chce Pan wychować szachistki ani fizyczki jądrowej? No, to zmieniamy temat!

matematyka

Proszę nie wierzyć, że „matematyka jest królową nauk”. Matematyka – to kuźnia narzędzi, którymi posługują się inne nauki. To również – podobnie jak logika – szkoła precyzyjnego myślenia dedukcyjnego. I – nic więcej.

Uczeń obkuty w matematyce nie wie o świecie ani odrobiny więcej niż pierwotny Papuas. Świat matematyki ze światem realnym nie ma bowiem nic wspólnego, przynajmniej we współczesnym ujęciu tej gałęzi nauki. Kiedyś tam uważano, że liczby służą do liczenia, a płaszczyzny i proste odpowiadają polom uprawnym i miedzom. Współczesny matematyk stara się jak może unikać podobnych analogii. W skrajnym ujęciu twierdzić będzie, że wiedza o przecinaniu się linii rzeczywistych tylko przeszkadza zrozumieniu matematyki.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Twierdzę (*vide* GRY), że dziecko powinno zajmować się abstrakcyjnymi czynnościami ćwiczącymi umysł – i matematyka jest jednym z takich ćwiczeń. Jest ona również narzędziem dla naukowców, ale jaki procent uczniów zajmować się będzie pracą naukową? Dlatego absolutyzację roli matematyki widzę jako wyraz chęci umysłowej elity zgnojenia konkurencji i wykazania jej, że nadaje się wyłącznie do pasania krów, tj. reperowania samochodów elity.

Gotów jestem również zgodzić się z owym matematykiem ekstremistą i stwierdzić, że w niektórych dziedzinach matematyzacja przeszkadza w zrozumieniu rzeczywistości. Rzeczywistość jest zmienna, matematyka natomiast opisuje ją statycznie. Cytowany wielokrotnie Cyryl N. Parkinson pisał: „Gdy w Chicago buntują się Murzyni, to naszym pierwszym odruchem jest policzenie ich – a drugim sprawdzenie, czy są rzeczywiście tacy czarni, jak się ich maluje”.

Matematyka stała się narzędziem obiektywizacji, ale nasze cele i dążenia nie są obiektywne, lecz najdokładniej subiektywne. Jeśli jest mi zimno, to zakładam sweter i nic mnie nie obchodzi, czy w pokoju jest obiektywnie 17–19–21 czy 23° Celsjusza! Mnie jest zimno. Nam jest źle i nie przekona nas żaden zestaw obiektywnych wskaźników utrzymujących, że jest nam doskonale.

Zgodnie więc z zasadą homeostazy, wkrótce już ruszymy w drugą stronę automatycznie. Zaczną się ruchy społeczne odrzuca-

Matematyka 2

jące naukę, sławiące zabobony i przesady, a przełom wieków stworzy do tego

świetną okazję. Już dziś w pozornie cywilizowanym świecie połowa ludności (zazwyczaj żeńska, co prawda) posiłkuje się horoskopami (*vide* ZASADY), co jest skutkiem nadmiernej alfabetyzacji matołów.

Pana dziecku też to grozi. Któregoś dnia najprawdopodobniej spostrzeże – bezsens oficjalnej nauki i zwróci się w stronę – bo ja wiem? – Czcicieli Szatana? Zen-buddystów? Oby tylko tak.

Wysuniętych pozycji sejentyzmu utrzymać się nie da i nie powinien Pan w to angażować swojego autorytetu. Trzeba skrócić front. Zdecydowanie bronić tego, co w nauce racjonalne i użyteczne, popierać to, co nieużyteczne, ale piękne (jak np. matematyka

—^a_e bez popierania jej pretensji), a odciąć się od bzdury, która powołując się na naukę i matematykę zalewa świat.

Byłoby, oczywiście, najlepiej, gdyby mógł Pan posłać dziecko do szkoły z takim programem i stylem wykładu, jaki Pan uważa za najwłaściwszy. Niestety! W tej dziedzinie prawie-monopol ma Ministerstwo Edukacji Narodowej ze swoim w zasadzie jednolitym programem – a szkolnictwo prywatne, którego placówki można na palcach policzyć, zmonopolizowane jest przez Kościół katolicki (programy tych placówek też są ustalane przez MEN).

Jest Pan więc bezradny (*vide* OJCEM – CZY BYĆ WARTO?), ale coś się zawsze da zrobić. Może Pan mianowicie wyjaśnić rolę matematyki sprowadzając ją z czegoś tajemniczego i groźnego do właściwej roli, narzędzia albo zabawki.

Matematyka jest jedną z najpiękniejszych zabawek, jakie wymyśliła ludzkość. Modele matematyczne kształtują nasze umysły i – bardzo dobrze, bo pozwala to się nam łatwiej porozumiewać. Matematyka jednak nie powinna modelować naszych dążeń, pragnień i wyobrażeń.

Trzeba też pamiętać, że bardzo duża część uczniów ma kłopoty z matematyką. Przede wszystkim mają dziewczęta. W związku z tym programy szkolne zostały nieco dopasowane do damskiej mentalności – ale tu znów zgubiła się klarowność nauki i... kłopoty ze zrozumieniem matematyki szkolnej mają późniejsi geniusze! Dlatego w miarę możliwości niech się dziecko matematyką bawi. Poddać kilka zadań *z Lilcmati*, *Śladami Pitagorasa* lub przykładów z *Kalejdoskopu matematycznego* Hugona Steinhausa. U dziewczynki to prawie na pewno nie chwyci, należy jednak mieć nadzieję, że mimo to przebrnie ona przez ten przedmiot wykorzystując nastawienie szkoły na opanowywanie pamięciowe. Być może niedługo nastąpi zróżnicowanie typów szkół idące dalej niż obecnie?

matka kochana

Jak pisał słusznie w *Rozbójniku Rumcajsie* Jarosław Ctvrttek: „Miłości uczyła Cypiska Hanka, a sprawiedliwości – Rumcajs”.

I tak też dzielone są role w domu. Pan może kochać dziecko bardziej niż żona, ale Pan kocha je za jego zasługi.

Natomiast matka ma kochać dziecko za to, że jest.

Dużym błędem jest zmuszanie żony, by przyłączała się do Pańskiego potępienia dziecka. Karę wymierza Pan. Ale nie może Pan wymagać, by matka dziecko potępiła. Ona może to zrobić sama, we własnym zakresie i według własnych kryteriów.

Tak jak obywatelowi potrzebne jest silne państwo – oraz niezależna od państwa siła duchowa – tak dziecku potrzebny jest ojciec oraz ktoś, kto ma niezależną od ojca ocenę jego postępowania. Autorytet moralny i źródło miłości.

Ale, oczywiście, Pan nie może się temu autorytetowi podporządkować. Wówczas Pan nie byłby niezależny.

mazura teoria



Zmarły kilkanaście lat temu znakomity polski cybernetyk, Marian Mazur, rozwinął swoistą teorię charakteru, którą tu streszczę, gdyż może być przydatna.

Jedną z istotnych cech charakteru jest skłonność do brania lub dawania. Typowy człowiek w młodości jest „egzo-dynamikiem” – czyli chce dawać z siebie możliwie dużo. Następnie staje się „egzo-statykiem” – czyli daje, ale zgodnie z pewnymi regułami; następnie statykiem, który starannie wyważa, by dać tyle, ile bierze; potem „endo-statykiem”, który stara się z reguły wyciągnąć dla siebie, ile się da, a wreszcie „endo-dynamikiem”, który ciągnie do siebie omijając cynicznie reguły.

Teoria ta nie dotyczy, moim zdaniem, wczesnego dzieciństwa i późnej starości, ale o to mniejsza. Teza Mazura – bo teoria musi nie tylko opisywać, lecz i coś twierdzić; inaczej staje się, podobnie jak ogólna teoria względności, zabawką intelektualną lub jedynie narzędziem – brzmi: pasują do siebie charaktery o stałej sumie.

Jeśli oznaczysz kolejne stadia liczbami 1 -5, to wówczas najwłaściwsze zestawienia par będą miały sumę 6. Typowe pary to trzpiotka i finansista lub dwoje statyków – i jest to zrozumiałe.

Człowiek nie musi startować jako „egzo-dynamik”. Niektórzy już w dzieciństwie są statykami lub później. Jednak – utrzymuje Mazur – zazwyczaj przesuwają się w kierunku „endo-dyna-mizu”. Zauważ, że wówczas początkowo dobrana charakterami

Mazura teoria 2

para zaczyna się rozchwiewać. Typowa para to „egzo-statyczka” i „endo-statyk”. Po 10 latach ona staje się statyczką – i zaczyna jej ciążyć dawanie z siebie bez wzajemności, a on „endo-dyna-mikiem”, pragnącym brać coraz więcej i rozdrażnionym oporem.

Teoria Mazura aż prosi się o uzupełnienie, które wyjaśniłoby pewien fenomen.

Dlaczego mimo zmian cech charakteru pewne małżeństwa się nie rozpadają?

Wyjaśnieniem – pozostającym w obrębie teorii – byłoby pojawienie się dzieci.

Niemowlę jest tu raczej kłopotem. Wspominałem już, że wczesne dzieciństwo i zdziecinniała starość nie pasują do teorii. Niemowlę jest zaborcze i dlatego w pierwszych stadiach mężczyzna czuje się źle w rodzinie po narodzinach dziecka. Później jednak dziecko staje się zazwyczaj „egzo-dynamikiem” i średnia w rodzinie wraca do normy. Rodzina jest uratowana: „scemento-wana” – dzięki dziecku.

W naszym przykładzie „egzo-statyczka” i „endo-statyk” mieli wskaźniki odpowiednio $2 + 4 = 6$, co daje optymalną średnią 3. Po owych dziesięciu latach ona – jako statyk – będzie miała 3, on („endo-dynamik”) – 5, a dziecko, najprawdopodobniej „egzo--dynamik” – 1; czyli w sumie 9, średnia 3 – jak było w początkach małżeństwa. Pora zacząć myśleć o drugim dziecku...

Oczywiście, w każdej rodzinie inne są układy charakterów. Osoby z tego punktu widzenia niedojrzałe (np. „egzo-dyna-miczka” z „egzo-statykiem”) muszą na razie walczyć o utrzymanie małżeństwa. Jest bardzo prawdopodobne, że ona

odejdzie z dojrzałym mężczyzną, a on zwiąże się z kimś, kto go „poprowadzi”. Jeśli jednak przetrwają parę lat, to ich związek będzie się, zgodnie z teorią, polepszał. Co jest tu istotne: w tym wczesnym stadium dziecko nie spowoduje scementowania rodziny, lecz przyspieszy rozpad!

Te wszystkie rozważania Pana oczywiście nie dotyczą. Pan nie jest „egzodynamikiem” ani nawet „egzo-statykiem”. „Egzo-” nie czytają takich książek. I słusznie! Nic by im nie pomogły, gdyż zwykli kierować się intuicją, a nie rozumem lub wyrachowaniem.

Zwracam jeszcze uwagę na sprawę wieku (*vide* WIEK).

mezalians

W latach powojennych pojęcie mezaliansu bezlitośnie było wykpiwane jako przeżytek z minionej epoki. Niesłusznie. Co więcej, liczne pary – które posłuchały nawoływań do „przełamywania barier społecznych” – z reguły płaciły potem tragedią, a ich dzieci wraz z nimi. Te dzieci też są ofiarami stalinizmu – czy się o tym pamięta, czy nie.

Oczywiście pochodzenie – a zwłaszcza zamożność – małżonków nie jest ważne w okresie romantycznej miłości. Związki ludzi z różnych sfer zawsze były znane i np. w epoce feudalizmu bodaj równie powszechne i... tolerancyjniej traktowane niż obecnie. Były to jednak związki luźne, a nie dożgonne małżeństwa.

Proponuję zajrzeć pod hasło CZYM SKORUPKA... Dopóki małżonkowie szanują swoją integralność i tolerują odstępstwa od przyjętych w ich środowiskach norm (co jest dla nich nieraz interesujące) – nic się nie dzieje. Dramat zaczyna się z chwilą wspólnego zamieszkania, a zwłaszcza pojawienia się dzieci.

Bardzo wiele małżeństw różnowierców rozpadało się, gdy każde z rodziców starało się dzieci wychować w swojej wierze. Dlatego właśnie Kościoły udzielały dyspensy na takie małżeństwa dopiero, gdy obydwie strony jednoznacznie i wiarygodnie ustaliły, w jakim obrządku będą dziecko wychowywać.

Otóż, codzienne przyzwyczajenia z dzieciństwa są znacznie poważniejszą barierą niż różnice religijne, wszczepione przecież w wieku znacznie późniejszym. I dlatego trzeba nieludzkiego wręcz hartu ducha, by znieść sytuacje, gdy najukochańsza nawet

Mezalians 2

osoba zachowuje się w sposób sprzeczny z wszczepionymi Panu

przyzwyczajeniami. Na to nie ma rady: Pan będzie ją kochał – a Pana będzie od niej coś odrzucało. I w końcu odrzuci.

A jeśli nie odrzuci, to prędzej czy później czekają Was spory o sposób wychowywania dziecka. To są tysiące drobnych różnic, z których normalnie nie zdajemy sobie sprawy, ale które rejestruje nasza podświadomość i klasyfikuje: o, to jest drobny urzędnik ze wszystkimi cechami swej klasy.

W rodzinie Pana dzieciom nie wolno było odzywać się przy gościach, w jej rodzinie mogły się wtrącać. N i g d y nie rozwiązanie tego problemu; nawet jeśli to ustalicie, druga strona nie zdobędzie się na stanowcze poparcie decyzji. Jeśli jednak i przez to byście przebrnęli, to takich drobiazgów są tysiące i po prostu nie tylko nie zdołacie ich przedyskutować, ale nawet nie uświadomicie sobie, o jakie różnice chodzi! Nieraz są one trudne do opisanie przez fachowego socjologa.

Jedynym rozwiązaniem jest całkowite podporządkowanie się jednej strony. Podporządkowanie się mężczyzny (*vide* GŁOWA DOMU) praktycznie zawsze kończy się rozwodem. Natomiast z uwagi na znaną elastyczność kobiet młodych (zwłaszcza bardzo młodych: wiele tragedii wynika stąd, że kobiety idą za męża w wieku osiemnastu i więcej lat, kiedy już są psychicznie za stare), możliwe jest – i dość częste – wejście w sferę męża.

Co jednak trzeba umieć ułatwić.

W tym wypadku po jakimś czasie w kobiecie też odezwą się nawyki Z dzieciństwa – ale jeśli nie będzie Pan zaglądał do pokoju dziecinnego, to ma Pan szansę zachowania uczucia dla żony. Ona będzie pielęgnowała swe nawyki na odcinku matka-dziecko, a w pozostałych aspektach przejdzie na Pana system wartości, bo jako dziecko rzadko widywała typowe między dorosłymi zachowanie.

mieszkanie



Dzisiaj młode małżeństwa za wszelką cenę chcą mieszkać osobno. Następnie zaś narzekają, że nie mają z kim zostawić dziecka...

Niechęć do wspólnego mieszkania z rodzicami bierze się z zakłócenia życia w rodzinie, spowodowanego przez największego wroga naszej cywilizacji – system ubezpieczeń (w tym wypadku: rent i emerytur).

System emerytur spowodował, że zamieszkujący z Państwem rodzice czują się uprawnieni do udzielania Panu rad. Gdyby to Pan miał wszystkie ich i swoje pieniądze i Pan wydzielał je na domowe potrzeby z jednego portfela – czułby się Pan inaczej, a konfliktów z rodzicami czy teściami nie byłoby. Ponadto dzięki idiotycznemu systemowi budownictwa młodzi wprowadzają się prawie zawsze do domu rodziców, w którym nie czują się gospodarzami. Nic dziwnego, że chcą uciec. Do tego wszystkiego mieszkania są malutkie i krępujące...

Pańskim ideałem jest więc wybudowanie sobie mieszkania na tyle dużego, by mógł Pan mieszkać z rodzicami, ale bez skrupowania (rodzice winni mieć osobną część) – i to pod warunkiem, że dużo Pan zarabia! W przeciwnym przypadku musi Pan, niestety, mieć mieszkanie osobne. Obecnie znacznie rozluźniły się przepisy przy zamianie lokali. Zalecam precyzyjną spekulację mieszkani-

Mieszkanie 2

niem, tj. zamienianie go tak długo, aż znajdzie Pan coś obok rodziców i z dobrym dojazdem do pracy. Jeśli to Pan będzie się ogłaszał, to najprawdopodobniej jeszcze Pan na tym zarobi. Odwagi!

W małych miasteczkach i na wsi sprawa wygląda inaczej i regulowana jest w sposób tradycyjny. W każdym jednak układzie proszę pamiętać, by jasne było, kto jest Panem Domu!

Gospodarstwo domowe musi mieć jedną głowę. Niezależna finansowo żona – to

nie jest najczęściej trwałe małżeństwo. Żona zarabiająca więcej niż mąż – to pewny rozkład!

Zakładam, że jakieś mieszkanie, bądź środki Pan ma. Nie jestem, niestety, św. Mikołajem z kielnią w rękę. Przypominam jednak, że dom – to jest podstawa wspólnego życia. Bez tego nie radzę się żenić!

młynarz śpiący

Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka: młynarz śpi przy kręcących się żarnach, żołnierz – wśród huku dział, student – na wykładzie (prowadzonym nieraz przez śpiącego profesora), joga – na gwoździach. Operator koparki, pilot, premier czy aptekarz są w pierwszym miesiącu przerażeni ogromem odpowiedzialności, potem działają już niemal machinalnie, nawiasem pisząc – oznacza to, że dla higieny psychicznej należy jednak zmieniać zajęcie, co w czasach dzisiejszych nie jest łatwe.

Dziecko jest istotą plastyczną i przy wyka łatwo do wszystkiego. Nie chcę odwoływać się do przykładu dzieci-wilków, ale warto uprzytomnić sobie, że dziecko przywyknie:

- do strawy obfitej,
- do pokarmów skromnych,
- do uczciwości,
- do podłości,
- do brudów w mieszkaniu,
- do sypiania głową w dół,
- i tysiąca innych rzeczy. Jego los jest w rękę rodziców, co nie znaczy, że nie jest ono za swe czyny odpowiedzialne.

W szczególności dziecko łatwo przywyka do hałasów. Także produkowanych przez rodzicieli. Jeśli trzy razy krzyknie Pan na dziecko, za czwartym – dla takiegoż efektu – będzie Pan musiał wrzasnąć, po dalszych trzech rozedrzeć się, a następnie walić pięścią w stół.

Młynarz śpiący 2

Odrobina rozsądku pozwoli uniknąć tej eskalacji (dezeskalacja jest bardzo trudnym, a czasem niewykonalnym bez strat przedsięwzięciem). Wszystkie polecenia – od początku – winien Pan wydawać spokojnym, cichym głosem (*vide ROZKAZ*). Co prawda wymaga to autodyscypliny: polecenia trzeba dawać rzadko i wtedy, gdy wie się, że zostaną wykonane, oraz każdorazowo dopilnować wykonania. W ten sposób dziecko przywyknie do ich wypełniania i aż do fazy buntowniczego nastolatka będzie Pan miał spokój.

Znaczenie pojęcia „rzadko” zmienia się z wiekiem. Małym dzieciom (do półtora roku) w ogóle nie wydaje się poleceń (mimo że mogą je zrozumieć, a tak przyjemnie pochwalić się tresowaną małpką); jeśli trzeba czegoś zakazać, odbiera mu się po prostu przedmiot lub przenosi szczeniaka w inne miejsce. Pięcioletnie – wytrzyma pięć poleceń dziennie.

W tym czasie matka może i powinna objawiać dziecku radość ze spełniania jej życzeń. Mają to być jednak prośby, nie kwitowane gniewem (co najwyżej zmartwieniem) w wypadku ich niespełnienia. W ten sposób uniknie się zależności od kaprysów dziecka i nie zerwie poczucia konieczności wykonania polecenia.

Mógłbym argumentować, że powstrzymanie się od krzyku na dziecko jest przejawem ogólnej kultury, że absolwenta Oxfordu odróżnia się od wychowanka innych college’ów tym, iż największe herezje wygłasza beznamiętnym głosem. Cóż, kiedy w dzisiejszych czasach wrzeszczącego chama uważa się za człowieka o silnej osobowości. Powtórzę więc skromnie: krzyk jest – na dłuższą metę – całkowicie bezskuteczny (jeśli nie idzie Panu o wyrobienie sobie strun głosowych lub przystosowanie słuchu potomka do normalnej dziś porcji decybeli).

Nie udało mi się jeszcze spotkać kobiety, która potrafiłaby nie wejść w spiralę eskalacji, jeśli chodzi o ton rozmowy z dzieckiem. Dlatego trzeba żonie w tym pomóc. Wystarczy zapowiedzieć, że poprze Pan jej akcję wobec dziecka, jeśli zgłoszona będzie tonem kulturalnym, ale nie wmiesza się Pan, jeśli małżonka zacznie wrzeszczeć. Na ogół działa.

Czasem wszakże może się zdarzyć, że wrzaśnie na Pana...

W tym przypadku zalecam zajrzeć pod: *ULTIMA RATIO DOMISI*.

nerwica

Nerwica u dzieci spowodowana jest zazwyczaj przez erratyczne wydawanie poleceń – zwłaszcza przez matkę. Jeśli dziecko dostaje na raz zbyt wiele poleceń, jeśli polecenia są sprzeczne, jeśli rodzice odwołują polecenia – własne lub drugiego z rodziców – to do nerwicy blisko.

Jednak najpewniejszym źródłem nerwicy jest pedanteria i per-fekcjonizm rodziców.

Dziecko przy wykonywaniu poleceń oraz przy spełnianiu swoich obowiązków i przy zabawie – popełnia wiele błędów (*vide* BŁĄD). Jest to naturalne, z czasem samo zacznie się doskonalić. Nieustanne wskazywanie, jak należałoby zrobić to lepiej, poprawianie i wytykanie błędów – ma natomiast skutek jak najgorszy.

Po pierwsze – dziecko przestaje myśleć. Po drugie – wpada w nerwicę.

Jeszcze prościej jest zaindukować nerwicę na dziecko przez nerwicowego ojca lub matkę. Nic tu nie pomogą uwagi zawarte w haśle NERWY; tłumienie objawów nerwicy daje efekty jeszcze gorsze niż ich okazywanie, gdyż dziecko i tak to wyczuwa, a rodzic dostaje wrzodów żołądka. Trzeba starać się w tym ostatnim przypadku unikać kontaktu z dzieckiem, starannie dobierać mu towarzystwo, nie pokazywać się na oczy... Tak: lepiej widywać się z dzieckiem rzadziej niż zarazić je. Nerwicę należy traktować jak tyfus.

Wysiłki te będą zapewne nieskuteczne. Ale też i dzieci mają na ogół zdrowy system nerwowy, mogą się z nerwicy otrząsnąć i mogą z nią żyć. Nerwica dobrze opanowana potrafi nawet wyzwolić w człowieku pewne cenne cechy.

Kosztom długości życia, zapewne, ale – czy żyjemy po to, by żyć długo, czy po to, by żyć ciekawie?

nerwy

Nerwica jest ostatnio w modzie, świadczy o wysokiej wrażliwości i inteligencji posiadacza. Zapewne. Ale w oczach dziecka ma Pan wystarczająco imponującą osobowość. Dlatego: ojciec nie ma nerw, a już w żadnym wypadku z nich nie wychodzi. Jeśli jest Pan zniecierpliwiony, niech Pan spokojnie odbierze dziecku przedmiot irytacji, zakaże, ukarze, wyprosi za drzwi lub sam wyjdzie z pokoju. Nerwy są to tego niepotrzebne.

Jeśli szkoda już zaszła, denerwowanie się też nie ma sensu. Jedna pielęgniarka opowiadała mi historię pacjenta bez rąk: jako dwuletnie dziecko wyjął ukryte w chałupie wieloletnie oszczędności ojca i wrzucił do pieca; zdenerwowany chłop wróciwszy z pola i stwierdziwszy szkodę, chwycił siekierę i odrąbał chłopcu dłonie!

Denerwowanie się może być pouczające. Pokazuje dziecku, jak łatwo robi się następne błędy lub – jeśli zawiniło dziecko – jak bardzo nas to dotknęło. Jednakże specjalistką od demonstrowania uczuciowości jest matka. Każde więc niech robi swoje! Zanim zdecyduje się Pan okazać siłę swych uczuć, proszę zajrzeć pod hasło MŁYNARZ ŚPIĄCY.

W dużym mieście człowiek idący ulicą między 4⁰⁰ a 5⁰⁰ – pora odbierania dzieci z przedszkoli – ma po kilkakroć szansę na przykry widok matki z wykrzywioną złością, brzydką twarzą, szarpiącej dziecko za rękę i wołającej: „Jak ty idziesz, ofermo!!” (dziecko potknęło się przed chwilą...). Czasem towarzyszy temu klaps, ale to już nieważne. Złość skoncentrowana na przebiegającej z wysiłkiem nóżkami odrobince – to świadectwo przeciążenia

nerwowego i fizycznego kobiet; tak zachowującą się macochę uznano by dawniej za niegodną wychowywania dzieci! Połączenie kobiecego ekstrawertyzmu z męską brutalną reakcją – to pożałowania godny fenomen naszych czasów!

noworodek

Szef- zdaniem C. N. Parkinsona – to taki człowiek, który robi za swoich pracowników wszystko, czego oni akurat nie chcą lub nie umieją wykonać. Dlatego – choć w zasadzie do opieki nad dzieckiem nie powinien Pan się w ogóle wtrącać w tym okresie jego życia – może się Panu przydarzyć sytuacja typu: „Rany Boskie, to jest takie malutkie i drobniutkie, ja się boję tego dotknąć, by mu nóżek nie połamać”. I tu histeria. Taka reakcja może się zdarzyć nawet po tygodniu opieki nad noworodkiem – kobiety mają swoje tajemnicze powody.

Nie należy wówczas odpowiadać: „Daj mi spokój, jesteś kobietą, sama toto urodziłaś i sama sobie radź!”, lecz najspokojniej w świecie zrobić, co należy – po czym z miną lorda Coxona wrócić do swoich zajęć. Uwaga: to tylko okazjonalnie (*vide* OBOWIĄZKI, PODZIAŁ).

Podstawowa informacja, którą tu zdradzam – a której proszę nie zdradzać żonie, gdyż kobiety są prostolinijne i mogą zanadto lekceważyć swoją rolę – brzmi: „Niemowlakowi nic się nie stanie!”.

Nic się nie stanie, gdyż jest znacznie odporniejszy od dorosłego człowieka.

Te drobne i delikatniuchne rączyny są znacznie bardziej giętkie niż Pańskie. Czaszka noworodka – olbrzymia! – wypełniona jest masą głuszącą, chroniącą mózg właściwy od wstrząsów. Ciało elastyczne dobrze amortyzuje wstrząsy. Niemowlę znakomicie znosi krótkie okresy przeziębienia i przegrzania, Pan by zwariował i zmarł marnie, gdyby musiał Pan spędzić dwa tygodnie w betach, w jakich połowa Polek torturuje swe pociechy (*vide* TEMPERATURA). Szansa, że niemowlę po praktycznym zamrożeniu da się doprowadzić do życia, jest też większa niż u dorosłego. Liczne są również przykłady niemowlaków i małych dzieci spadających z

Noworodek 2

czwartego i wyższych pięter na beton bez utraty życia, zdrowia, a czasem i przytomności. W moim sąsiedztwie jeden dwulatek wgramolił się na parapet i – wyleciał. Skutek był opłakany, choć wypadł tylko na trawnik: wstał, sam wszedł cztery piętra w górę, zastukał do drzwi, matka otworzyła, zorientowała się co się stało, zemdląła, uderzyła głową o stół – i trzeba było wzywać pogotowie...

Mimo to zamrażania niemowląt i wyrzucania ich za okno w celach eksperymentalnych nie polecam – piszę to tylko dla zapewnienia Panu komfortu psychicznego przy wszelkich operacjach z niemowlęciem. Można je spokojnie przeprowadzać z pewną siebie, nonszalancką miną, demonstrując wyższość Pana Stworzenia nad biedną zakompleksioną kobietą. Od razu nabierze odwagi.

Podanie dziecku picia, jedzenia i zmiana pieluszki – to naprawdę żaden problem. O kąpieli piszę osobno.

A teraz ostrzeżenie!

Istnieją zupełnie specjalne powody, dla których do ósmego miesiąca życia nie powinien się Pan dziecku zbyt często na oczy nawijać!

Jak wykazały badania etologów, prawie wszystkie młode w pewnym okresie potrzebują wyrobić sobie swoisty odruch więzi z matką. Odruch ten jest tak potrzebny w późniejszym życiu, że jego brak staje się kalectwem i w związku z tym wyrabianie go jest potrzebą upakowaną chyba aż w genach.

Dzieci wychowywane w Domach Dziecka – mające między trzecim a ósmym miesiącem życia po kilka opiekunek – startują z poważnym obciążeniem. Nie potrafią np. wyuczyć się specyficznego uśmiechu, którym niemowlę wita tylko jedną osobę. Często wykazują o wiele poważniejsze zaburzenia aż do choroby sieroczej.

Tak więc, tylko jedna osoba powinna zajmować się dzieckiem w tym okresie. Nie dotyczy to pierwszych kilku tygodni, podczas których noworodek nie bardzo jeszcze rozróżnia twarze, głosy i ruchy. Tą osobą może być również ojciec, ale istnieją przypuszczenia, że już podczas pobytu w ciele matki dziecko przyzwyczaja się do jej brzmienia głosu i typowych odruchów. Toteż – pomijając już konieczność dalszego nieustannego zajmowania się dzieckiem – ja –bym nie ryzykował. Gdyby zajmowanie się dziećmi przez ojca nie było szkodliwe, zapewne w niektórych cywilizacjach do tego by doszło. Tymczasem – poza dwoma plemionami Indian w Brazylii, zresztą niewielkimi – wszędzie niemowlęciem zajmują się matki.

Noworodek 3

Oczywiście, okazjonalne pobawienie się z dzieckiem w nocy /yui nie szkodzi, niemowlę też potrzebuje rozrywki i zmiany. Ale potrzebuje też stabilizacji. A tę zapewnia matka.

Jeszcze jedna uwaga. Do niemowlaka nie należy podchodzić jak do tłumoczka. Ma ono w gruncie rzeczy większe potrzeby psychiczne, a mniejsze – fizyczne, niż to sobie ludzie wyobrażają. Przed wzięciem na ręce trzeba je słownie

uprzedzić, podobnie jak przed nagłymi zmianami oświetlenia, temperatury i nagłośnienia. Dziecko nie rozumie >>tów, jle znakomicie wyczuwa intonację. Ostatecznie już na osiem miesięcy pn-ed urodzeniem – słyszy. I słucha. Powinno więc zacząć kojarzyć sobie, że słowa niosą informację o zmianach, a – łowa wypowiedziane tonem uspokajającym znaczą, że zmiana nie będzie groźna.

Szczegółowe uwagi rechniczne o pielęgnacji znajdzie Pan w jakiegkolwiek z książeczek, które Pańska żona na pewno czyta, a które Pan przestudiuje po kryjomu – udając, że wiedzę tę ma każdy średnio inteligentny człowiek od urodzenia i w małym palcu...

obietnica

Wbrew przysłowiu „Obiecanki-cacanki, a głupiemu radość” powinien Pan bezwzględnie dotrzymywać obietnic. Jest to po prostu jedna z zasad (*vide* ZASADY) i to taka, której łamanie dziecko odczuwa najboleśniej.

Wiem coś o tym, bo mam: a) sklerozę, b) masę interesów zawodowych załatwianych w domu. Jeżeli z chłopcami sprawa jest prosta o tyle, że sami się upominają, to z jedną dziewczynką mam niesamowity kłopot – ona pamięta o wszystkim, nie zapomni, ma pretensje (siedzi smutna) i nie powie o co jej chodzi! Wywarło to na mnie wbrew pozorom dobroczynny skutek: zacząłem lepiej pamiętać!

W każdym razie lepiej nie obiecać niż nie dotrzymać. Przyjąłem więc zasadę, że wszelkie obietnice formułuję w trybie: „Być może...”. To pozwala się wykręcić, ale też odbiera ducha w rodzinie. Czyż jednak można w dzisiejszej Polsce cokolwiek obiecać na pewno?

obowiązki, podział



Jak już pisałem, podział obowiązków między małżonkami ustalony jest przez tradycję. Mimo to zdarza się czasem, że wyjątkowy talent lub upodobanie

jednej ze stron do jakiejś czynności może doprowadzić do zmiany tradycyjnego porządku. Typowy bywa mąż – kucharz, a zdarzają się mężowie – samobójcy, lubiący, by żona prowadziła za nich samochód. „Samobójcy” – nie oznacza, że żona ich zabije, lecz że umrą przedwcześnie na zawał serca. Znałem wszakże jednego, który wypijał ćwiartkę dla kura/u, siadał na przednim siedzeniu i momentalnie ufnie zasypiał. Dożył późnego wieku: miał tak twardy sen – z trudem go w końcu dobudzano, by poinformować, że od godziny stoi na poboczu, a żona przesiadła się do innego samochodu, który prowadził całkiem inny pan.

Niesłychanie jest jednak ważne, by podział tych obowiązków był jasny i wyraźny.

Jeśli go nie ma, przyjdzie kiedyś dzień, w którym czegoś nie będzie się Panu chciało zrobić. Wówczas spojrzy Pan na żonę z nadzieją. Ona to zrobi za Pana. Potem będzie oczekiwała rewanżu. Potem zaś zaczną się między Państwem gra o to, kto ma tę lub inną czynność wykonać.

Może ona toczyć się otwarcie lub podjazdowo. Czasem – i to też może zakłócić życie – toczy się o to, kto ma tę czynność prawo

Obowiązki, podział 2

wykonać (np. nakarmienie psa). Zawsze jednak zajmuje czas i energię psychiczną powodując niepotrzebne napięcia.

Gdy zatem Pańska żona jest zmęczona i prosi o zrobienie czegoś za nią, Pańskim obowiązkiem dla dobra rodziny jest powiedzieć: „Nie!”. I podobnie Pańskim obowiązkiem jest nie dopuścić, by ona wykonywała coś za Pana.

Nie ma jednak reguł bez wyjątków. Ta bezlitosna reguła dotyczy codziennego życia. Gdy wszakże chodzi o nadzwyczajną okazję – np. wyjątkowo duże przyjęcie – wówczas może Pan się do tego dzieła przyłożyć bez skrepowania.

Ten podział obowiązków – i stanowcze jego przestrzeganie – odegra zbawienną rolę w procesie wychowywania dziecka. Dziecko od małości musi wczuwać się w swoistą rolę swojej płci, w przeciwnym przypadku będzie miało w późniejszym życiu zaburzenia i kłopoty. Natomiast już czternastolatek potrafi to znakomicie odróżnić i powiedzieć, że: „Tego to on robić nie będzie, bo to jest robota dla dziewcząt”, za to z tym większą ochotą podejmie się obowiązków przypisanych swojej płci.

Typowym kontrargumentem jest, że te zachowania są wszczepione przez „demoralizujący przykład” podziału ról. Gdyby – rozumują zwolennicy urawniłowki – dziecko widziało rodziców wykonujących czynności naprzemiennie, to też chętnie podejmowałoby się obydwu rodzajów czynności...

I to jest nieprawda!

Prawdą jest, że – oczywiście – wykonywaloby, może i chętnie wszystko. Ale na pewno nie równie chętnie!

Motorem działania jest różnica, odmienność. Chłopiec chętnie podejmie się czynności, której nie wolno wykonać matce, bo to mu pozwala wykazać nad nią swoistą wyższość. Podobnie dziewczynka czuje się wywyższona wykonując sakralizowane czynności domowe, których nie tykają się mężczyźni. Czuje się wówczas kapłanką.

Dlatego przestrzeganie – i nawet wymyślanie sztucznych – różnic jest nieodzowne. Jest to potrzeba wręcz estetyczna. Prawda, że kupowanie dla chłopczyka ubranek różowych, a dla dziewczynki niebieskich jest ciekawsze i bardziej podniecające, niż gdyby kupowało się bez wyboru?

O barwności życia, o jego smaku decydują rytuały. Niech Pan nie pozwoli im zginąć na swoim poletku!

odpowiedzialność

Bardzo często dziecko coś Panu zawiniło, a żona lub Pańskie sumienie, które przez niedbałość wchłonęło trującą dawkę nowo-modnych przed pół wiekiem teorii, zaczynają perswadować: „Zawiniło – bo zawiniło. Ale My też nie jesteśmy bez winy. Można było nie narażać go na pokusy, można było temu zapobiec, mogliśmy je lepiej wychować, mogliśmy zadbać o lepszy wybór kolegów. Innymi słowy – jest to nasza własna wina”.

Wszystko to mogą być piękne racje. I słuszne. Całkiem możliwe, że należy z tego wyciągnąć takie właśnie wnioski na przyszłość: wychować, przenieść, powstrzymać, pouczyć, nie dawać okazji, zapobiec lub zadbać. Nie ma to jednak nic wspólnego z problemem: ukarać dziecko – czy nie!

Czym innym jest bowiem poziom statystyczny, a czym innym – indywidualny. Jeśli na drodze mamy niebezpieczny zakręt i wiemy, że nieświadomi tego kierowcy nie przestrzegają nakazu zwolnienia, to należy, zapewne, zakręt przebudować. Nie wynika z tego, że nie należy tych kierowców uważać za winnych spowodowania wypadku! Byłoby to czymś nieludzkim. Byłoby potraktowaniem człowieka nie jako istoty obdarzonej wolną wolą, lecz bezwolnej igraszki sił przyrody. Czy człowiek ma wolną wolę, czy nie – to jedna sprawa, ale na pewno powinien być traktowany jak gdyby ją miał. Jest to fundament naszej cywilizacji i pozornie „humanitarne” uwolnienie tego kierowcy od winy jest aktem skrajnie antyhumanitarnym.

To samo dotyczy Pańskiego dziecka.

Odpowiedzialność 2

Dawniej mawiało się: „Jakimś mnie, Panie Boże, stworzył, takim mnie masz!”. Wersja scjentyistycznie zmodernizowana brzmi: działanie człowieka zależy od warunków społeczno-ekono-micznych i jego wolna wola jest nader ograniczona.

Z tego wszystkiego prawdą – mimo wszystko niedocenianą – jest marksowskie powiedzenie „Byt kształtuje świadomość”. Zwracam więc uwagę, że byt Pańskiego dziecka kształtuje Pan i to Pan zatem ponosi odpowiedzialność za ukształtowanie się jego poglądów.

Niewątpliwie Pana postępowanie też zależy od zewnętrznych warunków, jednak ani o jotę nie zmniejsza to odpowiedzialności rodzicielskiej!

Przede wszystkim nigdy – nigdy – nie może Pan przyjąć usprawiedliwienia podobnego podanemu we wstępnym akapicie. Ono może być nawet dobrze umotywowane, ale – jak zobaczymy niżej – nie ma to nic wspólnego z istotą odpowiedzialności.

Przy córce może Pan wziąć drobną poprawkę na większą wrażliwość i podatność kobiet na wpływy środowiska. Syn nie może korzystać z taryfy ulgowej; żadne tłumaczenia: „Koledzy mnie namówili”, „Wszyscy tak robią”, „Śpieszyło mi się” nie są dopuszczalne, jeśli postępek był niewłaściwy. Głupota pozostaje głupotą, a złodziejstwo – złodziejstwem, nawet jeśli są powszechne.

Co do samej zasady, to powiedzmy, że behawioryści udowodnią, iż człowiek całkiem pozbawiony swobody wyboru, jest maszyną reagującą na bodźce dokładnie tak samo, jak gąsienica czy elektroniczny żółw Ashby’ego. Tak zapewne nie jest – co udowadnia J. G. Kemeny w swej znakomitej *Nauce w oczach filozofa*: „Żadna najbardziej pomysłowa i najmniej zrozumiała argumentacja nie zdoła nas przekonać, że nie mamy wolnego wyboru czy podrapać się w głowę lewą czy prawą ręką”, ale przypuśćmy. Z takiego założenia bynajmniej nie wynika, że powinien Pan traktować syna tak, jakby zdejmowało to zeń odpowiedzialność!!

Jeśli fakty zmuszą nas kiedyś do odrzucenia złudzeń o istocie naszego człowieczeństwa, to w nowym języku interpretacja tego brzmieć będzie: istotnie, twój postępek, synu, był zdeterminowany przez okoliczności i środowisko, przeto właśnie cię karzę (pardon: oddziałuję na twój umysł lub skórę), byś na przyszłość był inaczej zdeterminowany!

Zabawne, ale argument o społecznym uwarunkowaniu nie ma praktycznego znaczenia nawet wówczas, gdy obie strony są przekonane o jego prawomocności! Udowodnił to pewien sędzia z południowych Niemiec jeszcze na początku naszego stulecia. Pod-

sądny – bandyta i gwałcieciel – tłumaczył się według nowych wówczas teorii: „W mym środowisku panowały wilcze prawa, na gwałt napatrzyłem się w dzieciństwie, tak zostałem ukształtowany przez społeczność, w której żyłem”. Uzasadnienie wyroku brzmiało: „Sąd w pełni rozumie postępowanie oskarżonego i współczuje mu w sytuacji, w jakiej się znalazł. Jednakże sąd urodził się też w pewnym środowisku, które pochwalało pewne czyny, a surowo potępiało inne nakazujące niekiedy jednoznaczne działanie; tak więc to środowisko – a nie sąd osobiście – jest winne temu, że sąd musiał wydać wyrok śmierci”!

Najważniejszym jest wniosek: dojrzewające dziecko należy zacząć traktować jak człowieka! Oznacza to: uznawać za odpowiedzialne (niezależnie od obiektywnego znaczenia tego słowa) i karać za przekroczenie dozwolonych granic (*vide* LIBERALIZM & POBŁAŻLIWOŚĆ).

ogon osła

Jak powszechnie wiadomo, właściwą metodą postępowania z osłem, który nie chce przejść przez rzekę, nie jest ciągnięcie go za uzdę do wody, lecz przeciwnie – ciągnięcie za ogon do tyłu. Oburzony osioł wyrывa do przodu i bez trudności przebywa rzekę. Dokładnie taką samą metodę można stosować do małych (a czasem – ale uwaga! *vide* PRZYMUS – nie tylko małych) dzieci.

Podstawowym błędem – na przykład – w karmieniu dziecka jest wmuszanie mu jedzenia na siłę. Jeśli dziecko nie chce jeść (zakładam, że chodzi o zdrowe dziecko; w przeciwnym przypadku trzeba iść do lekarza), należy je przegłodzić!

Co więcej – kiedy dziecko zgłodnieje i zadeklaruje chęć jedzenia, należy mu odmówić. Ta chęć jedzenia będzie początkowo bardzo słaba. Potem (czasem mogą to być dwa dni, trzeba je przetrzymać) dziecko zacznie się domagać jedzenia (w czym powinna pomóc żona, przygotowując coś dobrze pachnącego). W tym momencie należy stawić słaby opór...

Chodzi o to, by nie nasycić dziecka, tylko wywołać stały ciąg w kierunku jedzenia. Dziecko powinno nieustannie chcieć jeść!. Zresztą znakomita anglosaska reguła również i dorosłym nakazuje wstawać od stołu w momencie, gdy czują, że z chęcią by jeszcze jeden kęs przełknęli.

Żona może przy tym – udając tajemnicę przed Panem – po cichu je podkarmiać [*vide* MATKA KOCHANA). Wówczas, oczywiście, Pan będzie dłużej i bardziej surowy.

Musi Pan ustępować dziecku na moment przed jego ambitnym postawieniem się:

„Nie – no, to nie będę jadł”, ale możliwie

Ogon osła 2

późno. Czy łowił Pan kiedyś rybę na granicy zerwania się żyłki? Tak? No, to właśnie tak trzeba prowadzić dziecko.

Metoda ta jest niemal gwarantowana. Dziecko będzie domagało się jeść, pod warunkiem że przez odpowiednio długi czas utrzymywano je w stanie niedojedzenia. Będzie wówczas – zapewne – podkradać pożywienie z kuchni. Należy tego nie dostrzegać. Ważne, że jedzenie zaczyna mu się kojarzyć z czymś przyjemnym, a nie z ponurym obowiązkiem. Wybieranie w tym okresie na początku smacznych potraw, a potem coraz mniej smacznych (proporcjonalnie do uczucia głodu) jest dość istotne, ale i dając stale tę samą, średnio smaczną potrawę można osiągnąć zamierzony skutek.

Rzecz prosta – matkę i teściową musi Pan na ten czas – ok. trzech tygodni, choć czasem starczą dwa dni – usunąć z pola widzenia, gdyż będą robić Panu awantury, a dziecko czując poparcie wytrzyma i sto lat (przez babcię podkarmiane z udawanym grymaszeniem).

Wszystko to odbywa się przy założeniu współpracy ze strony żony. Bywają jednak kobiety tak uparte, że osioł jest przy nich potulnym barankiem. Tak właśnie pomyślała to natura: kobieta głupia i nieprzewidująca musi być prostolinijna, gdyż jej potomstwo zmarłoby z głodu, gdyby zaczęła rozumować. Kobieta taka wie raz i na zawsze: „Dziecku jest tym lepiej, im mu jest cieplej, im więcej da mu się jeść i pić oraz im więcej śpi!”. Przypadki skrajne, czyli matki pakujące dziecko do piekarników, trafiają się rzadko tylko dlatego, że boją się, iż potomek zatruje się gazem. Temperatura by ich nie odstraszyła.

Z taką kobietą nie wygra Pan – gdyż zawsze wszystko popsuje, jeśli nie słowem, to choćby czynionymi za Pana plecami minami. O przekonaniu jej mowy nie ma.

Fachowy cybernetyk nie rozkłada jednak rąk.

Należy po prostu – acz jest to już metoda zawodna – przeprowadzić tę samą operację w drugą stronę. Proszę więc sobie teraz wyobrazić, że naszego – nie chcącego przejść przez rzeczkę – osła trzyma za ogon drugi osioł. Wiemy, że aby rzekę przeszedł, trzeba tego pierwszego pociągnąć za ogon. A jak zmusić drugiego, żeby go pociągnął? Oczywiście: pchając.

Właściwą więc techniką jest nakrzyczenie na żonę, że dziecko jest za chude

i powinna je lepiej karmić. Dziecko będzie, rzecz jasna, przerażone i w żonie wzbudzi się potrzeba ochrony dziecka przed niebezpieczeństwem, w tym przypadku: przed brutalem mężem. Należy zdwoić nalegania, robić awantury – skutek będzie taki, że żona zacznie dziecka nie dokarmiać.

Ogon osła 3

W tym skomplikowanym układzie wszystko zależy od względnej siły i masy obydwu osłów. Za wynik nie gwarantuję, ale inteligentne stosowanie tej metody może dać dobre rezultaty (problem jedzenia jest tylko jednym z wielu!). Oczywiście, pojawienie się babci dziecka na horyzoncie tak komplikuje model, że tylko geniusz cybernetyki sobie poradzi. Tu ja bym się poddał. Fizycy udowodnili, że problem trzech ciał jest – poza szczególnymi przypadkami – nierozwiązalny.

Rzecz jasna, nie można przystąpić do tej metody na drugi dzień po zaniechaniu pierwszej, tj. po próbie zmuszenia żony, by współpracowała z Panem w głodzeniu dziecka. Trzeba odczekać co najmniej tydzień; w przeciwnym razie największa idiotka połapie się, że próbuje się wypędzić ją z malin.

Wszystko to oparto na zasadzie, że dziecko jest homeostatem (*vide* HOMEOSTAZA).

ojcem – czy być warto?

Odpowiadam: w zasadzie nie warto!

Z ojcostwem wiążą się liczne kłopoty. Kłopoty te były dawniej rekompensowane: pan domu miał władzę nad rodziną i silniejszą dzięki temu pozycję społeczną. Na starość liczne dzieci były nie tylko dumą i chlubą, ale i materialnie wzbogacały rodzinę z ojcem na czele.

Obecnie ojciec nie posiada praktycznie władzy nad dziećmi. Nie może wybrać nawet godzin, na które dziecko chodzi do szkoły, a w większości przypadków – typu szkoły. Nie może marnotrawnego syna wyrzucić z domu, może mu się natomiast (przypadek prawdziwy) zdarzyć konieczność płacenia za niego... alimentów! Nie ma, oczywiście, mowy o doborze nauczycieli, chyba w drogo opłacanych szkołach prywatnych. Do tego ma na ogół mało czasu i złe warunki. Nawet uświadomienie seksualne jego dziecka chce prowadzić państwo. Obłąd.

A mimo to Pan chce mieć dzieci – bądź nawet pan już je ma – skoro kupił Pan tę książkę. Obłąd do kwadratu.

A nawet do sześcianu, bo robią tak miliony innych mężczyzn. Czy to tylko przekora wobec rzeczywistości, chęć rzucenia jej wyzwania?

Jest tu pewna hipoteza. Otóż zwierzęta (i ludzie) w stanie zagrożenia

wykazują zwiększony popęd do rozrodczości. Czy przypadkiem wysoki przyrost naturalny w Polsce nie świadczy, że nasz naród instynktownie odczuwa zagrożenie i mobilizuje się, aby przetrwać, licząc się ze stratami materiału genetycznego?

To już Pana nie dotyczy. Pan podjął decyzję indywidualną i powinien Pan starać się wyciągnąć z niej korzyści. Aby było to możliwe, będzie Pan musiał uzyskiwać osobiście to, co kiedyś prawo ojcom gwarantowało, a obyczaj potwierdzał.

Powodzenia!

onanizm

Jak Pan zapewne wie, badania dra Kinsey'a wykazały, że jest to bardzo powszechny nawyk. Z czego wnosić można, że nie jest tak znów katastrofalny.

Z drugiej strony jednak bezsprzecznie szkodliwy i Pana obowiązkiem będzie zapobieganie popadnięciu syna w ten nałóg. Pamiętać wszakże należy (*vide CELE TAKTYCZNE I STRATEGIA*), by nie zaszkodzić bardziej niż brakiem ingerencji.

Straszenie chłopca może wyrzucić wpływ bardzo szkodliwy, powodując nawet impotencję. Jeśli przeto wykryje Pan, że syn się onanizuje, należy go zawstydzić, wytłumaczyć szkodliwość tych praktyk i mieć nadzieję, że albo poskutkuje, albo przynajmniej ograniczy to onanizowanie się do rozmiarów wynikających z potrzeby fizjologicznej. Główny natomiast nacisk powinien Pan położyć na zapobieganie. Ponieważ onanizm zaczyna się najczęściej na poziomie odruchowym, przeto nie jest Pan zobowiązany traktować w tych rozważaniach dziecko jak człowieka (*vide POŚREDNIE DZIAŁANIA*).

Nigdy nie zdobyłem się na to, by od małego przyuczać dzieci do obowiązku spania z rękami na kołdrze, co podobno daje dobre rezultaty. Natomiast dość łatwo można regulować następujące czynniki:

- Chłopiec powinien spać lekko przykryty. Ciepło sprzyja podnieceniu erotycznemu. „Trzeba go hartować” – proszę ostro odpowiadać na protesty zaniepokojonej żony.

- Chłopiec powinien być niewyspany, by kładąc się spać szybko zasypiał.

- Chłopiec powinien mieć przed snem właściwą lekturę, tj. nie mieć literatury traktującej o dziewczętach.

- Chłopiec powinien być fizycznie zmęczony, a nie rozleniwiony ani znudzony.

To powinno – bez gwarancji! – dać dobre rezultaty.

ortolinijność

Jest to teoria ewolucyjna – głosząca, że konkurują między sobą nie stabilne geny, tylko ich tendencje. Na przykład, mamut to nie tylko rzeczywisty mamut, ale i cała linia mamutów, których kły rosną. Podobnie samochód to nie tylko kupa żelaza, ale i kierunek jazdy oraz prędkość, z jaką się porusza.

Teoria ta jest – jak się wydaje – jedynie efektownym (i – jak twierdzą specjaliści – nadmiernie uproszczonym) spojrzeniem na ewolucję. Jednak to być może uproszczone spojrzenie pozwala łatwiej zrozumieć pewne sprawy.

Wyda mi się, że w dziedzinie ewolucji kulturowej (*vide* DZIEDZICZENIE) ta teoria działa bezbłędnie.

Jeśli ma Pan jakieś wady: jaką się, dłużej w nosie, cierpi na zahamowania psychiczne itp. – to Pańskie dzieci mają ogromną szansę nie tylko ich odziedziczenia, ale i wzmocnienia! Genetycznie bowiem mają zbliżony podkład, a poprzez przykład tendencję do rozwinięcia tych wad wybitnie wzmacniają (*vide* IMITACJA). Może to nie być widoczne teraz – ale ulegnie wzmocnieniu, gdy Pańskie dzieci będą miały dzieci własne, bo potrzeba znalezienia towarzysza/szki życia zmuszająca do maskowania tych wad, ulegnie osłabieniu (bo ten towarzysz/szka jest już zaklepany/a).

Dlatego swe wady należy przed dziećmi bezwzględnie kryć, by efekt ich osłabiać.

W dodatku zalety jakoś nie chcą się same wzmocnić. W myśl teorii zresztą, której radykalna wersja głosi, że gatunek stworzony jest jako doskonały, a potem powoli się degeneruje (te zbyt wielkie kły!). Wersja mniej radykalna powiada, że gatunek najpierw się doskonali według klasycznych reguł ewolucji, następnie pewne tendencje zostają utrwalone jako korzystne, a potem – dochodzi do ich przerostu i upadku gatunku.

Czy Pan ocenia, że Pańskarodzina jest obecnie na fali wznoszącej się – czy już opadającej?

ostatnie miejsce

Bardzo ważna reguła praktyczna, którą można wpoić już trzy--czterolatki: „Gdy się zgubisz – znajdujemy się w tym miejscu, gdzie widzieliśmy się po raz ostatni”.

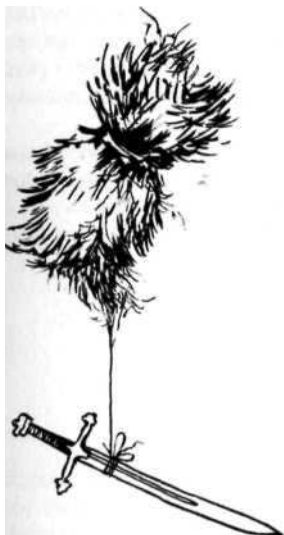
Tę regułę trzeba koniecznie wbić w głowę dzieciom i żonie. Bez tego prędzej czy później oczekuje Pana minidramat typu: „Rodzice pięcioletniej Paulinki, ubranej w biały fartuszek i bucik na lewej nodze proszeni są o zgłoszenie się...” itd, lub nieco większy dramat w postaci poszukiwania dzieciaka po Izbach Małego Dziecka i podobnych placówkach. Bywa i gorzej.

Zasadą żelazną jest, że młodszy ma siedzieć i czekać. Gdy dwie osoby biegają, najczęściej mijają się po drodze.

Tak więc, to Pan będzie szukał zagubionych w tłumie żony i dzieci. Bez kłopotów wymyśli Pan miejsce, w którym się ostatnio widzieliście, oraz ewentualnie dwa-trzy miejsca, które dziecko może za takowe uznać.

Pewną trudność sprawić może wytłumaczenie żonie, że dziecka ona ma szukać, a na Pana – czekać. Jest to jednak do pokonania.

patrylinearność



W ogromnej większości cywilizacji – niemal u wszystkich liczących się w świecie – ciągłość rodu liczona jest po mieczu, a nie po kądzieli. Pomińmy tu niektóre prymitywne plemiona (*vide* POSTĘPOWCY). Pewnym wyjątkiem są Żydzi, u których przynależność do narodu liczona jest wyłącznie po matce, co ma pewne uzasadnienie (*vide* NOWORODEK), ale i u nich dziedziczenie majątków idzie po ojcu.

Niektóre bojowe emancypantki domagają się zniesienia tego obyczaju, traktując go jako jeszcze jeden przeżytek z czasów męskiego szowinizmu.

Uzasadniany on był tym, że syn (a także wnuk po mieczu) na pewno dziedziczył po ojcu wszystkie geny związane z chromosomem Y. Oczywiście, córka mogła po ojcu nie odziedziczyć żadnego genu, a jej córka tym bardziej. Co więcej: jej syn na pewno co najmniej jeden chromosom ma nie po dziadku. Tak więc prawdopodobieństwo, że majątek przypadnie osobie bliżej spokrewnionej, jest przy patrylinearności – większe.

Rozumowanie takie – według bardzo obecnie modnej (a w Polsce nieznanej) teorii, w myśl której jednostką ewolucji jest gen, a nie człowiek – prowokuje pseudofeministki do żądania odwrócenia biegunów lub ich zrównania.

Niestety! Sytuacja nie jest symetryczna!

l'atrylinearność 2

Również z punktu widzenia babki, wnuk, a także wnuczka po mieczu odziedziczyli po niej chromosom X, natomiast wnuk i wnuczka po kądzieli – niekoniecznie. Także zatem z punktu widzenia kobiet partylinearność jest uzasadniona i to z jednakową siłą.

Należy podziwiać siłę ewolucji, która potrafiła wyselekcjonować patrylinearność – mimo (a może właśnie dlatego), że ludzie nie byli świadomi zasad dziedziczenia. Wszelkie namowy do eksperymentów w tej dziedzinie radzę traktować jak w hasło POSTĘPOWCY.

pieniądze

Po okresie szaleństw ludzie zaczynają mieć znów normalny stosunek do pieniądza. Pańskie dziecko będzie najprawdopodobniej żyło już w normalnej epoce i powinno być do tego dostosowane.

Pieniądz – to po prostu miara ludzkiej pracy. Dziecko na widok pieniądza w Pańskim ręku powinno zrozumieć, że jest on wyrazem wdzięczności społeczeństwa za usługi, jakie mu Pan albo Pańscy przodkowie oddali. Jest to również środek zapewnienia sobie w zamian pracy od społeczeństwa na rzecz Pana i Jego rodziny. Lekceważący stosunek do pieniędzy – to lekceważenie pracy ludzkiej!! Posiadanie ich nakłada pewien moralny obowiązek: by pracę tę wydatkować rozumnie. To są Pana pieniądze i może Pan sprawić sobie za to dowolną frajdę, ale nie powinien ich Pan używać na marnowanie społecznego wysiłku. Jeśli zbuduje Pan fontannę pomalowaną na różowo w groszki, to może się ona podobać; jeśli każe Pan raz kopać rów do prowadzenia dopływu, a potem drugi raz do przeprowadzenia w tym samym miejscu odpływu wody – to zmarnował Pan ludzki wysiłek. Wolno Panu – ale nie wypada. Posiadacz pieniędzy powinien świecić przykładem ich szanowania.

Dość często demagodzy przeciwstawiają postawę „mieć” postawie „być”, przy czym moraliści zastanawiająco często wychwalają owo „być”. Każdy oczywiście może żyć (za swoje pieniądze!!), jak uważa. Zwracam jednak uwagę, że postawa „być” jest aspołeczna. Jeśli za swoje pieniądze wybuduje Pan solidny dom, to powstanie coś, co będzie przez paręset lat służyło Pańskiej rodzinie (albo komu innemu – bo może Pański ród

Pieniądze 2

wygaśnie?), a jeśli wybierze się Pan w podróż naokoło świata, to Pańskie wrażenia za marne parędziesiąt lat się rozsypią. Trzeba zachować kompromis

między tymi dwiema postawami – ja tylko zwracam uwagę, że nie wolno postawy „być” propagować jako społecznej, a postawy „mieć” jako antyspołecznej – gdyż jest dokładnie odwrotnie. Również gromadzenie pieniędzy w banku jest postępowaniem nienagannym moralnie. A czy rozsądnym? To zależy od okoliczności.

Niech się więc Pan nie da zwariować.

Pańska rola w rodzinie polega na dostarczaniu pieniędzy i jeśli pozwala Pan na ich lekceważenie, to podkopuje Pan swoją własną pozycję. Dobrze piszę?

Niektórzy ojcowie n i g d y nie powiedzą żonie lub dziecku, że na coś nie mają pieniędzy: wolą powiedzieć, że nie dadzą! Mam dla tej metody ogromny szacunek. Sam jednak wolę uczciwie powiedzieć, że proszę się ograniczać w wydatkach, bo na to nas chwilowo nie stać. Cały czas mam jednak wrażenie, że jest to błąd, z tym że już za późno na jego korektę. Może Pana będzie stać?

Oczywiście kasę w domu koniecznie trzyma Pan. Z tej kasy musi Pan wydzielić sumę na utrzymanie domu – i tą sumą żona powinna dysponować zupełnie swobodnie. W zależności od stopnia jej odpowiedzialności finansowej, wydzielać Pan powinien te pieniądze co tydzień – dwa lub miesięcznie. Jeśli boi się Pan, że to Pan przepije pieniądze – to niech Pan je wpłaci na rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy (warto mieć!) i wręczy żonie cztery czeki z odpowiednimi datami.

Słowo „nabiał” oznaczało niegdyś produkty gospodarstwa, którym zawiadywała białogłowa, i dochód z nich szedł na jej prywatny użytek. Również i dziś żona powinna mieć jakiś własny dochód lub zaskórniak, do którego Pan by nie zaglądał.

Również dzieci powinny mieć własne pieniądze („tygodniówki”) z ewentualnymi premiami lub karami. Próbowalem różnych systemów i wydaje mi się, że w każdym zyski długofalowe znakomicie równoważą się ze stratami krótkofalowymi i – odwrotnie. Trzeba więc eksperymentować, bo jasnych wskazówek ogólnych brak. Jedna jest ważna: nawet najdrobniejsze kwoty (ale nie tygodniówki, oczywiście) rozliczać starannie. Milionerzy oszczędzali każdy cent – i uczyli oszczędzać. Nadmiar pieniędzy w rodzinie bywa zgubny. Uczy braku poszanowania. Do pieniędzy trzeba się przyzwyczaić. Duże sumy prowokują nieprzygotowanych do nadmiernych wydatków. Tylko posiadanie własnej firmy lub posiadłości dającej dochód uczy obchodzenia się z pieniędzmi i, moim zdaniem, tylko tacy obywatele powinni mieć

Pieniądze 3

wpływ na wybór ministra finansów... Jeśli więc wpadną Panu do ręki nadprogramowe pieniądze, to niech je Pan zainwestuje, zwiększając konsumpcję tylko minimalnie. I zyski będą na przyszłość większe i – nie doprowadzi Pan do katastrofy.

Nie należy z drugiej strony oszczędzać na zewnętrznych objawach zamożności. Oszczędność w domu – zamożność na zewnątrz to hasło zupełnie nie z tej ziemi w erze pазernych Urzędów Skarbowych. Wiem. Nic nie poradzę jednak na to, że takie postępowanie jest najwłaściwsze – a system podatkowy niewłaściwy... Może i to się wkrótce zmieni.

Nie należy również na starość rozdawać dzieciom wszystkiego. Dzieci kochają bardzo – to niewątpliwe – ale istnieje jeszcze podświadomość... Poza tym ma Pan wówczas rezerwę, która im się przyda. Jeśli syn lub zięć chcą pieniędzy na jakiś interes, to niech Pan wejdzie jako współnik, a nie daje kapitału! Z tym że radzę się nie wtrącać: przepisy są zmienne i w tych warunkach technikę prowadzenia interesu lepiej zostawić młodemu.

Może się też Panu przytrafić okropna sytuacja: Pańska renta lub emerytura daje Panu wyższą stopę życiową niż dzieciom ich pensje! Jest to niemoralne (jeśli dzieci te solidnie pracują...), ale nie Pana to wina. Pieniądzy dawać im nie wolno. Należy natomiast orientować się, czego im potrzeba – i to kupować. Na wdzięczność liczyć nie radzę. Może więc odkładać i zaproponować wkład w jakiś samodzielny interes?

Ludzie starsi często zachowują się nieekonomicznie, gdyż gubią perspektywę. Nie chce im się zarabiać, np. wynajmując część zbyt dużego mieszkania, bo to spekulacja, a kłopot, a po co te pieniądze... Proszę jednak pamiętać, że nie jest to żaden „wyzysk” lokatorów, lecz uczciwa transakcja: gdyby nie było to dla nich korzystne – nie zamieniałyby swoich pieniędzy na prawo do przebywania w Pańskim lokalu! Trzeba myśleć społecznie i, w miarę możliwości, pomagać innym!

pies

Kilkuletnie dziecko w najnaturalniejszy sposób woła do Pana: „Weź to! i Zrób to!”. Co sztywniejsi rodzice karzą je za to, gdyż nie mogą znieść imperatywnego tonu wołacza.

Wiemy skądinąd, że jednym z braków demokratycznego społeczeństwa jest zanik umiejętności rozkazywania. Już raczej z literatury wiemy, jak to urodzeni wydawali polecenia tonem nie dopuszczającym myśli o ich niespełnieniu, a

jednocześnie niezwykle uprzejmym. W społeczności równych wydający polecenie albo czuje się nieswojo (wydawać rozkaz bliźniemu?), albo nadrabia chamstwem, maskującym brak pewności siebie.

Czy to zestawienie niczego Panu nie sugeruje?

Jeśli nie, rozpatrzmy zagadnienie od drugiej strony – ludzie nie umieją również słuchać! Albo buntują się (dlaczego on mi rozkazuje?), albo – jeśli muszą – płaszczą się obrzydliwie. Dlaczego?

Dlatego, że są nie nauczeni. Nie przyzwyczajeni w-dzieciństwie! Tak, wiem, że dziecko z reguły zasypywane jest gradem poleceń i rozkazów. Ale przykładu – przykładu – nie ma żadnego! Jak słusznie zauważył C.N. Parkinson, w tradycyjnej rodzinie żona – jeśli nawet nie bała się męża – to przed dziećmi ten strach udawała. Nie mogę oprzeć się pokusie przytoczenia jego rozumowania: dziecko chce mieć zapewnioną silną opiekę, ale cóż warta jest opieka człowieka, którego nikt się nie boi, nawet własne dziecko?

Dziecko – będę to powtarzał niezmordowanie – uczy się przez imitację zachowań dorosłych (później również zwierząt,

Pic 2

kolegów, fikcyjnych postaci literackich). Dawniejsza żona wiedziała więc, co robi. Po pierwsze – miała do dyspozycji argument: „Bo powiem ojcu!” – w sytuacji równej pozycji małżonków zupełnie bezskuteczny. Dochodzi do komicznej i przerażającej, sytuacji: rodzice straszą dziecko dozorcą albo „takim panem z kijem!”. Dziecko, stworzenie rozumujące prosto, wyciąga stąd poprawny wniosek: szmaciarz z ulicy silniejszy jest od tatusia!

Po drugie – dziecko ma żywy przykład-posłuszeństwa i szkołę wydawania poleceń. Osobowość dziecka słyszającego co trzeci dzień dialog:

– Zrób coś zjeść!

– Sam sobie zrób!

zwichnięta jest o wiele bardziej niż wynikałoby z rozważań pod hasłem KONFLIKT. Dwa lata służby w wojsku nie są w stanie naprawić osiemnastu, a w dodatku te dwa przypadają na okres prawie całkowicie ukształtowanej już psychiki.

Na równouprawnienie w rodzinie mogli sobie pozwolić posiadacze służby domowej. Jak wiele tradycyjnych branż, ta również przeżywa dziś kryzys instytucjonalny. Każdego natomiast – mimo podatku (pardon, „progresywnej opłaty sanitarno-wetery-naryjnej”) – stać na utrzymanie psa.

Pies – to jakaś namiastka rozwiązania, odgromnik rodzinny. Psu każdy może

rozkazywać i uczyć się wydawania takich poleceń, by rozkazobiorca też był zadowolony, choćby miało się to objawiać tylko machaniem ogona.

Jeśli syn zamiast uczyć się opiekować' zależnym od siebie stworzeniem (dziewczynki woła lalki, koty lub małe szczeniaki), zacznie się nad psem znęcać, to winna nie jest zasada posiadania w domu psa. Coś się dzieje w Pańskiej rodzinie – czy aby Pan nie jest rozsadnikiem sadyzmu?

Jak dotąd, mowa była o Panu, dzieciach – a co o psie? Pies chowany w porządnej rodzinie jest zawsze zadowolony ze swego losu; piszę tu o rodzinach z dziećmi, gdyż ludzie wychodzący z domu o 8-mej rano, a wracający o 9-tej wieczór mieć psa nie powinni! Jeśli ma Pan skrupuły, czy potrafią Państwo zapewnić zwierzęciu opiekę – proszę pójść do schroniska dla bezdomnych zwierząt i wybrać jedno; proszę pamiętać, że bez Pana interwencji byłby zabity lub użyty do eksperymentów naukowych! Proszę nie spieszyć się z wyborem, każde zwierzę ma charakter wypisany nie tyle na dłoni, co w sposobie poruszania się po klatce. Proszę jednak nie przystawać przy boksach psów, których nie mają Państwo zamiaru wybrać. To okrucieństwo!

Inteligentny, wesoły kundel-mieszaniec może odziedziczyć po rodzicach dobre, średnie lub złe cechy, ale Pan ma prawo wyboru. Dostatecznie młody, by się bawić – jest znakomitym towarzyszem dziecka. Psy rasowe z kolei tworzą linie dokładnie opisane; pies taki kosztuje bardzo dużo, ale też inwestycja zwraca się przez sprzedaż potomstwa; niektórzy nawet nieźle na tym zarabiają...

Odradzam: psy ras maleńkich (pinczery, ratlerki, jamniki i pekińczyki), zbyt duże (trudno chować w mieszkaniu i dużo kosztuje ich wyżywienie) oraz pseudorasowe szczeniaki sprzedawane pokąt-nie, choć – oczywiście – taki zakup przypadkiem może okazać się jak najbardziej trafny!

Psa nie należy przeładowywać tresurą, ale też powinien umieć wykonywać jakieś dwadzieścia rozkazów. Traktuje się go jak domownika najniższej kategorii – ale jak domownika, tzn. ma on pewne uprawnienia i bez powodu krzyczeć nań nie wolno! Oczywiście, jeśli przyjętego pod swój dach psa (lub inne zwierzę) zechce Pan wyrzucić – to da Pan dzieciom lekcję, jak należy postępować z nieużytecznymi domownikami; na starość spotka Pana zasłużony los!

płci role



Odmienne podejście obydwu płci do spraw sexu wytworzyło się w naturalnym procesie ewolucji. Tylko wyjątkowo naiwni dogmatycy równości płci mogą sądzić, że da się tu wprowadzić równouprawnienie.

W procesie doboru naturalnego ten mężczyzna najskuteczniej przekazał swój gen przyszłym pokoleniom, który zapłodnił możliwie wiele kobiet. Jeśli jego synowie choćby w paru procentach dziedziczyli po nim (obojętnie: genetycznie czy kulturowo) takie zdobywcze nastawienie do seksu – to typ pożeracza serc niewieścich musiał się rozpowszechnić. I rozpowszechnił. Istnieli i zapewne istnieją mężczyźni mający po parę tysięcy potomstwa.

Kobieta natomiast nie ma nic do zyskania dzięki ewentualnej poliandrii. Przeciwnie: nieustanne kłopoty z agresywnymi członkami „antyharemu”. Natomiast i tak może wydać tylko jedno dziecko rocznie. Więcej! Natura tak to urządziła, że wprowadzenie nasienia dwu mężczyzn zmniejsza prawdopodobieństwo zapłodnienia (choć znane są już dwa wypadki bliźniąt z dwóch ojców, ale mówię o prawdopodobieństwie).

Pici role 2

Z tego właśnie powodu poliandria nie ma najmniejszych szans na przetrwanie ani nawet na zaistnienie w znaczniejszym stopniu. Tradycyjne role mężczyzny i kobiety nie są więc jakąś tam fanabe-rią, odbiciem praw społeczeństwa feudalnego lub burżuazyjnego, wynikiem ucisku ekonomicznego czy wyzyskaniem fizycznej słabości kobiety, lecz efektem działania logicznych praw wynikających z konstrukcji płci. Punktem odniesienia jest zawsze mono-gamia (wówczas mężczyzna zapewnia względnie największą opiekę dzieciom!), ale

osiągana od strony poligynii z częstymi w tę stronę odchyleniami.

Można, oczywiście, chcieć z takim układem walczyć. Nie można jednak utrzymywać jednocześnie, że jest się miłośnikiem Natury, zwolennikiem ochrony przyrody, konserwatystą itp. Trzeba wówczas śmiało stanąć w jednym szeregu z tymi, co to na widok rzeki natychmiast zastanawiają się, jakby tu ją puścić w drugą stronę – a zacofaną górę przerobić na postępową kotlinę. Domaganie się równego traktowania płci w tej dziedzinie nie ma też nic wspólnego z „samorealizacją”, lecz jest domaganiem się, by ludzie zadali gwałt swej naturze i przerobili się na automaty realizujące wydumane dogmaty.

Nacisk kulturowy może być niesłychanie silny. Bardzo wiele dziewcząt decyduje się na współżycie seksualne z obawy przed posądzeniem przez koleżanki o zacofanie, a nie z pragnienia serca lub potrzeby fizjologicznej. Co tam sex! Znane są przypadki wizyt u psychologa dziewcząt lubiących zmywanie i inne prace domowe – a bojących się przyznać do tak nieprzyzwoitych pragnień!

Powiedzmy to jasno: w każdym społeczeństwie jest – i być powinna – grupa niezłomnych purytanów, których żadna moda nie ugnie. W każdym społeczeństwie powinna też być – i jest – grupa nonkonformistów, których żadne zakazy ani inkwizycja nie powstrzymają przed łamaniem zasad. Między tymi grupami znajduje się większość, skłonna przychylić ucha raz jednym, raz drugim.

Jeśli grupa taka zaczyna masowo przechodzić do nonkonformistów, to sytuacja jest niepokojąca dla... logika, gdyż wówczas „nonkonformiści” zostają nagle przeciętniakami. W istocie prawdziwymi nonkonformistami zostają purytanie. Stąd widoczne w całym świecie zdecydowane prądy w tym kierunku. Jeśli udało się Panu ochronić dziecko przed całkowitym oglupieniem, to prorokuję, że będzie Pan miał raczej kłopot z nadmiernym rygoryzmem moralnym u syna czy córki – niż z rozwiązłością!

Ale to już inny rozdział. Proszę się tylko odpowiednio przygotować...

r

podejrzliwość

Jest to zdecydowana wada, której musi się Pan – jeśli ją Pan posiada – wyzbyc. Nic chyba tak nie zatruwa stosunków w rodzinie!

Jeśli ma Pan jakieś podejrzenia wobec dzieci lub żony – to powinien Pan przede wszystkim nic na ten temat nie mówić. Trzeba się zastanowić i przyjąć jedną z dwóch metod.

– Byka za rogi (*vide* BYK ZA ROGI WZICTY). W tym przypadku jest to wariant

zastosowany z dobrym skutkiem przez króla Filipa Macedońskiego. Gdy otrzymał donos, że lekarz jest namawiany przez spiskowców do zamachu na jego życie, poczekał, aż ten przyniesie lekarstwo, wręczył mu donos do przeczytania, a lekarstwo wypił.

Jest to z pewnością dobra metoda zdobywania sobie ludzi.

– Jeśli nie chce jej Pan stosować – to można albo poczekać, aż się sprawa wyjaśni, albo przeprowadzić delikatne i dyskretne śledztwo. Trzeba jednak mieć rozsądną pewność, że śledztwo takie (np. wypytywanie nauczyciela za plecami dziecka) przyniesie jakieś rezultaty, a przede wszystkim nie wyjdzie na jaw. Zdarzyło mi się, że proszony o dyskrecję nauczyciel natychmiast powiedział synowi, że pytałem o niego!!

Można też zastosować metodę kombinowaną: spytać – z zastrzeżeniem: „Jeśli zaprzeczysz, to przyjmuję to do wiadomości i uważam sprawę za wyjaśnioną”.

Nie wolno natomiast powiedzieć: „Oj, podejrzewam cię, że coś zrobiłeś. Czekaj, czekaj, niech no się upewnię!”

Jeśli dziecko jest niewinne – zostanie ciężko skrzywdzone. Jeśli chciało się przyznać – nie przyzna się, bo dostało sygnał, że ojciec nic nie wie. Jeśli chce zejść na drogę przestępstwa, dostało ostrzeżenie, że trzeba się lepiej maskować!

Działanie w tym stylu to typowa kompromisowa metoda babska. Nie wolno!
podświadomość

Kawałek umysłu, gdzie gromadzona jest informacja, z której nie musi Pan robić świadomego użytku. Na przykład, początkowo zmienia Pan biegi w samochodzie świadomą decyzją, potem robi to Pan już podświadomie. Niektórym rutynowanym kierowcom zdarzało się zasnąć za kierownicą i obudzić po kilkunastu kilometrach: oczy omiały drogę, ręce automatycznie wykonywały skręty, a jeśli nie było sygnału o niebezpieczeństwie – to podświadomość nie budziła umysłu. Niestety, nasza podświadomość nie całkiem jest przystosowana do dzisiejszych prędkości i często kierowcy budzą się na ułamek sekundy przed nieuniknioną już katastrofą, albo nie budzą się w ogóle.

Również napominania dzieci, odezwania do żony mogą być – jeśli ktoś ma wprawę – czynione zupełnie machinalnie, bez użycia umysłu. Jednak najdrobniejsze odchylenie od rutyny powoduje, że obiekt dostrzega lekceważące traktowanie. Dlatego: Uwaga!

Od wynalezienia psychoanalizy modne stało się zwalanie wszystkiego na podświadomość. Prawdą jest, że podświadomość wywiera olbrzymi wpływ na nasze

działanie. Ani na jotę nie zmniejsza to jednak odpowiedzialności człowieka. Tak samo jak jeździec odpowiada za wyczyny konia, którym kieruje, tak samo i człowiek odpowiada za swoje czyny (*vide* ODPOWIEDZIALNOŚĆ) niezależnie od tego, czy były wygenerowane przez podświadomość, czy nie (jak sprawdzić, że podświadomość nie miała wpływu na moją decyzję??!?).

Psychoanalitycy utrzymują, że trzeba swą podświadomość analizować, by właściwie postępować. Ja uważam to nie tylko za niepotrzebne, ale i za szkodliwe! Mój rozum musi mi podpowiadać właściwą drogę postępowania – a to, czy chce mnie z niej sprowadzić zły Czarownik, kłótniwa żona, kapryśne dziecko, państwowy urząd – czy moja podświadomość – jest bez znaczenia.

Podświadomość 2

I

Niezależnie od nacisku wywieranego przez te czynniki osobno lub łącznie – mam postąpić właściwie i mieć dość siły woli, by się im przeciwstawić. A wiedzieć, z jakich powodów moja podświadomość usiłuje sprowadzić mnie z właściwej drogi – nie muszę! Po co? Gdy pies chce jeść, to mu daję jeść niezależnie od tego, czy zgłodniał z powodu pościgu za złodziejem, czy z powodu kręcenia się za własnym ogonem!

Z podświadomości również się korzysta. Gdy nie ma racjonalnych powodów do podjęcia decyzji, najlepiej zdać się właśnie na podświadomość. Postąpić, jak każe intuicja. I znów: po diabła mam tę podświadomość analizować? Znajomość technologii produkcji opon w niczym nie poprawia komfortu mojej jazdy samochodem!

Natomiast wymawianie się podświadomością („zrobiłem to odruchowo...”) świadczy o słabości.

Typowa kokieteria, niegodna mężczyzny.

Właśnie wczoraj coś takiego zrobiłem...

pomocnik do wszystkiego

Gdy Pański syn zacznie swobodnie operować rączkami – gdzieś koło półtora-dwóch lat – jego marzeniem będzie wyręczanie rodziców w każdej czynności. Okrzyki „Daj mi” i „Ja, ja sam” będą Państwu początkowo przeszkadzać na każdym kroku. Coś więc trzeba postanowić.

Znakomita część rodziców po prostu zabrania dziecku wtrącania się w „nie swoje” sprawy, polecając w zamian wykonywać – ach, jakże nieatrakcyjne – porządki z zabawkami. Lub coś podobnego. Nie wolno Panu do tego dopuścić, choćby żona nie wiem jak jęczała, że utrudnia jej to pracę w gospodarstwie.

Chyba, że koniecznie chce Pan wpoić w dziecko przekonanie, iż:

- nie należy brać się za rzeczy trudne,
- dziecko jest w domu niepotrzebną i kłopotliwą zabawką,
- pomaganie innym jest niewłaściwe i najlepiej zająć się sobą. Jeśli nie, trzeba pozwolić dziecku tłuc szklanki (zanim nabierze

wprawy stłucze 10-15) podczas zbierania ich ze stołu i zanoszenia do kuchni. Mój syn przestał je truć mając dwa i pół roku, a trzeba dodać, że niemal codziennie brał się również za zmywanie (które, oczywiście, trzeba było dyskretnie wykonywać po raz wtóry). Za tę cenę zyskaliśmy jednak wiele - z całym spokojem mogliśmy zostawić go w dowolnym miejscu zastawionym porcelaną, bez obawy, że zachowa się jak słoń. Stłuczenie zaś przypadkiem j e d n e j np. wazy kosztuje przecież więcej niż dziesięć szklanek, nieprawdaż?

Tu uwaga: Dziecko nie może być zachęcane do pomocy - musi mieć ów drive do działania, trzeba mu raczej zabraniać pomagania (i ustępować pod presją...).

Wcześniej czy później nadejdzie jednak zupełnie inna laza: dziecko umie już zrobić wszystko (bądź prawie wszystko, a do osiągnięcia wieku emerytalnego winien Pan przynajmniej jedną

Pomocnik do wszystkiego 2

czynność wykonywać lepiej niż Pana syn, jeśli nie chce Pan stracić jego szacunku!) i zacznie Państwu zależeć na jego pomocy.

Jeśli nie postępował Pan zgodnie z powyższymi wskazówkami, okres ten nadejdzie późno i zaczną się wyrzekania: „Patrz, Jurek Kowalski we wszystkim matce pomaga, a Ty, niezdaro - no, rubzże się”, co wszelką pomoc zamieni w beznadziejnie uciążliwą katorgę. Trzeba będzie jawnymuszaćna dziecku, co, rzecz jasna, atrakcyjności nie podniesie. Błędne koło?

Na ogół jest już za późno, ale: *verba docent, exempla...* Właśnie

- czy przy wykonywaniu domowych obowiązków jest Pan skrzywiony, a potem jęczy: „Ach, jak się zmęczyłem”? Tak? To niech się Pan nie dziwi, że robi tak syn.

Zacząć trzeba od siebie. Zrobić to i owo z zapałem i uśmiechem, żeby widać było, że sprawiają Panu te czynności satysfakcję. Raz, drugi, trzeci - za czwartym syn powinien się zainteresować i próbować włączyć. Należy mu wówczas pozwolić z całkowitą obojętnością zaprawioną szczyptą - szczyptą - sceptycyzmu. Powinno się udać.

Jeśli postępował Pan rozsądnie, nie będzie tych problemów. Jednak nigdy nie

należy rezygnować z wykonywania czynności opanowanych przez dziecko. Jeśli córka wyciera kurze i raz zapomniała, nie wolno jej zwrócić uwagi, lecz żona powinna zrobić to sama, z tryumfem oświadczając: „No, wreszcie i mnie się udało”. Przede wszystkim zaś – przykład, przykład i jeszcze raz przykład

– jeśli przedmioty spadły na podłogę będzie Pan szybko podnosił, Pański syn będzie Go gorliwie naśladował. Jeśli zaś zaczną Państwo eksploatować naturalną chęć dwulatka („Ja podniosę, ja podniosę!”) i żądać takiej usługi w każdym przypadku – owa chęć wygaśnie (również *vide* PRACA).

Wszystkie powyższe uwagi odnoszą się w równym stopniu do dzieci płci obojga, jedynie rodzaj czynności jest inny; z naturalnych przyczyn córce przykład musi dawać matka i głównie przez nią może Pan wpływać na swoją córkę. Musi Pan jednak pamiętać,

– i to jest ważne! – że w tych nielicznych, gdzie wzorować się ona będzie na Panu, Pański wpływ będzie wielokroć większy!

PS. W dzień po napisaniu powyższego fragmentu odbyła się z mym najmłodszym (2,5 roku) synem rozmowa:

- Tatusiu, zdejmij buty! (*vide* KONSERWATYZM)
- Dobrze, przynieś mi kapcie.
- Nie!
- Świetnie, przyniosę je sam (ruch w kierunku drzwi...)
- Nie! Ja sama! (Ponieważ większość domowników używa form żeńskich, syn częściej stosuje końcówki tego rodzaju).

porządek (utrzymywanie)

Niestety, jest to jeden z tematów, gdzie moje pragnienia i wiedza nie dorównują sile woli.

Utrzymywanie Porządku jest jedną z zasad, które można znakomicie racjonalnie uzasadnić (*vide* ZASADY). Wiadomo, że jeśli odłożymy rzecz byle gdzie, to potem będziemy odkładać ją na inne miejsce (też niekoniecznie właściwe...) i w rezultacie wykonamy dwa ruchy zamiast jednego.

Dobrze jeszcze, jeśli tej rzeczy nie będziemy potem pół dnia szukali!

Jednak wiedza ta nic nie poprawia faktu, że na moim biurku jest nieustanny bałagan. Zgodnie zaś z teorią ortolinijności (*vide!*) oraz imitacji (*vide!*) na biurkach moich synów nieporządek jest nieprawdopodobny .

Jedynym wytłumaczeniem dla mnie może być to, że dawniej, dzięki znakomitej pamięci i orientacji, zawsze Wiedziałem, gdzie co położyłem oraz przewidywałem swoje posunięcia. Wobec tego nie odkładanie rzeczy na miejsce,

lecz tam, gdzie w przyszłości miałem je potrzebować, istotnie oszczędzało mi czas.

Teraz, gdy rzeczy przybyło, a skleroza się nisko kłania – cierpię za ten błąd.

Cóż! Już nie potrafię. Może Panu uda się uniknąć mego losu?

A może? Podobno ludzie na starość robią się pedantyczni...

posłuszeństwo



Jak już wspominałem (*vide* IMITACJA), dzieci wszystkiego uczą się przez naśladownictwo. Dotyczy to także posłuszeństwa. Po coś jednak mam się powtarzać, skoro najlepiej sformułował to słynny Cyryl N. Parkinson? Oto odpowiedni fragment jego eseju:

„Można wyliczyć rozmaite przyczyny tego stanu rzeczy, lecz najważniejszą z nich jest oczywiście brak autorytetu rodziców. Sto lat temu istniało przeświadczenie, że mąż jest panem w swoim własnym domu. Żona była mu winna formalnie posłuszeństwo, zdając¹ sobie sprawę, że na tym opierał się z kolei jej autorytet wobec dzieci. Prawdopodobnie znacznie częściej je widziała, a jej wysiłki utrzymania dyscypliny mogła więc łagodzić pewna poufałość. Zatem najlepszym sposobem postępowania było zawsze odwołanie się do autorytetu nieobecnego męża. Gdy mówiła: „Ojciec tego zabronił”, można było wnosić, że ona sama byłaby bardziej pobłażliwa. Jedynie akceptując władzę męża mogła utrzymać w posłuszeństwie dzieci. Ona mogła podjąć decyzję, lecz niepopularnością obarczała jego, tym łatwiej, że go przy tym nie było. Tak więc matka wzmacniała zasady subordynacji siłą własnego przykładu. I w ten sposób uczono dzieci i służbę, by znały swoje miejsce.

Jeśli wydaje się, że w epoce wiktoriańskiej autorytet rodziców osiągnął

szczyty, to głównie dlatego, że tak bardzo wzrosła liczba potomstwa. Przy raczej nagłym spadku śmiertelności wśród dzieci

Posłuszeństwo 2

rodzina mogła liczyć dwanaście, czternaście, a nawet dwadzieścia osób. Dom przekształcił się więc w rodzaj prywatnej szkoły, gdzie dyscyplina potrzebna była bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To, że dzieci nie powinny nigdy mówić nie pytane, może wydawać się rzeczą pożądaną w każdym wypadku, ale gdy ich ilość dochodziła do dwunastu lub coś koło tego, stawało się koniecznością. Bez pana domu życie stałoby się niemożliwością. Toteż matka czyniła wszystko, by zwiększyć prestiż ojca, wykorzystując go z kolei dla własnej ochrony. „Powiem o tym ojcu, jak wróci z biura”. Tymi wzbudzającymi strach słowami utrzymywała porządek, podnosząc napięcie do punktu kulminacyjnego oświadczeniem: „Zdaje się, że słyszę, jak ojciec idzie po schodach!”. Nie bała się go tak jak udawała, lecz to udawanie służyło pożytecznemu celowi. Dzieci drętwiały ze strachu, zanim jeszcze usłyszały słowa nagany, a w konsekwencji w domu panował względny spokój i cisza. Prawdopodobnie w żaden inny sposób nie można by było w ogóle prowadzić domu”.

Autorytet męża przed stu lub dwustu laty był formalny i materialny. Obecnie jest zupełnie inaczej. Bardzo słuszne rozumowanie przeprowadził tu słynny Murray Rothbarth:

Po czym poznawało się w Rzymie niewolnika? Po tym, że to on pracował na swojego pana. Tak więc wszelka gadanina o „upośledzeniu kobiet” jest bzdurą – gdyż obecnie to mężczyźni tworzą klasę niewolniczą, zmuszoną do pracy na swoje panie! (Dodam, że libertarianie, których przywódcą jest Rothbarth, uważają również, że system opieki społecznej powoduje, iż ludzie przedsiębiorczy, energiczni i pracowici są niewolnikami ludzi niezdolnych, leniwych i nieudaczników).

Oczywiście, dla istnienia i utrzymania rodziny musi Pan swą pierwszoplanową pozycję w rodzinie utrzymać. Jednak obecnie (*vide* OJCEM – CZY BYĆ WARTO?) ma Pan prawo i niektóre nawyki przeciwko sobie, a nie za sobą. W efekcie będzie Pan prowadził ciężką i wyczerpującą walkę o swoją rodzinę wbrew niej i statystycznie umrze Pan o dziesięć lat wcześniej od Swej żony.

W czasach absolutnej dominacji mężczyzny popełniano nawet zasadnicze błędy w drugą stronę. Na przykład słaby fizycznie mąż mógł nieposłuszną małżonkę posłać do *purgatorium*, gdzie za opłatą wymierzano jej przepisana przezeń chłostę. Przyczyniało się to utrzymaniu formalnego posłuszeństwa, z drugiej

strony jednak umożliwiało utrzymywanie w posłuszeństwie żon przez mężczyzn słabych, a zatem szkodziło właściwej selekcji (*vide* HETEROZYGOTYZM).

Dziś stoi przed Panem zasadnicze wyzwanie. Trudne warunki, «i VtArvrh™ii>mv. nr7vrńwnąć można do prowadzenia statku po

I

Posłuszeństwo 3

burzliwych wodach, gdzie załoga się buntuje, pasażerowie są niesforni, a w porcie czyha związek zawodowy gotów wsadzić kapitana za kratki z powodu nadużycia władzy w stosunku do załogi. Ba! W takiej Szwecji można pójść do więzienia za przyłożenie dziecku – nawet za wiedzą i aprobatą żony – parę razy w skórę!!!

W Szwecji przynajmniej wody są spokojniejsze – my natomiast wchodzimy na morza burzliwe, gdzie większość Pańskiej energii poświęci Pan utrzymaniu się na powierzchni i szybkim zmierzaniu do zmiennych celów. Dlatego na pokładzie musi być porządek, a wśród załogi – dyscyplina. Nadchodzi okres zdecydowanej selekcji. Pański Dom – niech Pan myśli o swojej rodzinie w kategoriach feudalnych – otóż, Pański dom albo rozleci się w codziennych niesnaskach, nieposłuszeństwie dzieci, sprzeczkach z wiecznie niezadowoloną żoną i upadnie, albo zdoła go Pan ująć w karby i zapewnić mu pomyślność.

Wymagana tu będzie odpowiednia doza stanowczości i agresji z Pana strony. Musi też Pan nauczyć się wysłuchiwać opinii żony, a nawet dzieci (tak!), czerpać od nich informacje oddziałając je od plotek i jednocześnie podejmować decyzje samemu, bez dzielenia się odpowiedzialnością z kimkolwiek.

Wszystkie wielkie mocarstwa padały wskutek uzyskania przez kobiety dostępu do podejmowania decyzji. Mikołaj II był naj-pocziwszym człowiekiem z rosyjskich Cesarzy, ale rządziła za niego klika powiązana z Cesarzową. Podobnie w Rzymie, w Persji i innych państwach z przedrewolucyjną Francją włącznie.

Nie chodzi o to, że kobiety nie potrafią rządzić. Potrafią! Gdyby Pana zabrakło, Pańska żona potrafi wychować Pańskie dzieci. Może i lepiej niż Pan. Anglia za Elżbiety I, Biznacjum za Teodory, Rosja za Katarzyny II (i współcześnie Wielka Brytania za premie-rostwa Małgorzaty Thatcher) były rządzone całkiem nieźle. Być może nie genialnie (*vide* ROZRZUT INTELIGENCJI), ale genialny władca trafia się raz na tysiąclecie.

Problem w tym, że rządzić musi jedna osoba.

Decyzje podejmowane w porozumieniu z żoną, kolektywem, samorządem itp. są

na pewno decyzjami bardziej oświeconymi, uwzględniającymi więcej informacji i stanowisk – w ogóle same plusy. Jeden tylko jest minus: odpowiedzialność za nie rozciąga się na więcej osób i nikt nie przykłada się tak, jak wówczas gdy całe brzemie odpowiedzialności spoczywa na nim.

To brzemie musi Pan dźwigać sam. Ja wiem, że podzielenie się z żoną jest wygodne. Wiem, że żona bardzo się ucieszy. Wiem, że będzie dumna. Wiem, że ze wszystkich sił dopomagać będzie do podjęcia właściwej decyzji...

Posłuszeństwo 4

I będzie to na ogół decyzja gorsza niż podjęta przez Pana – lub – jednoosobowo.

Mądra kobieta nie wtrąca się w te sprawy. Kłopot z głupią polega na tym, że często jest to osoba uparta (por. ze Stanisława Lema maszyną, której 2 plus 2 dawało 7 – zob. *Cyberiada. Maszyna Trurla*). Dlatego też przed związaniem się z taką osobą musi się Pan upewnić, że będzie ona posłuszna w sprawach podlegających Pana kompetencji. Radzę wziąć szeroką poprawkę na znany fakt, że po zawarciu małżeństwa – oraz z wiekiem – kobiety zwykły stawać się bardziej niezależne. O ile nie musi Pan temu zapobiegać (niech Pan pamięta, że z uwagi na elastyczność po paru wspólnych latach przejmie ona wiele od Pana!); o tyle we wczesnym okresie związku musi Pan utrzymywać ją bezwzględnie w ryzach. Zacząć więc trzeba przed zawarciem małżeństwa. Jak to osiągnąć? Teorii Pawiowa nie będę tu wykladał, kto ją pojął i potrafi zastosować, niech stosuje, a jeśli Pan nie potrafi, to być może nie osiągnął Pan poziomu wymaganego od kierowania rodziną? W takim przypadku niech Pan bezwzględnie słucha żony. Jednak równie bezwzględnie musi Pan wymagać, by zachowane były pozory, że to Pan decyduje.

Przede wszystkim z uwagi na Pana dzieci (*vide* HOMOSEXUALIZM). Ale jest to też Pana obowiązek wobec społeczeństwa. Przykład kobiety kierującej mężem pozwala rozmaitym zwariowanym pseudofeministkom agitować inne kobiety, głupsze od swych mężów: „Widzicie? Można i tak!”. Od czego one albo zniszczą swego męża, albo będą nieustannie wszczynały sprzeczki, albo (najczęściej) po prostu będą się czuły nieszczęśliwe. Tylko w bajkach inwalidzi bez nóg promieniają radością, że jeden z nich zdołał zostać pilotem; w życiu prawdziwym idą z zazdrości na wódkę i szlag ich trafia.

Uwaga: może się zdarzyć, że dostrzeże Pan, iż w rzeczywistości na wiele Pana decyzji żona jednak wpływa przy pomocy swoistej sieci intryg, podpowiedzi i działań. Musi Pan to traktować jako informację ze świata, tj.

przyjmować do wiadomości. Nie powinno to jednak wpływać na Pana decyzje. Nie powinno wpływać – to znaczy, że nie powinien Pan rozumować: „Aha, ona tak zadziałała, bym zrobił A, to ja jej na złość zrobię B!”. Byłby to karygodny brak zaufania do żony, granie przeciwko niej. Niech wpływa! Jeśli robi to dobrze – w porządku. Jeśli źle – to po to ma Pan rozum, by podjąć decyzję mimo jej wpływów. Ale nie przeciwko niej! Ostateczna odpowiedzialność i tak spoczywa na Panu! I nie powinien Pan nie tylko „wymawiać sobie” takich metod, ale i okazać, że je Pan w ogóle zauważył!

postępowcy

Zwolennika wychowania postępowego od dawien dawna poznać można po jednej szczególnej cesze. Otóż, jako wzór do naśladowania taki postępowiec nieodmiennie wybiera jakieś plemię indiańskie, polinezyjskie lub eskimoskie; może to być jakiś obyczaj wymarłych Hetytów opisany przez Herodota, ewentualnie zapisany na papirusie, który zaciskała mumia Amenothepa IV. W każdym razie jest to jakieś zacofane plemię żywiące się robaczkami wygrzebywanymi z ziemi.

Nie rozumiem, dlaczego rodzice czasami stają bezbronni wobec rozmaitych postępowców wmawiających im niestworzone rzeczy w oparciu o doświadczenia plemienia Mambo-jumbo. Gdyby doświadczenia plemienia Mambo-jumbo były coś warte, to zapewne plemię Mambo-jumbo wymyśliłoby silnik elektryczny, lokomotywę parową, komputery i obecnie panowałoby nad kulą ziemską, tak jak panuje (jeszcze) rasa biała. Jest oczywiste, że owe poszukiwania czegoś nowego wiążą się z obecnym kryzysem tej rasy, ale kryzys ten pochodzi z odejścia od tradycyjnych metod wychowania!

Nie znaczy to, że pewnych nowinek wychowawczych nie można wprowadzać! Zawsze jednak z umiarem i – na własne ryzyko, a zatem i w oparciu o własne przemyślenia. Natomiast powoływanie się na doświadczenia Mambo-jumbo jest kontrargumentem, na który należy zimno odpowiadać, że jedzenie robaczków na zimno spod korzonków jest zapewne organicznie związane z tymi metodami i jeśli ktoś to lubi...

Gdyby ktoś zaczął Pana przekonywać, że słonie powinny mieć gęstą sierść – i jako przykład wskazywał mamuty – to zapewne bez trudności odpowiedziałby Pan trzeźwo, że mamuty wymarły i jest podstawa do podejrzeń, iż nie najlepszy to wzór do naśladowania – nieprawdaż?

Gdy postępowiec za Pańskimi plecami zacznie swe teorie sprzedawać Pańskiej żonie lub – co gorsze – dzieciom, należy go zdecydowanie wykopać za drzwi z użyciem siły fizycznej, jeśli to niezbędne. Jest to Pański obowiązek wobec prawdziwego postępu, który polega na rozwijaniu wartości tradycyjnych i wzbogacaniu ich własnymi ideami.

Ostatecznie jednak – to są Pańskie dzieci. Jeśli Pan chce nimi ryzykować, to społeczeństwo tylko na tym zyska, gdyż zwiększy się różnorodność, a naród wzbogaci o Pańskie doświadczenia. Z tym że na ogół będą to doświadczenia negatywne.

Może się przy tym zdarzyć, że niektóre cechy wychowania plemienia Mambo-

jumbo są korzystne, ale tylko w pewnym bloku. Pióra to dobry wynalazek ewolucji – i pancerz też, jednak uskrzydłone pancerniaki raczej nie mają przyszłości.

Może się więc okazać, że te cechy, które chce Pan przejąć od Mambo-jumbo, po prostu nie pasują do innych. A jeśli zacznie Pan wprowadzać ich coraz więcej – to wkrótce zapewne okaże się, że część z nich związana jest np. z klimatem w kraju Mambo--jumbo.

Ja w każdym razie ostrzegłem. Ryzyko jest Pańskie i Pańskich decyzji krytykować nie będę.

pośrednie działania

Jak Panu wiadomo z hasła HOMEOSTAZA, wszelkie bezpośrednie działanie na organizm biologiczny lub społeczny powoduje zazwyczaj przeciww reakcję, niwelując skutki działania. Najbardziej skuteczne są działania pośrednie, tj. oddziaływanie na coś, czego ubocznym efektem będzie pożądaný skutek.

Na przykład, wprowadzenie ustawy o pasożytnictwie spowodowało spadek społecznego potępienia „pasożytów”, a nawet ukrywanie ich przed nadmiernie surowym ramieniem prawa. Natomiast ustalenie podatku od gminy, który porządni obywatele musieliby *de facio* płaćć za pasożytów, spowoduje uruchomienie autentycznych sił społecznych, które skutecznie „pasożytnictwo” ograniczą (inna sprawa czy w sposób, jaki byśmy sobie życzyli!).

Jednak w dziedzinie stosunków międzyludzkich etyka męska zakazuje stosowania metod pośrednich.

Jeśli chce Pan, by syn siedział krócej w ubikacji, to trzeba mu to powiedzieć – a nie konstruować niewygodną deskę sedesową!

W jednej z powieści angielskich znalazłem wręcz przerażający opis intryg (tj. działań pośrednich) w wykonaniu pewnej damy. Przykład: chciała się przeprowadzić; mąż, nauczyciel, nie miał na to ochoty. Pani nie nalegała, lecz przez przyjaciółki rozpuściła pogłoskę, że mąż kiedyś zgwałcił uczennicę. Po 2 tygodniach mąż (nawet nie wiedzący o tym) zmuszony atmosferą nie domówień sam zechciał się przenieść!!!

Jeśli jednak oddziałuje Pan nie na sferę wolnej decyzji człowieka, lecz na jego instynkty (zwłaszcza u dziecka), to może Pan na to ograniczenie nie zważać. Niemowlęciu podkłada Pan wałek – a nie każe spać z głową wyżej (*vide* ONANIZM).

praca

„Praca stworzyła człowieka”. „Bez pracy nie ma kołaczy”. „Praca uszlachetnia”. Te zdania wypowiadamy z namaszczeniem, wypisujemy na makatkach i sztandarach. A w praktyce?

Dopóki mężczyźni pracowali, a kobiety im zazdrościły – wszystko było w porządku. Syn rwał się do samodzielnej roboty. Obecnie większość kobiet pracuje (o ile zajęcia kobiet na etatach ktoś chciałby nazywać pracą – nie jestem do tego skłonny) i po przyjściu do domu rodzice usiłują całą robotę, wykonywaną dawniej przez dobre kilka godzin, odwalić jak najszybciej, co gorsze, zwalając ją wzajemnie na siebie lub na dzieci. Dziwienie się potem, iż wyrasta pokolenie lubiące zwać pracę na innych, jest faryzeuszostwem. Miejmy odwagę serio ocenić ten pośredni skutek emancypacji.

Jeszcze wcześniej rozpoczęła się erozja etosu pracy spowodowana techniką. Syn przypatrywał się ongiś ojcu przy pracy i w znanym zjawisku, że syn kowala zostawał zazwyczaj kowalem, grało rolę – oprócz ekonomiki i ewentualnych skłonności dziedzicznych – naśladownictwo (*vide* IMITACJA). Potem praca przeniosła się do manufaktur, następnie fabryk, na których teren można obecnie wejść zazwyczaj tylko ze specjalną przepustką – i bezpośredni przykład przestał działać. Co prawda praca stała się przez to nieco bardziej mityczna, a więc i pociągająca (co do pewnego stopnia równoważyłoby ten brak), ale też wraz z feminizacją zmalała jej atrakcyjność. Zawód traktorzysty może być prawie równie nęcący jak lotnika – lecz z chwilą, gdy każdy (nawet Basia z warkoczykami) może zostać traktorzystą, nikt nim zostać tak naprawdę nie chce.

Te trzy czynniki rozłożyły – do czego wstydzimy się przyznać – całe życie społeczne, oparte – zarówno w doktrynie chrześcijańskiej, mieszczańskiej, socjalistycznej, kapitalistycznej i komunistycznej – na pracy, (jedynie w feudalizmie istniała grupa gardząca pracą, ale też proszę mi dziś wskazać chętnych na „próżniacze” życie połączone z koniecznością brania 2-3 razy do roku udziału w wyprawach wojennych z noclegami pod gołym niebem!).

Najgorzej wyszła na tym praca fizyczna. Prace umysłowe i wolne zawody zawsze otoczone były podziwem. Dokonująca się rowolucja demokratyczna wpoila w co mniej krytyczne umysły przekonanie, że każdy może być Einsteinem. Kandydatom na Einsteinów nie wyszło to na dobre; dawniej student wiedział, że statystycznie co dziesiąty jego kolega zostaje, powiedzmy, Infeldem, obecnie zostać nim może tylko co tysięczny, gdyż na fizykę przyjmuje się sto razy

tylu kandydatów. Stąd brak etosu elity, co przeszkadza w twórczej pracy a objawia się melancholią i rezygnacją. Pomijam oczywiste obniżenie poziomu...

Ale my nie o tym. Absolwenci szkół i uczelni nie podejmą pracy fizycznej, gdyż to hańba (maskowana argumentem, wcale słusznym, że nie po to oni i państwo wkładali tyle pieniędzy i wysiłku etc). Tak więc, pod naciskiem większości trzeba ich było przyjąć na uczelnio, obecnie trzeba im dać pracę.

Jeżeli mówi się, że człowiek zmieniający pracę z fizycznej na umysłową awansował – to nie można oczekiwać, by dzieci szanowały i ceniły pracę fizyczną. A jednak ona jest podstawą naszego życia i jeśli kiedyś tylko 10% ludności zajmować się będzie pracą ręczną, a 90% myśleniem, to rola tych 10% nie zmaleje, lecz wzrośnie. Dokona się automatyczny nawrót: prace umysłowe będą wówczas w pogardzie, a na fizycznego trzeba będzie zdawać egzaminy. Jest to nieuniknione – po zastanowieniu się powstrzyma Pan zapewne uśmiech i przyzna roi rację.

Na razie obserwujemy dopiero początek tego procesu. Jeśli pragnie Pan swego syna utrzymać w nurcie – może Pan nic nie robić. Dobrze jest tylko wtrącić od czasu do czasu słówko, że męczyć się nie warto, i raczej ograniczać oglądanie filmów rosyjskich i amerykańskich (nie wiadomo dlaczego czym potężniejszy naród, tym bardziej ceni pracę...).

Jeśli chce Pan tego uniknąć, nie ma rady: musi Pan często brać do ręki młotek, piłę, gwoździe, śruby... W każdym domu jest sporo do zrobienia. Twierdzenie prof. Grzegorzcyka, że brakoróbstwo budowlanych jest w pewnym sensie korzystne, wzbudziło salwę śmiechu całej ćwierćinteligentkiej Polski, reszta Polaków przyjęła ten paradoks jako dobrą ilustrację tezy: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. A jednak coś w tym jest!

Uwaga: jeśli żona będzie wyśmiewała dzieła Pana rąk (pierwsze będą zapewne pokraczne), szansę sukcesu maleją dziesięciokrotnie. Musi Pan otoczyć się nimbem kapłańskim, narzędzia są Pana, danie ich synowi to przywilej, o który trzeba prosić. Zaczynać należy wcześniej, dla czteroletniego dziecka każdy produkt Pana pracy będzie wspaniały. Z drugiej strony dwulatek bez większych trudności wbije gwoźdź (w zawczasu przygotowaną przez Pana dziurkę) i odkręci luźno chodzącą śrubkę. Proszę się nie bać – dziecko nie uderzy dość mocno, by wyrządzić sobie trwałą szkodę...

Jakże mylne jest mniemanie, że dzieci chcą się tylko bawić (prawdziwe jest tylko w stosunku do tych zapędzonych przez rodziców do pracy). Przeciwnie: Pańskie majsterkowanie ma być pracą pełną gębą, żadnej zabawy! Przedmioty

produkowane winny być pożyteczne i trwałe.

Córka ma inny wzór. Warsztat pracy – prawdziwy warsztat pracy – kobiety jest w domu i może ona brać w niej udział na co dzień. Prawdziwość głoszonych tu też potwierdza obserwacja: sposób utrzymania kuchni przez córkę niemal dokładnie jest odbiciem metod matki, choćby nawet obie kobiety różniły się wszelkimi innymi poglądami. Analogicznie – wpojonych w dzieciństwie postaw nie wykorzenia nawet dwa lata praktyk robotniczych będących rozpaczliwą próbą naprawienia tego, co zaniedbał ojciec (spóźnioną o dziesięć-piętnaście lat, w więc tylko pogarszającą sytuację).

Tak jak żonie nie wolno krytykować Pana roboty (potem, gdy dzieci będą miały własny sąd, sytuacja się zmieni – ale też i Pan dojdzie do większej wprawy, miejmy nadzieję. Proszę się nie tłumaczyć „dwoma lewymi rękami”. Panie, stolarz po trzech klasach podstawówki potrafi równo uciąć deskę: inteligent winien to robić lepiej, trzeba tylko tej inteligencji użyć i przyjąć do wiadomości, że każda praca wymaga myślenia) – tak i Pan może korygować „kobiece” prace tylko przez żonę. Nie wolno krytykować ani żony przy córce, ani przejętych przez córkę od żony metod. Zresztą wtrącać się Panu wolno tylko do spraw „zewnętrznych” – tak jak Panu jest przyjemnie, że umie Pan coś, czego nie potrafi żona, tak i ona czuje się wyższa, że potrafi przyrządzić sos pomidorowy, o czym Pan nie ma pojęcia. Gdyby Pan był lepszym kucharzem, cała jej praca straciłaby urok. Pan ma ją podziwiać!

Proszę nie sądzić, że prace kobiece uważam za gorsze tylko dlatego, że odradzam branie się za nie. O nie! Odradzam Panu z tegoż powodu, z jakiego kowalowi odradzałbym zegarmistrzostwo. Postęp polega na specjalizacji! Jeśli z jakichś powodów (choroba, zmęczenie żony) wypadnie Panu zająć się kuchnią, winien Pan ucieszyć się, że wolno Panu to zrobić – i zrobić, co trzeba. Bez specjalnego starania wyjdzie to Panu gorzej niż żonie. No, i dobrze! Jeśli zamiast tego oświadczy Pan z obrzydzeniem, że tego typu roboty nie są dla Pana, przekroczy Pan granicę między człowiekiem rozsądnym a tępym (choć zabawnym) konserwatystą. I przy okazji naruszy Pan równowagę w rodzinie – przerosty emancypacji to reakcja na takie właśnie postawy.

Ostatnią, pozornie marginesową, sprawą są narzędzia pracy. Póki dziecko ma cztery latka, może mu Pan dawać dowolny młotek i będzie szczęśliwe. Ale – wbrew powszechnej praktyce popieranej przez wytwórców zabawek typu „Mały stolarz” – dzieciom trzeba dawać narzędzia najlepsze. Pan zdoła urznąć równo deskę nawet tępą piłą – dziesięciolatek zniechęci się przy drugim ruchu. Daj

Pan dziecku szansę!

Do ukończenia piętnastego roku życia byłem kompletną ofermą w tzw. pracach ręcznych i nie mogłem pojąć, czemu nie potrafię dorównać, bynajmniej nie mądrzejszym ode mnie, fachowcom. Dziś przypadkiem wziąłem do ręki narzędzia produkcyjne dla dzieci i już wiem!

Zupełnie już na marginesie pytanie za 2 punkty: jakie maszyny oddają zakłady kierowanym do nich na praktykę studentom?

praca zarobkowa



Tak – mimo iż uczęszczanie do szkoły jest w województwie warszawskim (a chyba i w wielu innych) obowiązkowe – ośmielam się uważać, że dla większości młodych ludzi znacznie korzystniejsza byłaby nauka – przy pracy. Jest wręcz szokujące, że wykazują oni zdrowe odruchy, często podejmując i zmieniając pracę – i to, czyli objawy nauczania ogólnego, się zwalcza (*vide* INWESTYCJA). Natomiast popiera się naukę w szkole, blokującą różnorodność rozwoju.

Nigdzie człowiek tak dobrze się nie nauczy jak przy pracy, w której dobre posunięcie daje wysoką premię, a za błąd trzeba płacić. Taka praca jest pedagogiczna. Dlatego też dla człowieka młodego zdrowsza jest gra w pokera niż odbywanie „praktyk robotniczych”, polegających na obijaniu się po fabryce. Sądzę, że nawet synowi króla nie szkodziłoby dziennie popracować dwie godziny – co tydzień w innym zawodzie. Praca, rozwój kulturalny (literatura, teatr, muzyka), gry oraz nauka teorii powinny stanowić cztery filary edukacji.

Niestety! Znów praktycznie nie może Pan tak poprowadzić edukacji swego dziecka. Nie może Pan zaprowadzić go nie tylko do zakładu elektronicznego, ale nawet do szewca na terminatora bez setek papierków i zezwoleń. W państwie – w którym teoretycznie praca jest uważana za najwyższe dobro – młodzieży pracować się nie pozwala. I basta. Dochodzi do tego, że w niektórych zawodach szkoli młodzież wojsko, nadrabiając braki cywilbajzlu.

Jedyna rada, by pohamować zapędy biurokracji i dobrych wujków, to wynaleźć kruczek prawny przerzucający na nich obciążenie: Rada Narodowa wydała nakaz kształcenia – to niech za to płaci! Rozumiem przez to: płaci odszkodowanie za pieniądze nie zarobione przez niedoszłego jungarbeitsera.

Nasze społeczeństwo staje się coraz bardziej społeczeństwem ludzi

nieodpowiedzialnych, bo tego właśnie uczy szkoła! Odpowiedzialność ucznia, który może zbić szybę, jest nieporównywalna z odpowiedzialnością czeladnika jubilerskiego! Całkowicie się zgadzam, że potrzebna jest pewna warstwa ludzi bardziej beztroskich, umiejących bez obciążenia podejmować decyzje. Jednak tak nie można wychowywać wszystkich – wbrew ich inklinacjom, predyspozycjom i przyszłym szansom życiowym. Mamy miliony nieodpowiedzialnych dorosłych, bo do dziewiętnastego roku życia traktujemy ich jako nieodpowiedzialnych. No, to przywykają.

W wieku dziewiętnastu lat niektórzy bywali już generałami po dwudziestu odbytych bitwach!

Przeraża mnie zwłaszcza liczba wynalazków, które mogliby dokonać ci młodzi ludzie. Zamiast stworzenia odpowiednich możliwości, wtłacza się im w głowy formułki martwej na ogół dla nich wiedzy – oraz szkoli na przestarzałych maszynach. A potem dziwimy się, że w Polsce przypada na jednego inżyniera najmniej wynalazków w porównaniu z innymi krajami. Gdyby popatrzeć na inżynierów na porównywalnym samodzielnym stanowisku pracy i w porównywalnym wieku – to może nie byłoby źle.

Bo tak, to nasi trzydziestolatkowie porównują się z zagranicznymi dwudziestolatkami...

A stanowiskiem samodzielnym bywa tokarz – zaś nie jest nim zastępca dyrektora.

Praca – przypominam – stworzyła Człowieka.

Czy może Pan coś tu uczynić dla syna?

przekaziory

Żyjemy w wieku nadmiaru informacji – w przeciwieństwie do wieków dawniejszych – musimy nastawiać mózgi nie na wychwytywanie jak największej ich ilości, lecz na zagłuszanie informacji zbędnej.

Trzeba przy tym pamiętać (*vide* PODŚWIADOMOŚĆ), że nasz mózg ma rezerwy pamięci miliony razy większe niż zdajemy sobie sprawę. Stąd włączony odbiornik, choćby niekochany i nie-słuchany, zapycha nasz mózg dowolnymi i niekontrolowanymi treściami. Co prawda nie muszą one wpływać na nasze decyzje, ale byłoby dziwne, gdyby nie wpływały w ogóle.

Nasze mózgi pamiętają dane z niemowlęstwa. Pamiętam zaś syna mego kolegi – trzy latka miał bodaj. Kolega ów akurat zamiast „Wolnej Europy” słuchał był tego dnia „Dziennika TV”. Gdy spytałem: „Co słychać?”, ku memu zdumieniu odezwało się dziecko recytując: „Imperialistyczna flota Stanów Zjednoczonych wpłynęła na Morze Śródziemne!”. Sądzę, że do dziś w jego mózgu gdzieś tam spoczywa to zdanie. Zapewne tuż obok zdania: „Agresywna flota sowiecka wypłynęła na Ocean Atlantycki”, bo pamięć nie zajmuje się analizą sensu i zgodności...

Kłopot z radiem i telewizją polega na tym, że – zwłaszcza ta ostatnia – ma zbyt mało kanałów. Powoduje to, iż różnorodność treści jest zbyt mała, jak na zasięg i potęgę tego środka przekazu.

Należy pamiętać, że książka jest równie szkodliwa, jak mass media. Wrzask literatów przeciwko telewizji to nieuczciwe argumenty wobec konkurencji. Zacztywanie się w Karolu Mayu lub Meglu nie jest wiele lepsze od oglądania westernu lub słuchania Tadeusza M. Jaroszewskiego. Jednak wybór książek jest o wiele większy niż wybór kanałów i myślę, że nieprędko treści taśm video osiągną ten sam poziom nasycenia, jaki zapewniają nam obecnie książki.

Stąd właśnie – a nie z zasady – bierze się mój sprzeciw wobec TV.

Właśnie dlatego też radzę Panu telewizji używać – a nie włączać. Dziennika lepiej słuchać z radia. Muzyki też. Również nauki języków. Natomiast rewię czy zawody sportowe – oczywiście – oglądać w telewizorze.

Należy również kontrolować dzieci, czy rozumieją, co widziały na ekranach. Jeśli nie – nie pozwalać oglądać. Co prawda człowiek wiele się uczy domyślając, jednak liczba informacji na sekundę prezentowana w TV nie pozostawia wiele czasu na domysły.

Efekt jest taki, że dziecko głupieje dokładnie tak samo, jakby spędziło godziny na bezmyślnym czytaniu książki w absolutnie obcym sobie języku.

Należy też subtelnym gestem podkreślić pogardę dla głupich programów. Bardzo ważne, by dziecko wyrobiło w sobie świadomość, że jest mądrzejsze niż przeciętny odbiorca, 18% odbiorców nie rozumie najprostszego filmu kryminalnego z TV (co prawda te najprymitywniejsze są na takim poziomie, że to ja nic nie rozumiem z akcji, bo ładu i składu tam nie ma!), zaś 42% nie rozumie „Wiadomości”! Polska telewizja nie jest przy tym wcale taka beznadziejna. Szkoda tylko, że jest jednostronna...

Jak już człowiek ma wpaść w kanał, to chciałby mieć choć kilka do wyboru...

przerywanie ciąży

W dawnych dobrych czasach – mam na myśli Rzym republikański, gdy władza cesarzy nie odjęła praw obywatelskich pod fałszywym pretekstem ochrony słabszych obywateli – każdy pan domu miał prawo miecza w stosunku do domowników. Mógł więc również – choć się to zdarzało nader rzadko – skazać syna na śmierć. Była to zasada dość rozsądna. Skazywał mąż dojrzały, rozumny, a skazany musiał popełnić konkretne poważne przewinienie.

Z tajemniczych przyczyn społeczność dzisiejsza odrzuciła ten obyczaj jako barbarzyństwo. Natomiast zabijanie dzieci, które nikomu w niczym nie zawiniły, na podstawie wyroku wydanego przez osobę chwiejną, której decyzja zależy od tego, do jakiej kliniki wejdzie i na jakiego „lekarza” lub lekarza trafi – a więc czyn bez wątpienia gorszy – uważane jest za zgodne z moralnością.

Na to nie wolno się Panu zgodzić.

Niech Pan zauważy, że pojawienie się dziecka w łonie żony lub kochanki oznacza pewne obowiązki. Może Pan zostać np. zmuszony do płacenia alimentów. Nie powinno zaś być obowiązków bez praw, jeśli nie chcemy zostać niewolnikami, tymczasem nie ma Pan nawet prawa nie wyrażenia zgody na skrobanę!!!

Jest to absurd. Decyzja „Urodzić czy zabić!” należy prawnie do kobiety, a skutki obciążają... Pana. Moim zdaniem taki układ jest sprzeczny z Konstytucją. Jeśli Pana żona wykona ten „zabieg” bez Pana wiedzy – to trudno, ale wbrew Pana woli??

Pomińmy banalne ostrzeżenia o szkodliwym wpływie przerywania ciąży na zdrowie i płodność kobiety. Chcę natomiast ostrzec Pana przed szkodliwym jego wpływem na psychikę kobiety. Jest to osoba, która zabiła – powiedzmy – coś pomiędzy żabą a człowiekiem. Niech będzie. Ale zabiła.

To pociąga za sobą poważne skutki dla psychiki. Właśnie brutalizację. Kobieta, która pozbyła się jednego dziecka, nie ma już zahamowań: może na drugie krzyczeć i bić, może się na nie denerwować – a nawet mieć do niego podświadomą niechęć, że nie da się już go usunąć z życia... Przełamana została pewna blokada. Odbije się to też i na Panu...

W epoce tanich środków antykoncepcyjnych, redukujących szansę zapłodnienia do poziomu dowolnie niskiego (z zachowaniem szansy, że jednak efektem będzie dziecko), w epoce znajomości cyklów płodności – utrzymywanie tak barbarzyńskiego zwyczaju jest niezrozumiałym anachronizmem.

Serdecznie doradzam Panu: nie „decydowanie zawsze na niekorzyść skrobanki”, lecz przyjęcie Zasady (*vide* ZASADY), że to jest w ogóle poza dyskusją!

Gdy bowiem raz uzależnimy decyzję od pragmatycznych okoliczności to psychiczna blokada i tak zostanie złamana, choćby decyzja była negatywna. Potem Pan lub żona będą mogli mieć pretensje (podświadome) do siebie, że się nie zdecydowaliście, i do dziecka, że się w ogóle urodziło!

W pewnym momencie oficerowie legionów galijskich zorganizowali naradę, czy należy wypowiedzieć posłuszeństwo Cesarzowi. Naradę przeciął jeden z nich trzeźwym stwierdzeniem, że sama narada nad tym jest już wypowiedzeniem posłuszeństwa. To samo z przerywaniem ciąży: samo zastanawianie się „usunąć – czy nie usunąć” jest zastrzykiem trucizny. I to – a nie usunięte płody – jest głównym oskarżeniem panującego obecnie systemu moralno-prawnego!

Jeśli mimo zmniejszenia prawdopodobieństwa żona w ciążę zajdzie w momencie niekorzystnym – trzeba zacisnąć zęby. Bardzo wielu genialnych ludzi urodziło się i wychowało w trudnych warunkach, znacznie trudniejszych niż te, które stwarza nam techniczna cywilizacja. I również bardzo często trudności skłaniały ludzi do zwiększonego wysiłku – i w rezultacie stawiały na nogi. Ojcowie rodzin zarabiają więcej od kawalerów nie z uwagi na „sprawiedliwość społeczną” (bo tej na ogół w kapitalizmie nie ma), lecz z uwagi na solidniejszą pracę. A ubocznym efektem tej pracy bywa znaczny sukces życiowy, niedostępny tym, którzy są może i bardziej zdolni, ale nie obarczeni kłopotem rodzinnym jeździli sobie po świecie, szaleli, pili – i swoje zdolności zmarno-trawili. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy, który mnie na Pana miejscu przyprawiłby o dreszcz. Otóż przypuśćmy, że wyznaje Pan zasadę „wyboru”, tj. za każdym razem naradza się z żoną: „Wyskrobać – czy zostawić”. Wasze dziecko – jedynaczka – dochodzi do szesnastego (powiedzmy) roku życia, czyta uświadamiające książki narzucone przez nauczycieli i któregoś dnia zadaje Warn pytanie: „A właściwie z jakich powodów wyście mnie nie wyskrobali?”.

No, i musielibyście się tłumaczyć, że akurat warunki nam się poprawiły-, a lekarz akurat odradzał zabieg, wahaliście się, potem zrobiło się za późno... no, i dlatego, Kochanie, żyjesz...

Jak Pana to nie przeraża – to już trudno. Należymy do innej formacji umysłowej i moralnej.

przymus

W dziecko sporo można – przynajmniej powierzchownie – wdusić przymusem. Jednak postępowi pedagodzy zauważyli, iż bardzo wiele z tego osiąga się w sposób o wiele prostszy, a przynajmniej mniej konfliktowy.

Poprzez uatrakcyjnianie czynności.

Zamiast mozolnego napędzania do książki – kolorowe obrazki z projektora. Zamiast kary za nieodrobienie lekcji – premie za uzyskane piątki.

Można też stosować liczne działania pośrednie. Zamiast zmuszać do wkuwania długości Nilu – dać do przeczytania *W pustyni i w puszczy*, a potem urządzić konkurs z nagrodami.

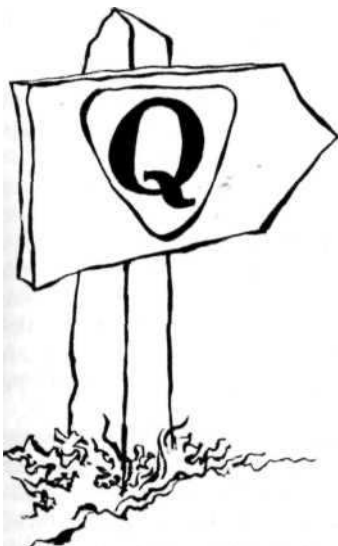
Wszystko to jest prawdą i daje istotnie dobre rezultaty w tym przedmiocie. Mimo to pedagodzy nowocześni są raczej zdyskredytowani.

Dlaczego?

Dlatego, że ucząc dzieci rozmaitej wiedzy zapomnieli, że nauka i praca pod przymusem uczą mimo wszystko jednego: znajdowania się i zachowywania pod przymusem. A ogromna większość chłopców (a także dziewcząt) znajdzie się w życiu w sytuacji, gdzie to i owo będzie musiała zrobić. Bez wprawy wyniesionej z dzieciństwa to bolesne doświadczenie grozi wręcz szokiem – i pogarsza sytuację dziecka w porównaniu z tymi, które do przymusu nawykły.

Nie, nie doradzam Panu wychowania wojskowego. Radzę natomiast, by mimo wszystko stosować metodę łączoną: część poleceń wydawać w trybie przymusowym.

Po prostu dla oswojenia dziecka.



przyszłość (jasna)

Kierunek kształcenia syna zależy od wizji przyszłego świata, jaką wytworzył Pan w wyobraźni, nieprawdaż? To błąd!

Ludzkość od lat marzyła o poznaniu przyszłości; przeróżni futuromanci, jako to Pytia, M-me Soleil czy Herman Kahn, zbili na tym majątki. Na szczęście od kilkudziesięciu już lat istnieją dowody, że: – przyszłości dokładnie poznać nie można,

- działania oparte o niedokładną znajomość przyszłości powodują większe straty niż zyski (tj. częściej przynoszą zyski, ale za to ewentualne straty są kolosalne),

- nawet dokładna znajomość przyszłości obróciłaby się na naszą niekorzyść.

Wraz z szybko zmieniającymi się perspektywami wzrosło w społeczeństwie zapotrzebowanie na astrologów, futurologów itp. Ludzie szukają punktu orientacji, nawet fałszywy jest lepszy od żadnego! Punkt taki istotnie można znaleźć, ale trzeba zmienić płaszczyznę. Gdy znajdzie się Pan w labiryncie luster – co należy zrobić? Przede wszystkim wyłączyć wzrok, zwodzący na manowce, zaniknąć oczy i starać się iść prosto!

To samo i tu. Dawniej można było śmiało orzec, że zawód kowala ma przed sobą co najmniej stuletnią perspektywę. Dziś miraż goni za mirażem, specjalista od lamp elektronowych – wczoraj półbóg moderny, dziś może co najwyżej dłubać przy przestarzałych radioodbiornikach. Namawiamy ludzi na karierę programistów, ale już niedługo wejdą do użytku maszyny samo-programujące się – i co wtedy?

Jeśli Pańskie dziecko należy do tzw. żywych umysłowo – to niech Pan pozwoli

mu kierować się intuicją – nie modą. Ono lepiej czuje nadchodzący świat niż my, reagując jak tygrysy szabli-ste: na brak zwierzyny powiększamy kły, aż do niesławnej śmierci...

Intuicja, fantazja, tradycja i moda współdziałają w tworzeniu właściwego rozkładu (*vide* RÓŻNORODNOŚĆ) przyszłych zawodów. My reprezentujemy, proszę Pana, tylko trzeci z tych czynników... Jednak dobrze byłoby, by syn poza wymarzoną specjalnością znalazł jakiś fach przydatny nawet wtedy, gdy zawiodą komputery (*vide* PRACA). Różne już czasy bywały i nadejść mogą.

Jedno jest pewne – w epoce, gdy wiedza zmienia się co kilka lat (tak, w fizyce nauki wyniesione ze szkoły są w połowie nieaktualne pod koniec studiów), a technika – jeszcze szybciej (student politechniki odbywający na pierwszym roku praktykę w fabryce, te same maszyny odnajdzie po studiach najprawdopodobniej w muzeum), wczesna specjalizacja jest kompletną bzdurą. Rozwijać należy ogólną wiedzę i inteligencję (uwaga: nie mylić tego z uczeniem definicyjnym), co synowi pozwoli opanować każdy nowy zawód w 2 tygodnie. Również częsta zmiana zawodu jest w tym sensie korzystna – wbrew powszechnym w tym względzie mniemaniom (*vide* ZABAWA).

Takie kształcenie wymaga pewnej dozy wysiłku z Pana strony; trudno, trzeba przyjąć do wiadomości, że czasy, gdy raz w życiu podejmowało się zasadniczą decyzję: „Oddajemy Michała do terminu u szewca”, skończyły się. Co prawda, złośliwi mówią, że wraz z nimi skończyły się dobre i tanie buty, ale na to Pańska decyzja nie ma wpływu.

Powyższe uwagi dotyczyły jednak dzieci o znacznych zdolnościach abstrahowania. Jeśli dziecko ich nie ma – to nie przeniesie ogólnych rozumowań na konkretną dziedzinę. W takim razie lepiej, by od razu poszło do pracy (*vide* PRACA) – a w razie czego po prostu zmieniło pracę...

religia

Nie będę się tu zastanawiał nad istnieniem Boga. Mowa będzie wyłącznie o wpływie religii – tej religii, jaką realnie może przyjąć dziecko – na jego wychowanie. Każdy, nawet najbardziej zakamieniały ateista przyzna, że księży katecheci i książeczki do nabożeństwa – a także kościoły – istnieją jak najbardziej materialnie.

Otóż przed czytaniem dalej zalecam lekturę haseł IMITACJA i POSŁUSZEŃSTWO.

Tak samo, jak dzięki udawaniu przed dziećmi, że boi się męża, żona uzyskuje autorytet i posłuch dzieci – tak samo Pan uzyska łatwiej posłuch dzieci, gdy będzie Pan szczerze – lub udając – demonstrował posłuszeństwo wobec woli Boskiej).

Jest to szczególnie ważne w stosunku do małych dzieci. Wielu ateistów zdołało dobrze wykształcić i wychować swoje dzieci, statystycznie jednak ich heroiczne wysiłki nie mogły zostać uwieńczone powodzeniem. Raz jeszcze powołam się na Karola Darwina – gdyby tak było, to przodujące społeczeństwa byłyby ateistyczne. Tymczasem wszystkie społeczeństwa, przynajmniej w znacznym fragmencie, są – a wszystkie były – całkowicie niemal religijne. To dowodzi tej tezy. Wszystkie też miały mniejszy lub większy procent wolnomyślicieli. Te, które ich chciały wykorzenić, marnie skończyły. Tak widać powinno być...

Bezwzględnie więc zalecam wychowanie religijne dziecka. Inna sprawa, że bardzo często dziecko w wieku lat kilkunastu buntuje się przeciwko wierze, religii lub wręcz głosi ateizm. Trzeba się z tym liczyć – to jest też normalne.

Jeśli jednak jest Pan ateistą – to też nie radziłbym Panu (*vide* OGON OSŁA) dziecka do tego .zachęcać. Wręcz przeciwnie! Niech się buntuje! Ale niech się buntuje samodzielnie!

Gdy rzeczywiście potrafi oprzeć się Pańskiemu i otoczenia naciskowi i jest w pełni przekonane o słuszności tego buntu – wówczas (jeśli jest Pan ateistą) ustąpi Pan z dobrze tajonym tryumfem. Jeśli jest Pan wierzący, to całkiem słusznie pocieszy się Pan, że jest to chwilowy bunt i owieczka prędzej czy później wróci na łono Kościoła. Jest to całkowicie normalne. Pan Bóg patrzy na to pobłażliwie od tysięcy lat...

Natomiast dla wielu ludzi religia jest istotną potrzebą duszy i nie wolno im jej odbierać. Dzięki religii człowiek myśli o wieczności, a zatem potrafi

myśleć trochę dalej niż w perspektywie „byle do pierwszego”.

Zresztą, co ja tu będę mówił o rzeczach oczywistych.

rozkaz

W ogromnej większości wypadków (*vide* MŁYNARZ ŚPIĄCY) dziecko – nawet dwuletnie – można przekonać, że powinno coś zrobić. W wypadkach pozostałych lub w razie nagłej konieczności, daje się mu polecenie, które powinno być wykonane.

Mogą się jednak zdarzyć wypadki, gdy będzie Pan chciał być pewnym absolutnego posłuszeństwa. Taki zbieg okoliczności: sprawa jest naprawdę ważna, syn (bo tylko o nim będzie mowa) – wyjątkowo niechętnie nastawiony do polecenia. Wówczas można mu kazać je wykonać.

Rozkaz (nie musi paść to słowo) ma mieć formę ustaloną w wieku czterech-pięciu lat, gdy dziecko zdolne jest do przyswojenia i zapamiętania zrytualizowanej formuły. Gdy – wobec bezskuteczności polecenia – stosuje ją Pan po raz pierwszy, należy wyrażnie, bez podnoszenia głosu, ale z niezwykle naciskiem, powtórzyć, np.: „To jest rozkaz!”. W 99 wypadkach na 100 nie zostanie on wykonany (dziecko zacina się) i – wówczas musi Pan syna sprać. Nie ma rady. Sprać stanowczo i boleśnie, pamiętając że dzięki temu będzie to najprawdopodobniej jedyna kara cielesna w jego życiu (jeśli nie liczyć klapsów matki, które z biegiem czasu są bagatelizowane). Jeśli Pan tego nie zrobi – będzie Pan w sytuacji zmuszającej do wykonania tej operacji 100 razy, a i to zapewne już nie pomoże.

W żadnym wypadku egzekucja nie może się przytrafić częściej niż raz na półtora roku. Konieczność taka świadczyłaby albo o zbyt delikatnym wykonaniu (tu trzeba być mężczyzną, półśrodki w postaci lekkiego przetrzepania skóry są gorsze od całkowitej pobłażliwości!), albo o wadliwej pamięci dziecka.

Z takim instrumentem, jak wytresowany „rozkaz”, będzie Pan odczuwał nieustanną pokusę nadużycia. Po co polecać, kiedy można kazać? Jeśli ma Pan tak słabą samokontrolę, że użyje Pan go częściej niż od wielkiego dzwonu (powiedzmy: raz na dwa miesiące), to wróci efekt młynarza i wszystko na nic. W takim wypadku lepiej umówmy się, że Pan tego rozdziału w ogóle nie czytał i kar cielesnych stosować nie będzie. Z narzędzia w niewłaściwych dłoniach więcej bowiem szkody niż pożytku.

rozzrzt inteligencji

Badania nad inteligencją w zasadzie do niczego się w praktyce nie nadają.

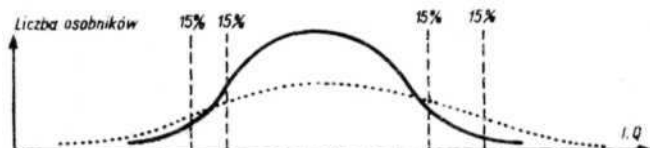
Przede wszystkim – co to jest inteligencja? Na przykład, pamięć jest niewątpliwie potrzebna do praktycznego myślenia. Jednak nie jest ona uważana za składnik inteligencji. Symptomatyczne, że właśnie pamięcią kobiety nad nami górują (uwaga – zgodnie z hasłem SPECJALIZACJA należy w córkach rozwijać pamięć!). Być może uwzględnienie czynnika pamięci wyrównałoby naszą przewagę nad kobietami w standardowych testach na inteligencję?

W testach – cokolwiek one mierzą! – nasza przewaga jest istotnie kilkupunktowa. Z tego jednak nic nie wynika! Jeśli ma Pan przed sobą dwoje kandydatów na wymagającą inteligencji posadę, to co Panu przyjdzie z informacji, że średnia inteligencja mężczyzny w Polsce jest 102, a kobiety 98? Dokładnie nic! Trzeba i tak oboje przebadać...

Natomiast ciekawe wnioski wynikają z badania rozrzutu zdolności wewnątrz obydwu płci.

Otóż (nie tylko pod względem inteligencji) mężczyźni są płcią, która ma większy rozrzut, jest „bardziej” we wszystkich kierunkach. Oto rozkład inteligencji na wykresie: krzywa przerywana ogranicza pole zajmowane przez mężczyzn, a ciągła – przez kobiety.

Jest to wykres uproszczony. Minimalne przesunięcie mężczyzn w prawo nie ma wielkiego znaczenia. Natomiast większy rozrzut – ma!



Proszę sobie wyobrazić, że wśród najwyższych grup społecznych (powiedzmy 15% populacji) dobieramy pary według najwyższej inteligencji. Proszę sobie podobierać pary, a przekona się Pan, że w tej części nieodmiennie mężczyzna góruje nad partnerką.

Jeśli więc w społeczeństwie panuje przekonanie, że mężczyzna jest od kobiety inteligentniejszy, lepszy etc. – to można zakładać, że jest to społeczeństwo pragnące się doskonalić, społeczeństwo rządzone przez elitę i takie, gdzie dominują wartości elitarne.

Proszę teraz odciąć dolne 15% – i też podobierać pary. Tu widać wyraźnie przewagę kobiet. Istotnie, wśród najniższych warstw społeczeństwa łatwo

zaobserwować, że to kobiety trzymają kasę, decydują *de facto* o większości spraw domowych – i nie tylko domowych. Gdy takie wartości dominują w społeczeństwie, można domniemywać, że jego elita wyemigrowała lub została wymordowana, a przewagę uzyskały doły.

Natomiast w części środkowej różnice są statystycznie niewielkie. Jest to typowe społeczeństwo rządzone przez klasę średnią, społeczeństwo nieruchawe, nieskłonne do szybkiego doskonalenia, ale też bynajmniej nie upadające. Zdrowe społeczeństwo, z którego może jeszcze wszystko wyrosnąć. W nim, oczywiście, dominuje przekonanie o równości ról obydwu płci. Poglądy elity i motłochu są przez ten zdrowy trzon pomijane.

Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę wspomnianą przez Jerzego B. Shawa tendencję do ucieczki kobiet wzwyż: „Lepiej zostać metresą człowieka inteligentnego niż ślubną żoną idioty”, by zdać sobie sprawę z właściwego znaczenia tej krzywej. Tak a propos: obecnie w Warszawie na jednego mężczyznę w wieku lat 40 przypadają dwie kobiety w odpowiednim dla niego wieku (*vide* WIEK)...

rozwód (teoria)

Pierwszy artykuł na temat rozwodów pisałem przed dwudziestu bodaj laty. Zawarte w nim przepowiednie znakomicie się sprawdziły. Twierdziłem bowiem, że wprowadzenie małżeństw z możliwością rozwodu spowoduje, że będą powstawały pary, które już z góry zakładają możliwość rozwodu. Będzie ona niejako wpisana w kontrakt ślubny.

Przed godziną czytałem ankietę: prawie połowa nowożeńców z góry zakłada, że małżeństwo może się rozpaść...

Na tej podstawie nie można budować!

Nawet, jeśli Pan zakłada małżeństwo -dozgonne - to skąd wiadomo, że żona uczyniła takie samo założenie? A jeśli nawet tak - to skąd Pan ma wiedzieć, że ona wierzy Panu, że Pan uczynił takie założenie?

Wszyscy się lękają i żyją w nerwach. Co ma, oczywiście, pewne strony dodatnie, gdyż może bardziej się przykładają do obowiązków. Choć... z drugiej strony groźba zrujnowania tradycyjnego małżeństwa była poważniejsza niż groźba rozwodu dziś. W takich miastach, jak Warszawa, rozwód stał się już normą, a życie bez rozwodu - wyjątkiem.

Porównywanie zatem dawnych małżeństw z dzisiejszymi (a nawet używanie tej samej nazwy „małżeństwo”) jest wysoce mylące. Doświadczeń z tamtego okresu nie można przenosić.

Teoretycznie największą szansę na rozpad związku ma Pan po siedmiu latach jego trwania. Oczywiście sąd wiedząc, że małżonkowie szansę rozwodu z góry wkalkulowali w cenę związku, nie ma powodu, by rozwodu nie udzielić.

Pan protestuje, Pan nie wkalkulował? Myli się Pan! Wynika to z charakteru zawartego związku. Zawarł Pan „związek przewidujący możliwość jego rozwiązania”. Tym jest małżeństwo w świetle kodeksu i proszę mi nie mówić, że Pan o tym nie wie. A jeśli broni się przed tym Pańska świadomość, to podświadomości Pan na pewno nie zmylił!

Rozwód i małżeństwo stały się przy tym pojęciem prawnym i administracyjnym. Oznacza to, że zainteresowała się nimi biurokracja. W rozmaitych krajach rozpoczęła się więc radosna twórczość podwiązana do małżeństwa. W pewnych warunkach - stało się opłacalne zawieranie fikcyjnych małżeństw.

A także przeprowadzanie fikcyjnych rozwodów.

Proszę mnie zrozumieć: ja tego nie potępiam. Z chwilą, gdy małżeństwo przestało być dozgonnym sakramentem, a stało się cywilnym kontraktem, trudno

się dziwić, że jeśli zawarcie tego aktu kosztuje 100.000, a daje 300.000 zysku – to się go zawiera.

To samo z rozwodami. I dopóki Konstytucja nie zabroni biurokratom uzależniać rozmaitych przywilejów od stanu cywilnego zainteresowanych – potąd ta zabawa będzie trwała. Powiedzmy sobie jasno: gdyby dziś rząd uchwalił, że anabaptyści dostają co miesiąc 500.000 premii, to za rok byłoby w Polsce 10 milionów anabaptystów. A może i więcej? A może trochę później?

Z tym, że marni to byliby anabaptyści. W dodatku zapewne pozostaliby katolikami.

Tak więc: nie potępiam rozwodów rzeczywistych, nie potępiam fikcyjnych. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy spoczywa na ustawodawcach oraz wykonawcach ustaw.

rozwód (praktyka)

Przeprowadzany na poważnie rozwód jest jedną z większych tragedii, zwłaszcza gdy zainteresowane są dzieci.

Chcę Pana z góry uprzedzić, że Pańska tragedia nikogo obchodzić nie będzie. To była żona będzie Pańską nieszczęsną ofiarą. Ona, oczywiście, może przy dzieciach i sąsiadach wykrzykiwać na Pana obelgi, a gdy Pan zatka jej usta lub uderzy, to popełnia Pan czyn kryminalny, narusza nietykalność cielesną. Ona zresztą może Pańską naruszyć, ale o to chyba Pan nie dba, nieprawdaż?

Osobiście zdecydowanie radzę: wynająć adwokata i na sprawę w ogóle się (w miarę możliwości) nie stawiać, a w razie stawienia w ogóle nie odzywać. Czasem grzywna wypada taniej.

Gdyby żona zrobiła to samo, byłaby szansa na kulturalny rozwód.

Kodeks rodzinny zawiera pojęcie „winnego rozkładu pożycia”. Z punktu widzenia logiki jest to nonsens. Każde działanie ma swoją przyczynę. Nawet, założmy, że opuścił Pan żonę dla pewnej pani, która nie przydeptywała pantofli, czyż nie jest winą Pana żony, że zaczęła przydeptywać? A może Pan nie jest w stanie na to patrzeć? Ostatecznie (*vide* ROZWÓD, TEORIA) ślubu Pan z nią nie brał, tj. nie obiecywał dożywotniego pożycia – przynajmniej nie przed urzędnikiem państwowym...

Rozpad jest procesem długotrwałym. On zrobił coś, czego ona nawet nie zaobserwowała, ale podświadomie ochłódł. On o-chłódł. I dalej ten proces leci sam, częstokroć bez wiedzy i woli stron. Jak tu można mówić o winie? Jak w ogóle powiedzieć na sali sądowej, że partner(ka) zmienił(a) się pod względem wydzielanego zapachu? A to bywa poważna *realna* przyczyna, o której akta sądowe i statystyki, oczywiście, nie wspominają. Każdy przecież stara się wy myśleć i podać jakiś poważny powód. Często zresztą nawet jego świadomość tej zmiany zapachu nie zarejestrowała. Często ta zmiana zapachu świadczy o... zmianie uczuć drugiej strony (tak!!).

Są to sprawy naprawdę skomplikowane. A tu wkracza sąd, który ma tych spraw dziennie dziesięć i strony widzi łącznie przez godzinę lub dwie.

Lepiej więc milczeć. To nawet robi dobre wrażenie.

Sprawę o dzieci przegra Pan bezsprzecznie, jeżeli żona nie będzie pijaczką lub hmm, nie chce Pana obrazić nawet supozycją. Może Pan mieć i rację, ale to sądu nie przekona. W dodatku żona nasprawdza najprawdopodobniej fałszywych świadków, a raczej świadkinie. Znam osobiście przypadek, gdzie takiej świadkini udowodniono kłamstwo. Czy Pan sądzi, że prokurator w ogóle postawił

ją w stan oskarżenia? A miał taki obowiązek!

Przed sądem można dziś łąć ile wlezie – byle w słusznej sprawie. A powierzenie opieki nad dzieckiem matce jest sprawą słuszną z definicji.

Dawniej w Europie (obecnie tylko w niektórych kantonach Szwajcarii) oraz dziś jeszcze w krajach muzułmańskich utrzymuje się tradycja, że dwie świadkinie liczą się za jednego świadka płci męskiej. Znacznie lepiej jednak niż odnawiać ów przepis, byłoby surowo ukarać, bez różnicy płci, osoby dopuszczające się krzywoprzysięstwa w sądach.

Przegra Pan również praktycznie wszystkie sprawy majątkowe. Na tle całokształtu ruiny jest to raczej drobiazg. W tych sprawach zresztą ostatnio następuje pewne otrzeźwienie i sądy zaczynają zajmować mniej stronnice stanowisko.

Ogólnie więc trzeba minimalizować straty. Przede wszystkim moralne. Póki sprawa nie jest rozstrzygnięta, nie należy porozumiewać się z żoną: nastąpi tylko wybuch pretensji, gdyż ona – podobnie jak Pan – jest w trakcie usilnego przekonywania Siebie, że ma rację i rozwód jest jedynym rozwiązaniem.

różnorodność

Ludzie zasadniczo dzielą się na dwa typy: jedni chcieliby, by wszystko było równo i jednakowo, a inni marzą o barwności i różnorodności.

Obydwa te dążenia są w społeczeństwie istotne. W każdym wymiarze społeczeństwu potrzebna jest pewna doza różnorodności, subiektywnie zresztą określana. Jeśli społeczeństwo jest zanadto ujednolicone, potrzebni są bardziej ci drudzy; gdy społeczeństwo zanadto się zróżnicowało – ci pierwsi.

Stoję zdecydowanie na stanowisku, że obecnie jesteście zanadto zunifikowani. Dwa tylko programy telewizji, jeden język i jedna dominująca bezwzględnie religia, jeden program szkolny narzucony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, standaryzacja wyrobów, masowe wydania książek – powodują, że w porównaniu z naszymi przodkami jesteście spłaszczeni.

Co prawda, zgodnie z zasadą homeostazy, rozwija się prężny ruch ku różnorodności i tylko patrzeć, jak rozsadzi stare ramy, (rozsadził – **przyp. aut. 1991 r.**).

Człowiek nie panuje nad zbyt wieloma wymiarami. Może kontrolować ich kilka. Dlatego świadome ubarwianie siebie i otoczenia prawie nigdy nie bywa totalne. Pod wieloma względami pozostajemy podobni do innych. Na przykład, wszyscy zwolennicy oryginalności zgadzają się, że należy być oryginalnym...

Do Pana zadań należy, aby Pańskie dziecko było oryginalne w tym, w czym być powinno, a nie oryginalne dla oryginalności. Jakże często fryzura w stylu „świetnyj punk”, widoczna o kilometr kryje myśli banalne i przeżute.

O ile kobiety (*vide* HETEROZYGOTYZM) zmuszone są podkreślać swą różnorodność – o tyle mężczyźni, których myślenie i działanie jest znacznie bardziej różnorodne, dla równowagi odziewają się dość monotonna. I tak być powinno.

Jeśli więc Pański syn zaczyna przejawiać tendencje do zewnętrznej oryginalności, to znak, że coś jest nie w porządku w jego wnętrzu. Być może prowadzicie Państwo życie zbyt banalne i uporządkowane?

Na to Pan zapewne nic już nie poradzi – ale może Pan użyć jako argumentu: „Dlaczego chcesz być jak ci banalni punkowie? Nie stać Cię na coś oryginalnego?”

Tak nawiasem, pojęcie oryginalności jest całkowicie względne. Ślusarzy mamy sto razy tyle, co cinkciarzy – ale chłopak wychowywany w środowisku cinkciarzy za oryginalną będzie uważał pracę ślusarza – i posłanie go do takiego warsztatu na praktykę mogłoby być korzystną kuracją wstrząsową.

W ogóle praca (*vide* PRACA) jest znacznie bardziej różnorodna niż nauka i

liczne dewiacje młodzieży biorą się stąd, że zamiast pracować – jako np. gazeciarz, gdzie spotyka się co dzień tysiące ludzi – siedzi stale w tej samej klasie oglądając tych samych kolegów i sześciu nauczycieli. Mogłoby to sprzyjać oryginalności myślenia – gdybyż ci nauczyciele byli bardziej oryginalni, a nie stanowili sztamowy produkt Instytutu Programów Szkolnych, Instytutu Kształcenia Nauczycieli, Instytutu Badań Pedagogicznych – i podobnych instytucji, samych w sobie nieszkodliwych, ale zabójczych jako narzędzie biurokracji.

Co z tego, że taki instytut przebada masę programów szkolnych, skoro Ministerstwo i tak wybierze jeden. Byłoby lepiej, by bez myślenia i badań wybrało pięć... i dało tym nauczycielom do wyboru.

Różnorodności nie można przy tym zadekretować. Musi rozwijać się oddolnie. Jest to długi i skomplikowany proces.

Wystarczy zresztą mu nie przeszkadzać!

słówka”

Niektórzy rodzice uważają, że przy niemowlęciu można używać dowolnych słów – ono przecież i tak nie rozumie. Co więcej – niektórzy wręcz uwielbiają przemawiać do takiego baranka zwrotami wręcz nieprzyzwoitymi, uważając to za niewinną i pikantną zabawę.

Duży błąd!

Słynny Jakób Mill swego syna – również słynnego – Jana Stuarta Milla uczył dość intensywnie. Dzieciak w wieku 6 lat znał nie tylko angielski w mowie i piśmie, ale także łacinę i grekę.

Tak nawiasem, niech Pan nie wierzy, że arystokracja zawdzięczała swoją przewagę selekcji genetycznej. Przewaga dziecka arystokraty nad zwykłym brała się z genów może w czwartej części, jej źródłem było niesłychanie staranne i kosztowne wykształcenie. Nie wiem, kto koncypował bezmyślnie powtarzaną bzdurę, że demokracja wiąże się z uznaniem teorii, iż zdolności przyznawane są ludziom po równo, a arystokracja – iż są dziedziczne. Jest dokładnie (może: niemal dokładnie!) odwrotnie. Zdolne – tak zdolne, że potrafią skompensować niedostatki wykształcenia – jednostki spoza arystokracji, o ile nie zostaną przez nią wchłonięte, obalają w końcu zeskorupiałą kastę. Gdyby zdolności były dziedziczne, to nigdy nie pojawiłyby się one poza elitą.

Wróćmy jednak do Millów. Otóż, Jakób Mill przeprowadził na swym synu następujący eksperyment. Gdy Jan S. miał sześć miesięcy, ojciec czytał mu przez kilkanaście wieczorów sześć losowo wybranych z dwunastu sonetów po grecku. Gdy potem Jan S. miał sześć lat kazał mu się nauczyć wszystkich dwunastu. Otóż te sześć, czytanych w niemowlęctwie, było opanowywane znacznie szybciej i z mniejszą liczbą błędów.

Dlatego nie należy się łudzić, że powtarzanie czegokolwiek przy dziecku ujdzie bezkarnie. Co więcej: tyczy to również ostatnich miesięcy ciąży. Pogłoski o możliwości „zapatrzenia się” kobiety na coś brzydkiego, co potem powoduje defekty noworodka, są zapewne przesadą, ale „zasłuchanie się” jest całkiem realne.

służba

Tym, co zasadniczo różni współczesny dom od klasycznego, znanego z Prusa, Orzeszkowej i innych autorów – to brak służby.

Efekt jest dość paradoksalny. Otóż, wychowywane bez służby dzieci są później... niegrzeczne w stosunku do swych podwładnych.

Sztuka wydawania poleceń nie jest może wrodzona, ale jest wyuczona we wczesnym dzieciństwie. Dziecko słysząc, jak matka lub ojciec wydawali polecenia służbie, uczyło się wydawać je tonem grzecznym, a jednocześnie naturalnym i stanowczym, dającym do zrozumienia, że nie jest to zachcianka, ale polecenie.

Brak tych doświadczeń z dzieciństwa powoduje, że późniejsi kierownicy, dyrektorzy, a choćby i przełożone pielęgniarek albo są niepewne swej pozycji i nie potrafią wydać rozkazu w sposób dostatecznie przekonywający, albo też, dla pokonania tej bariery, krzyczą, walą pięściami lub zachowują się ordynarnie. Cierpią na tym obydwie strony.

Pewnym *remedium* na to – bo znalezienie służącej jest trudne i na ogół poza możliwościami finansowymi Polaka – bywa trzymanie w domu psa (*vide* PIES). Powoduje ono też obciążenie, ale dziecko słysząc, jakie są skutki wydania spokojnego polecenia, a jakie – nerwowego pokrzykiwanie na zwierzę, zaczyna uczyć się panować nad sobą i swoim głosem (*vide* ROZKAZ i IMITACJA). Oczywiście, najważniejsze jest, jak wydaje Pan polecenia dziecku, ale trening na zwierzęciu jest również bardzo istotny.

Dlatego siedmioletni chłopiec powinien chyba mieć już psa, który będzie mu służył do czasu dojrzałości.

Reszty dokona służba w wojsku, która jednak wiele uczy. Otarcie się przez kilka miesięcy o wojsko jest dla młodzieńca bardzo korzystne.



specjalizacja

Niech Pan wyobrazi sobie, że jest Pan kierownikiem klubu sportowego. Przychodzi do Pana jeden konus i chuderlak, a jeden – chłop na schwał.

Czy powie im Pan: „Ty chuderlaku, dla wyrównania szans powinieneś zacząć ćwiczyć rzut kulą, a ty, kochany, pojeżdż trochę na koniach, to schudniesz...”

Jasne jest chyba, że Pański klub długo by nie pociągnął.

Nie pociągnie też długo żadne społeczeństwo, które – zamiast wydobywać ze swych członków co tylko mają najlepszego – będzie edukację opierało na zasadzie „wyrównywania szans”.

Szlachetna ta zasada polegała na tym, że jeśli dziecko miało zdolności do rysunków – to za karę posyłało się je na wyrównawczy kurs matematyki i, oczywiście, odwrotnie.

Obecnie od tej zasady się odchodzi. Powstały nawet licea o różnych profilach. Niestety, na poziomie szkoły podstawowej i przedszkola działa ona w dalszym ciągu. Co gorsza, zakotwiczona jest w głowach rodziców.

W myśli tej zasady dofinansowuje się olimpiady dla inwalidów, a sportowcom z AWF wciska na siłę filozofię Kirkegaarda. W myśl tej zasady ojciec posyła dziecko myślące na siłę do dyskoteki, a rozbalowaną dzierlatkę zasadza również na siłę do podręcznika fizyki.

Co prawda, wobec formalnych wymagań niewiele może zrobić.

Ciekawe, co by wyrosło z Roberta Fischera, gdyby zamiast rzucenia szkoły w wieku 11 lat i całkowitego poświęcenia się szachom, ukończył, jak Pan Bóg

przykazał, szkołę, college i przyzwoity uniwersytet?

Wyrósłby zapewne przeciętny i rozgoryczony życiem inteligent.

Właściwym podejściem do zagadnienia jest więc pozwolenie dziecku na wyżycie się w kierunku, w którym przejawia zamiłowanie. Nawet, gdyby musiał Pan ociupinkę narazić się edukacjonistom z Ministerstwa Edukacji Narodowej.

W szczególności groźna jest zdecydowana próba unifikacji płci. Fizyczne i psychiczne różnice między płciami są dostatecznie wyraźne, byśmy musieli się nad nimi zastanawiać. Ani w sportach fizycznych, ani umysłowych kobiety nie dorównują mężczyznom. Słynna Nona Gaprindaszwili, wielokrotna mistrzyni świata w szachach, jeździła po specjalnie dobranych turniejach, by zdobyć tytuł męskiego arcymistrza (jest ich chyba ze dwie setki) i nie udało **jej** się to **chyba...** i Teraz jedna z sióstr Polgar awansowała **na sześćdziesiąte trzecie** miejsce).

Badania psychologów (i psycholożek) ustaliły ponad wszelką wątpliwość, że kobiety górują nad nami pamięcią i kilkoma innymi cechami, mają natomiast zdecydowanie gorszą orientację przestrzenną, zdolność pojmowania abstrakcji i jeszcze kilka cech.

Kobiety nie są przy tym gorsze – są inne. I – jeśli chcemy, by nasze społeczeństwo było konkurencyjne – musimy tę inność podkreślać, a nie tuszować.

Musimy iść na specjalizację.

Trzeba przy tym pamiętać, że ogromna większość kobiet i mężczyzn żyć będzie w parach. Nie można więc wyrabianych cech związanych z płcią dobierać nazbyt dowolnie, wówczas bowiem skądinąd znakomicie dobrana para umiałaby sprawnie operować młotkiem, a żadne z dwojga nie umiałoby szyć. By zapewnić możliwie szeroki dobór par zajęcia dla obydwu płci zostały nieco zestandaryzowane.

Jednocześnie – jak należy przypuszczać – przez tysiąclecia trwał proces doboru naturalnego. Ci mężczyźni i te kobiety, które odpowiadały pożądanemu typowi, były częściej wybierane na mężów i żony – i bardziej się rozmnażały. Stąd za ową różnorodność miliony mężczyzn i kobiet zapłaciły samotnością i bezdzietnością. Kosztem ich cierpienia poszczególne narody wzniosły się na wyższy poziom specjalizacji.

Teraz grono fanatyków równouprawnienia chce to wszystko zniszczyć, a przy okazji kolejnymi łzami mają płacić miliony mężczyzn i kobiet przystosowanych do swej tradycyjnej roli i nie chcących się ujednolicić.

A niedoczekanie!

Moda ta na szczęście już mija i coraz częściej słyszy się nawoływania o powrót do dawnych dobrych czasów. Jednak Polska jest nieco spóźniona i kiedy sławetny dr Spock właśnie odszczekał (częściowo) teorie ze swojej postępowej książki – na której (niestety) wychowały się miliony amerykańskich dzieci – to w Polsce ją akurat wydano. I została, oczywiście, rozchwyтана.

Zastanówmy się przez chwilę – jak najogólniej wygląda specjalizacja ról.

Otóż, tradycyjnie mężczyznom przypadły prace wymagające szczególnego wysiłku umysłowego i fizycznego, kobietom natomiast – prace powtarzające się, wymagające cierpliwości (choć i tu rekordy biją mężczyźni: słyszał kto o kobiecie, która budowała okręt z zapalek w butelce??).

Nie jest to przypadek. Jest to zgodne ze wspomnianą już, a ustaloną przez psychologów, różnicą w ukształtowaniu zdolności.

Tę różnicę można, poprzez wychowanie, w dużym stopniu zatrzeć, ale można też pogłębić. Obowiązkiem Pana, jako ojca, obowiązkiem wobec syna, córki – a także i cywilizacji – jest iść w kierunku różnic tych pogłębiania.

Warto też zauważyć, że pary oparte o różnice zainteresowań są szczęśliwsze i trwalsze. Mężczyzna interesuje się kobietą (i odwrotnie), dlatego że jest inna niż on. Jest to chyba oczywiste. Ale dochodzą i względy materialne. Możemy się do tego nie przyznawać, ale reguła „byt kształtuje podświadomość” na ogół działa całkiem sprawnie. Bardzo wiele małżeństw przetrwało groźne kryzysy, gdyż ona i on czuli podświadomie, że na rozejściu się tracą. Nie piszę o tych, co zdawali sobie z tego sprawę zupełnie świadomie (nie są to rzadkie przypadki), ale sporo osób nie dopuszcza nawet myśli, by ich sprawy uczuciowe mogły być regulowane przez względy materialne. Podświadomość odgrywa jednak w tzw. intuicyjnych decyzjach bardzo istotną rolę.

Dlatego też małżeństwo, w którym ona nie umie przybić gwoźdźca, naprawić żelazka i prowadzić samochodu – a on nie umie sobie nic przyszyć ani nawet kupić koszuli – są znacznie trwalsze niż związki „równoprawnych partnerów”. Jako zwolennik niemodnego dziś Darwina raz jeszcze odwołam się do teorii ewolucji: gdyby było inaczej, wyścig cywilizacyjny wygrałyby społeczeństwa „równoprawnych partnerów”. Tymczasem jest dokładnie odwrotnie, społeczeństwa przodujące cywilizacyjnie rozwinęły skomplikowane rytuały oddzielające prace męskie od kobiecych.

Tu uwaga. Nie we wszystkich społeczeństwach są to te same prace. Istnieją dwa plemiona, gdzie mężczyźni niańczą dzieci i miejscowe feministki domagają się prawa matki do zajmowania się niemowlętami! Ważne jednak jest nie to,

jakie czynności są męskie, a jakie kobiece, tylko że taki podział w ogóle istnieje.

Zwracam przy tym uwagę, że twierdzenie, iż wszędzie mężczyźni zawarowali dla siebie lepsze prace i nie dopuszczają do nich kobiet, to fałsz. Jest dokładnie odwrotnie: „lepsze” prace – to te, które wykonują mężczyźni.

Gdyby dziś w Polsce mężczyźni zajęli się wyłącznie wywożeniem śmieci, czyszczeniem kanałów miejskich i opróżnianiem szamba, to nie minęłoby i pięćset lat, a te czynności stałyby się najbardziej prestiżowe i kobiety zaczęłyby się domagać dopuszczenia do nich na równych prawach. Oczywiście – te głupie kobiety, które dziś zwą się „feministkami”.

Jeśli nie wierzy mi Pan, to proszę popatrzeć, jak stracił na prestiżu zawód lekarza, odkąd został sfeminizowany.

Dodam, że w małżeństwie chodzi o pewien podziw i szacunek. Mąż podziwia żonę, umiejacą zrobić sos pomidorowy, tylko dlatego że nie ma pojęcia, jakie to w gruncie rzeczy proste. Sherlock Holmes zawsze tłumaczył doktorowi Watsonowi, że nie należy wyjaśniać swych metod, bo wyjawienie ich prostoty obdziera mistrza z nimbu. A przecież dobrze chyba, gdy żona podziwia Pana zręczność w przybijaniu gwoździ, a Pan – jej zdolności do robienia sufletów.

Ci, którzy pragną zrównać prawa i obowiązki obydwu płci, nie są – wbrew swym pretensjom – postępowcami, lecz ludźmi pragnącymi odrzucić tysiąclecia mozolnego rozwoju kultury i sprowadzić ludzkość do poziomu prymitywu, gdzie każde sobie na własną rękę wygrzebuje z ziemi korzonki i zrywa jagódki.

Jest najzupełniej oczywiste, że społeczeństwo wyspecjalizowane wygra ze społeczeństwem homogenicznym dokładnie tak samo, jak fabryka z wyspecjalizowanymi fachowcami wygra z taką, gdzie dyrektor pracuje przy tokarce, sprząta i handluje, kwalifikowany frezer pierze brudne fartuchy itd. Społeczeństwo zunifikowane może istnieć tylko wówczas, gdy nie ma żadnych zagrożeń. Gdy było ciepło, korzonków pod dostatkiem, a drapieżniki nie umiały łązić po drzewach – taki model mógł być zupełnie wystarczający. Podobnie w wyniku rozkwitu XIX-wiecznego kapitalizmu nasza cywilizacja weszła na takie wyżyny, że wydawałoby się, nic jej zagrozić nie zdoła. Można więc było pozwolić sobie na najrozmaitsze eksperymenty społeczne, nawet na równouprawnienie kobiet.

Niestety, rzut oka na obecny stan naszej cywilizacji oraz rozwój jej konkurentek dobitnie pokazuje, że nie ma takiego dobrobytu materialnego, którego nie można by zaprzepaścić wskutek złej organizacji społeczeństwa. I

za to płacimy.

Pan jest też za właściwy model społeczeństwa odpowiedzialny – na swoim odcinku.

Polska oczekuje, że każdy wypełni swój obowiązek – jakby powiedział admirał Nelson.

szczęście

Niektórzy ludzie mają w życiu fart. Nie raz, nie dwa, a nieustannie ściga ich fart.

Zazdrości im Pan? Zdradzę Panu tajemnicę: w ogromnej większości to nie jest fart, tylko umiejętności.

Dobry piłkarz nie musi na boisku pracować ani biegać. On po prostu przewiduje, gdzie najprawdopodobniej polecą piłka i od razu tam się ustawia. Potem mówią: „Szczęściarz”.

To samo i w życiu. Trzeba umieć mieć szczęście. A jeśli już trafi się nieoczekiwany uśmiech Fortuny, to trzeba umieć wyciągnąć zeń maksimum korzyści. Jak człowiek nie umie, to z passy wyciąga tysiące (i ucieka w krzaki, by ich nie stracić). Potem przychodzi, jak na każdego, depassa i traci setki tysięcy. A na passie mógł zarobić miliony. Przy rozsądnych szansach trzeba umieć ryzykować.

Ogólna rada w życiu: należy unikać ludzi, którym się nie powodzi – a trzymać się tych, którzy mają fart.

Owa umiejętność nastawiania żagli na pomyślny wiatr bywa czasem podświadoma. Ów piłkarz często też nie myśli, mówi się, że ma „instynkt piłkarski”. Podobnie istnieje „instynkt życia”. Wymaga to czasami uśmiechnięcia się odrobinę szerzej. Czasami odmowy zrobienia czegoś, co wzbudzi szacunek ogółu lub klienta. Czasem odwrotnie: wykonania czegoś, co pozornie jest poniżające. Najczęściej jest to po prostu umiejętność dostrzegania sygnałów o pomyślnych okolicznościach.

Przebywając ze „szczęściarzami” ma Pan szansę odruchowo poduczyć się ich technik. „Z kim przestajesz – takim się stajesz”. Przebywając z takimi, którym się nigdy nic nie udaje, nasiąkłby Pan tą atmosferą i przystępowałby do gry z nastawieniem, że się nie uda. A to powoduje, że działa Pan bez wiary. Wiara czyni cuda...

Poza tym musi Pan pamiętać, że społeczeństwo nie lubi pracusiów. Czy w szkole lubił Pan kujonów? Właśnie.

Dlatego człowiek mający „fart” pracuje zazwyczaj tak samo ciężko jak inni, ale on to starannie ukrywa!

Czy na jakimkolwiek filmie kowbojskim widział Pan rewolwerowca ćwiczącego tygodniami, aby oddać ten jedyny strzał? Czy w TV ogląda Pan biegaczy jak pokonują tysiące kilometrów, by potem z lekkością motylka przebiec 200 metrów? Nie! Nikt tego nie lubi. Gdyby lubił, to komercyjna telewizja nie

pokazywałyby zawodów sportowych, tylko treningi.

Dlatego również Pan powinien ukrywać źródła swych sukcesów. Pracuje Pan w czterech ścianach i po nocach, a dla ludzi powinien Pan udawać, że całymi dniami baluje z panienkami i popija kawior szampanem.

To samo dotyczy ubioru. Pan i rodzina mogą nie dojadać, ale musi Pan być ubrany elegancko i z fantazją. Jeśli wychodzi Pan z żoną, to – żona też. (Nasi rodacy mają okropny zwyczaj ubierania dzieci jak laleczki, a samemu chodzenia jak dziady; to idioci i z takimi nie ma się co zadawać).

Zdradzę wreszcie jeszcze jedną tajemnicę. Ci, co mają szczęście, mają go tylko trochę więcej, ale oni o swoich niepowodzeniach nikomu nie mówią. A jeśli mówią, to tylko po to, by pokazać, że ich to nic nie obchodzi.

W Polsce facet zapytany, jak leci, odpowiada: „Oj, ciężko, żona chora, pieniędzy nie ma, a w pracy mają do rane pretensje”. Gdy trafi się Panu takie pytanie – a żona chora, pieniędzy brak, z pracy jutro Pana wywalą – to trzeba odpowiadać dziarsko: „Dziękuję, wspaniale – a Tobie?”. Na ewentualną prośbę o pożyczkę odpowiada się, że przed godziną akurat pożyczył Pan pół miliona Bolkowi (nie zna Pan żadnego Bolka – to tym lepiej! Po co Panu znajomi, którym trzeba pożyczać pieniądze??!), ale za tydzień wpadnie Panu grubszy grosz. Uwaga: musi Pan podać taki termin, kiedy nie będzie Pana w domu, bo inaczej za tydzień zadzwoni!

Korzyść z demonstrowania fartu jest taka, że inni ludzie mający fart skłonni są patrzeć na Pana życzliwie. Natomiast nikt nie pomoże nieudacznikowi.

Po co? By zmarnował te pieniądze?

Jeśli więc stwierdzi Pan melancholijnie, że ludzie dzielą się na tych, co mają w życiu wiecznie szczęście, i tych, co mają pecha – to proszę sobie przypomnieć, że tylko od Pana zależy, do których Pan się będzie zaliczał.

W gruncie rzeczy wydaje mi się, że ludzie zazwyczaj dostają od życia to, czego odeń chcą. Są tacy, którzy po prostu uwielbiają narzekać i zazdrościć innym.

Byłoby dla nich krzywdą utrata powodów do narzekania, nieprawdaż? Co by w życiu robili?

Powiem Panu: czym prędzej postaraliby się pieniądze stracić, by móc znów narzekać na pech.

I dlatego trzymaj się Pan od nich z dala – jak od morowej zarazy. Kogo w balladzie Bułata Okudżawy skierował Król na lukratywne stanowiska w

intendenturze: wesołych żołnierzy.

Buźka! Mam też zaszczyt poinformować, że dzięki znakomitym przepisom finansowym dostanę za tę książkę ogromne honorarium, które już z góry niesłychanie korzystnie zainwestowałem. Może Pan chce wejść do tego interesu z grubszą gotówką?

szkoła i klasa

Czy chce Pan, czy nie, dziecko do szkoły chodzić musi. I to zazwyczaj do tej konkretnej szkoły. Czasem jednak warto przeprowadzić się, by dziecko chodziło do szkoły lepszej.

Pan nie ma na szkołę większego wpływu. Szkoła jest instytucją absurdalną, gdyż Ministerstwo Edukacji Narodowej reprezentuje zarówno pracodawców, tj. rodziców, jak i pracobiorców, tj. nauczycieli, którzy są jego funkcjonariuszami.

Dzieci na ogół nie lubią szkoły. Trudno się temu dziwić. Kto chciałby być wydziedziczony? Jeszcze w latach sześćdziesiątych dzieci miały w szkole klasę, do której przychodził płatny pedagog, obecnie to pedagog ma pracownię, a bezdomne dzieci koczują na tornistrach po korytarzach.

Słyszałem, że ze szkołami mają coś wspólnego pedagodzy. Czy nie mógłby Pan spytać ich, co o tym sądzą?

Musi Pan jednak robić dobrą minę do złej gry. Jaka jest szkoła – taka jest; gdy nie można pozbyć się pluskiew, trzeba je polubić. Jacy są nauczyciele – tacy są, jednak żonę mogę przy dzieciach skrytykować, a nauczycielkę – nie! Ma ona obecnie tak słaby autorytet, że podrywanie go jest istną zbrodnią. Trzeba zacisnąć zęby i liczyć na poprawę. A poza tym wyrzekanie na poziom zawodu wcale nie poprawia poziomu kandydatów do niego!

Obecnie wielu rodziców, przerażonych zubożeniem wobec szkoły, próbuje zachęcać do nauki systemem premii finansowych. Uważam – choć znany jestem jako zwolennik bodźców ekonomicznych – że to droga niewłaściwa. Mimo wszystko wiedza powinna być upragniona dla samej siebie, a nie dla pieniędzy! Jest to typowe zabijanie celów strategicznych dla uzyskania korzyści taktycznych.

A może z góry zakłada Pan, że syn uczy się dla celów czysto praktycznych i ambicje naukowe można w zarodku zabić bez szkody.

Ja osobiście zalecam raczej jakiś wariant metody osła za ogon ciągnionego (*vide* OGON OSŁA). Trzeba tylko wypatrzyć moment, kiedy dziecko jest przeciwko Panu zbuntowane. Może weźmie się na ambit? Wówczas odpowiednie wzmocnienie „przypadkową” nagrodą – i może zaskoczy.

A tak w ogóle – to liczę na radykalną reformę szkolnictwa. Bez tego – szkoda Pańskiego czasu, a mojej maszyny na ten rozdział.

talent (rozwijanie)

Rozwijanie talentu zacząć należy od lat najwcześniejszych. Czterolatek do niektórych dziedzin, np. muzyki, może już być za stary!

To paradoks, że wolno w Polsce rozwijać talenty w dziedzinach mało ostatecznie istotnych. Wolno genialnemu siedmiolatkowi napisać powieść, dać recital skrzypcowy, a nawet wystąpić na Olimpiadzie jako sternik osady wiosłowej.

Nie wolno mu natomiast pracować. Tymczasem (*vide* PRACA) najwięcej fachów wiąże się z pracą nie artystyczną. W „Wykazie zawodów” zawody artystyczne i podobne stanowią ok. 1%, wśród wytaczarzy kamieni młyńskich, przerzynaczy na zimno itp. specjalistów. Z tego zaś wynika, że talent artystyczny być może uda się rozwinąć, ale artysta-giser przypuszczalnie pójdzie do zawodu, gdy będzie już za stary, by wydobyć z siebie całą maestrię.

Pytamy, skąd w dawnych wiekach tylu mistrzów rękodzieła? Stąd, że zaczynali wcześniej, kiedy mieli umysły żywe i młode, a nie pozwalano im wpaść w rutynę (np. terminator mógł pracować tylko przez pewien czas i tylko nad pewnymi fragmentami).

Pomówmy jednak o talentach w dziedzinach dla nich otwartych. Decyzja rozwijania takiego talentu jest bardzo odpowiedzialna. Ja np. – choć trenerzy za mną chodzili – nie pozwoliłem siedmioletniego chłopca oddać do szkoły pływackiej. Ale do tenisowej chyba bym oddał.

Dla społeczeństwa takie kształcenie talentów jest bardzo korzystne (pomińmy tu, że są to dziedziny gospodarczo bezużyteczne) – natomiast dla Pana dziecka?

Dla dziecka jest to duże ryzyko. Jeżeli wypali, jeśli talent się potwierdzi, nie zdarzy się wypadek, to... na dwoje babka wróżyła: albo będzie swym życiem usatysfakcjonowane, albo nie będzie. Jeśli zaś coś nie wypali, to będzie miało prawie na pewno pretensję.

Decyzja należy do Pana. Jest to niemal jedyne pole, gdzie może Pan taką decyzję podjąć. I musi ją Pan podjąć sam.

W niektórych dziedzinach możliwe jest wycofanie się po roku lub dwóch bez większych strat. Wówczas odpowiedzialność jest mniejsza. I wówczas warto chyba zaryzykować.

temperatura

W zasadzie do ubierania dziecka nie powinien się Pan wtrącać. W żadnym już przypadku w jego wygląd i kolorystykę!

Niestety, Leopold Tyrmand twierdził – i miał rację – że Polska jest krajem przegrzanych bachorów oraz ludzi z tekturowymi walizkami na przystankach PKS. Z tekturowych walizek nieco wyrośliśmy, ale z przegrzewania dzieci – nie! Niektóre kobiety (*vide* CZYM SKORUPKA...) po prostu nie są w stanie powstrzymać się przed ubraniem malca jak uczestnika wyprawy na Mount Everest.

W tym celu najlepiej dawać przykład. Trzeba samemu co jakiś czas zabierać dziecko na spacer. By zorientować się, jak je ubrać, należy trzymać się reguły: „Tak jak siebie – tylko nieco lżej!”.

Trzeba pamiętać, że dziecko musi dotrzymywać Panu kroku, co wymaga o wiele większego wysiłku. Nawet, gdy Pan stoi w miejscu – dziecko biega, dziecko skacze. Dlatego musi być ubrane lżej.

Jeśli jednak matka ubierała je trzy razy za grubo, to do właściwej liczby warstw odzieży dochodzić należy stopniowo.

Musi się Pan przy tym liczyć, że Pańskie wysiłki będą sabotowane. Często podświadomie powiedział Pan „lżej”. Przecież ona założyła cztery swetry (a mogła pięć!). Jest „lżej”? Jest! Porażkę na tym polu trzeba przyjąć filozoficznie. Ostatecznie dzieci trzeba hartować... ... a kto powiedział, że trzeba je hartować na Syberię, a nie na Gwineę Równikową???!!!!?

Podobnie z dojrzewaniem. W naszej cywilizacji młodzież dojrzewa coraz wcześniej. Rozmaici socjologowie dorabiają do tego rozmaite teorie – podczas gdy najprawdopodobniej sprawa jest dość prosta:

Gdzie ludzie dojrzewają wcześniej: we Włoszech czy w Skandynawii?

Odpowiedź – przynajmniej do niedawna – była jasna: we Włoszech.

Podobnie jak roślina żyjąca w cieple dojrzewa wcześniej od rośliny rosnącej w klimacie chłodnym – podobnie i młodzież rozwija się wolniej lub szybciej w zależności od temperatury.

No, a tania energia spowodowała, że nasze domy są coraz bardziej ogrzane. Przed trzystu laty w mieszkaniach panowało z reguły 13–15° Celsjusza (o ile tak można powiedzieć, bo Celsjusz jeszcze się nie narodził), teraz w Europie zazwyczaj jest 20–21, zaś w USA 21–23° C.

Ponieważ zaś współczesny człowiek większość życia spędza w swym środowisku naturalnym, tj. w pomieszczeniach zamkniętych – przeto wnioski są jasne.

Potwierdzeniem tej hipotezy byłoby np. stwierdzenie, iż w Skandynawii

przyspieszenie dojrzewania jest względnie najwyższe. Zauważyłem. A mój siostrzeniec hodowany przez mamę siostrę w ciepłych betach dojrzał o wiele szybciej od moich synów – czego, rzecz jasna, nie można uogólniać zbyt pochopnie...

W wielu przypadkach (*vide* EDYP) dorabia się skomplikowane teorie do zjawisk czysto fizjologicznych. Tam chodziło o zapach dojrzałego samca.



teorie wychowawcze

Istnieje wiele teorii i – wiele praktyk. Chwała za to Bogu (*vide* RÓŻNORODNOŚĆ). Ogólna reguła brzmi: czym nowsza, tym głupsza, co nie znaczy, że dawniej nie pisano piramidalnych nonsensów. Obecne jednak zazwyczaj powołują się na naukę, a ludziska starają się z półwiecznym opóźnieniem wierzyć naukowcom i nie zdają sobie sprawy, że mają do czynienia z ćwierćinteligentnym komentarzem do dyletanckich omówień.

By nie być gołosłownym – ktoś tam (*nomen sint odiosum*) wykrył, że dzieci z rodzin rządzonych silną ręką ojca nie lubią tego patriarchalnego sposobu wychowania, z czego wyciągnięto wniosek (to już komentatorzy): jest to sposób niewłaściwy. Było badanie? Było. Był naukowiec? Był. Jest wniosek? Jest. A sens jest? Nie ma...

Po pierwsze (to do naukowca) było to badanie ankietowe, wiadomo zaś, że w najbardziej nawet anonimowej ankiecie odpowiedzi „Tak” na pytanie: „Czy sprawia Ci przyjemność gwałcenie i rabowanie?” udzielają raczej spokojni biuraliści niż rabusie i gwałciciele. Ogólniej: ludzie piszą to, co uważają, że powinno się napisać (częściej) lub z przekory (rzadziej) odwrotnie – często to, co myślą, że czują (mało kto przyzna się przed sobą), a prawie nigdy prawdę (choć, jak wynika z poprzedniej frazy, przekonani są często, że ją piszą). Tak więc, ankietę udziela pewnej informacji, ale nie o tym, co ludzie robią i jacy są, tylko o tym, jakie poglądy są w ich otoczeniu uważane za słuszne. Znane są przypadki takiego sterroryzowania przez opinię, że kobieta (istota na wpływy podatna) ma kompleksy, bo chciałaby posprzątać w

domu i upichcić coś, ale wmówiono w nią, iż są to zajęcia dla nienowoczesnej kobiety...

Po drugie (to już do komentatora) wartość nawet najbardziej szczerych i prawdziwych wypowiedzi jest znikoma bez informacji, kim byli ankietowani. Można bowiem argumentować tak: jeśli są to jednostki stojące moralnie nisko, to ich opinią możemy się nie przejmować; jeśli zaś są to kryształowe charaktery, to powiemy: „Jakie jednak wspaniałe rezultaty daje patriarchalny system wychowania”. Wspaniały przykład antykazuistyki, nieprawdaż?

Po trzecie. Bezsens wniosku najłatwiej sobie jednak uprzytomnić, gdy wyobrazi Pan sobie np. ankietę wśród podwładnych apodyktycznego szefa. Czego nie lubią (zakładając, że piszą szczerze)? Jasne – apodyktyczności. A wśród podwładnych szefa nad-przeciętnie pobłażliwego? Właśnie – jego miękkości.

Choćby w ankietę tę włożono miliony, przebadano tysiące osób, wyprowadzono chi kwadrat i ksi sześcian, a procenty policzono na najszybszym komputerze świata – każdy z tych trzech metodologicznych zarzutów obala zasadność wniosku.

Proszę mi wybaczyć, że tak szczegółowo omawiam jeden drobny przykład, ale chciałem uzbroić Pana w niewiarę wobec steku bzdur sprzedawanych pod firmą „podejście riaukowe”... Zdradzę Panu pewną tajemnicę. W jednej z prac bronionych w PAN, doktorant zauważył, że więcej przestępstw popełniają chorzy niż zdrowi, bez wykształcenia niż wykształceni i niepracujący niż pracujący. Sam kandydat na naukowca tym razem umieścił więc wniosek, że ludzi należy przymusowo zatrudniać, kształcić i leczyć. Ciekawe *nota bene* co by zalecił, gdyby wyszło mu, że więcej kradną biedni niż bogaci...Promotorem tej pracy był... pomnę nazwisko, bo wstyd, ale Największy wówczas Prominent polskiej socjologii.

Mówiąc nawiasem, prawdziwa jest zależność: im więcej wozów straży jedzie do pożaru, tym większe straty (bo do większego ognia wyjeżdża więcej aut). Równie zasadnym, co w wymienionej pracy, wnioskiem byłby postulat wysyłania do pożaru jak najmniej aut strażackich!!!

Są, oczywiście, i dziś uczeni prowadzący porządne badania, ale o tym dowiemy się, jak zawsze, z półwiecznym opóźnieniem, kiedy będzie się czciło ich jubileusze. Normalna sprawa.

Tak więc, póki co proponuję, owszem, czytać – ale krytycznie (dotyczy to i tej książki, a jakże). Najlepsza rada, to pewne minimum wiedzy o psychice (czytać książki poważne, brane z bibliotek naukowych, a nie tanie

opracowania) plus dużo uczucia ze strony matki i własnego rozumu ze strony ojca.

Niech Pan pamięta o jednym. Jeśli nowa teoria wychowania, stawiająca sprawy na głowie, jest słuszna, prawdziwa i genialna, to jej twórca został – z doskonałym, jak widać, efektem – wychowany bez niej...

testament

Odpowiedzialny ojciec pisze testament.

Jeśli, oczywiście, jest po nim co dziedziczyć.

Sprawy majątkowe są dziś z jednej strony lekceważone i uproszczone. Jeśli jednak do podziału majątku dojdzie – zazwyczaj świadkowie zeznają nie tak, jak jest, lecz tak, jak być powinno (jeśli sprawa jest uzgodniona) – o czym sądy znakomicie wiedzą, ale się nie wtrącają. Gorzej, gdy spadkobiercy nie potrafią uzgodnić stanowiska słusznego i sprawiedliwego. Ponieważ poczucie słuszności często kłóci się z literą prawa, powstają przykre sytuacje, gdy np. osoba odwołująca się do sądu – gdyż dostała (jak sądzi) za mało – dostaje jeszcze mniej.

Do powstania chorobliwych sytuacji przyczyniał się do tej pory podatek spadkowy. Obecnie został on, chwała Bogu, znacznie zmniejszony, co powinno przyczynić się do uzdrowienia sytuacji. Z tym że należy go całkiem znieść.

Z drugiej strony, przypominam, ostatnio dziedziczeniu podlegają prawa polegające na zawłaszczeniu kawałka Polski. Sąd Najwyższy uznał realia i obecnie dziedziczy się np.: ekspektatywę na mieszkanie. I słusznie! Mógł człowiek włożyć milion w biznes, który dałby milionów dwadzieścia. Zamiast tego włożył na książeczkę z gwarantowanym wkładem licząc, że dostanie za to mieszkanie warte 20 milionów. Jeśli umrze – to dzieciom sprawiedliwie należy się nie zwrot miliona z procentami, lecz szansa na te 20 milionów. Sam system jest pasożytniczy, ale to nie zmienia faktu, że indywidualne rozstrzygnięcia powinny być sprawiedliwe.

By więc uniknąć zbędnych sporów między rodziną, niech fan napisze testament! Byle był on jednoznaczny – nie musi Pan iść do adwokata. Musi jednak być napisany własnoręcznie (nie na maszynie!), opatrzony podpisem i datą. W przypadkach bardziej skomplikowanych – lepiej skorzystać z porady prawnika.

Jest chyba oczywiste, że testament powinien być przechowywany u tego spadkobiercy, który na nim zyskuje, a nie u tego, który by dostał więcej, gdyby podział następował *ex lege*?

Ludzie dziś nie zwykli pisać testamentów, gdyż w naszym społeczeństwie panuje pewne tabu: nie mówi się o śmierci. Kiedyś śmierć była uważana za pewien przystanek między życiem doczesnym a wiecznym i rozmawiało się o niej spokojnie. Dziś wiele osób deklarujących się jako głęboko wierzące w gruncie

rzeczy widzi w śmierci kres Wszystkiego. W związku z tym ten przykry temat stara się usunąć z myśli.

Odpowiedzialny ojciec bierze jednak wszystko pod uwagę. Majątek – jeśli go Pan ma – powinien znaleźć się w najwłaściwszych rękach i to podzielony tak, by wywołało to możliwie najmniej sporów. Pan jest odpowiedzialny za zgodę w rodzinie, również po Swojej śmierci. Najbardziej zgodną rodzinę można zaś skłócić brakiem jasno sprecyzowanej ostatniej woli.

Wypadki nie chodzą dziś po ludziach. Wypadki jeżdżą. A w dodatku czas życia mężczyzn skraca się coraz bardziej.

Niech Pan napisze testament...

tetyda

Bogini grecka, która ostrzegła Achillesa, by nie wyskakiwał na ląd jako pierwszy. Gdy pisałem o zasadach (*vide* ZASADY), miałem na myśli takie, których przestrzeganie daje pewne korzyści. Przez zasady etyczne rozumie się obowiązujące wśród ludzi zasady, których treść jest obojętna. Ważne jest ich istnienie.

Zasada: „nie zabijaj” jest etyczna. Zasada: „rób porządek” – praktyczna. Ale zasada: „przez drzwi najpierw przechodzi starszy”? To właśnie zasada tetyczna. Jest najzupełniej obojętne, czy przyjmujemy, że pierwszy przechodzi starszy, czy młodszy – ważne jest, by jakąś zasadę mieć i nie zderzać się głowami w drzwiach!”

Niektóre zasady tetyczne są częściowo uzasadnione etycznie lub względami praktycznymi. Na przykład, reguła, że pierwsza kłania się osoba młodsza, nie jest uzasadniona szacunkiem (gdyby panowała odwrotna, powiedzielibyśmy, że powstrzymanie się od ukłonu jest wyrazem szacunku!), ale uzasadniona sklerozą starszych, którzy w dodatku więcej osób muszą pamiętać. Najczęściej jednak te uzasadnienia są dość mało przekonujące, a zasada obowiązuje, bo tak się przyjęło. Kobieta chodzi w różnych krajach świata po stronie lewej, prawej, z tyłu i z przodu mężczyzny (w Libii po wojnie nastąpiła rewolucja obyczajowa: zamiast wlec się za Panem i Władcą kroczy dumnie z przodu; z uwagi na miny ponemieckie), a brytyjski gentleman idzie od strony jezdni. Wszystko może być uważane za wyraz szacunku lub przeciwnie. Ważne, że jest to ustalone.

Dlatego osobiście wolę, gdy dzieci buntują się przeciwko zasadzie: „nie kradnij” niż przeciwko zasadzie tetycznej. Ten drugi bunt niszczy społeczeństwo najgłębiej, bo w codziennych drobnostkach. Jest zupełnie bezmyślny, jak każdy bunt dla zasady – a na domiar złego nie ma jak kontrargumentować!

Jeśli młodzi uprą się, by kobieta chodziła z lewej, by dziewczęta prosiły chłopców do tańca, to trudno wytłumaczyć „gorszość” takiej zasady, zwłaszcza wobec utrzymującego się postępowego przekonania, że co nowe, to lepsze. Bez wrodzonej szczypty konserwatyzmu tego się nie wytłumaczy!

Jeszcze gorzej, gdy młodzież odrzuca samą zasadę. Wówczas każda grupka na ulicy musi poświęcać czas i wysiłek na ustawienie się. Jak policzyć ten czas i wysiłek milionów ludzi po kilka razy dziennie, to wyjdzie, że można by za to postawić kilka Hut Katowice.

Tak!

Tylko tego się na co dzień nie widzi.

Odziedziczone zasady są wkładem naszych przodków w organizację społeczeństwa. Tego nie wolno bezmyślnie niszczyć. To odziedziczył Pan po rodzicach i – powinien *przekazać* dzieciom!

Dodajmy, że rezygnacja z tej zasady pozornie zwiększa różnorodność. Tylko pozornie! Gdy każdy chodzi jak chce, powstaje nie różnorodność, a jednolity chaos.

Skąd wniosek, że tak pożądana różnorodność jest tworem subiektywnym. Jest ona funkcją jakiegoś wprowadzonego przez nas uporządkowania i istnieje tylko względem niego.

Dbajmy więc o Porządek i Różnorodność:

tkaczka czka

W śpiewanej ongi przez Starszych Panów piosence znamieny refren brzmiał: „Matka czka I tatko czka, I tkaczka czka, I czkając tka...”

Czkawka to problem drobny – ale wie Pan zapewne, jaki autorytet zdobywa się przez rozwiązanie najprostszych problemów?

Z czkawką walczy się różnie: zaciskając nos do utraty tchu – z popijaniem równocześnie małymi łydkami wody; waleniem po plecach – z odbijaniem delikwentowi płuc; straszeniem...

Czkawka tymczasem jest pięknym modelem stabilnego sprzężenia zwrotnego. Sprzężenie stabilne ma tę piekielną właściwość, że nie zanika, ale i nie pobudza się coraz bardziej. Trwa.

W tym konkretnym przypadku impuls czkawce daje podrażnienie nerwu sterującego przeponą. Przepona podskakuje, wewnętrzności się poruszają, drażnią nerw, ten kurczy przeponę... Znane są przypadki ludzi, którzy spędzili całe miesiące czkając.

Sam kiedyś po tygodniu głodówki dostałem takiej czkawki, że spędzano mnie ze spaceru obawiając się, że czkaniem sygnalizowałem kolegom. Czkawka trwała ponad pół dnia.

Wtedy właśnie rozwiązałem problem czkawki.

W 95% przypadków wystarczy przerwać sprzężenie. W tym celu należy położyć się z piersią poniżej bioder. Wówczas po czknięciu wewnętrzności nie opadają i nie drażnią nerwu przepony.

Czkawka ustaje natychmiast.

Niestety – nie każda.

Może Pana dzieci umieją stawać na głowie?



ubiór

Jeśli nie nazywa się Pan Saint Laurent* lub podobnie – kwestią ubioru córki nie zajmuje się Pan w ogóle, pilnując może tylko, by nie przerobiono jej na chłopca (rzadkie – na ogół kobiety wolą przerabiać chłopców na dziewczynki). Wyjątek: do roku życia, o czym niżej.

Jeden z publicystów określił Polskę jako „kraj przegrzanych bachorów”. To prawda, choć znam nacje bardziej katujące swą przyszłość, niewiele ich jednak... Wiąże się to ze wzmożoną opiekuńczością cechującą nasze panie oraz wyróżnikiem społecznym.

Etos chłopski każe ubierać się ciepło, co oszczędza cenne kalorie. Ceną jest spowolnienie przemiany materii, a w konsekwencji i reakcji. Czy chce Pan, by Jego dziecko ruszało się jak Ślimak (bezsprzecznie pozytywny bohater *Placówki* Prusa)?

Lekki ubiór to – żywsze dziecko, niestety, z konieczności więcej jedzące (*vide* INWESTYCJA).

Jak więc ubierać dziecko? Dokładnie tak jak siebie – minus (Minus) drobna poprawka na jego zwiększoną ruchliwość. Jeśli idzie Pan z trzylatkiem na spacer normalnym krokiem, dziecko wykonuje pracę szybkobiegacza. A jak trenują długodystansowcy, nawet na mrozie? W samym dresie, nieprawdaż? Dziecko czasem przystaje, więc można ubrać je troszkę cieplej.

Dziecko powinno mieć zimne ręce; to sygnał dla organizmu, by przyspieszył spalanie. Nie powinno natomiast przeziębzać brzuszka, co grozi wiadomymi

* Yves Saint Laurent — to następca Diora**

** Dior — mistrz nożyczek i centymetra IV Republiki Francuskiej

konsekwencjami.

Jeszcze jedno. Wielokrotne sumienne eksperymenty nie wykryły związku między obniżeniem temperatury ciała a katarem (co nie znaczy, że jakieś pośrednie nie istnieją, np. temperatura wpływa na jakiś gruczoł, produkujący hormon działający na narząd mający wpływ na walkę z nadmiernie rozpanoszonymi wirusami) Tyle generalistów dotyczących zdrowego, dobrze odżywionego i w miarę zahartowanego dziecka.

Z dzieckiem chorowitym trzeba (w niektórych tylko zresztą przypadłościach) postępować inaczej. Proszę jednak dobrze odróżnić dziecko chorowite od wydelikaczonego zbyt ciepłym ubiorem. W tym drugim wypadku trzeba je stopniowo „rozbierać”, nie zważając na łzy, prośby, groźby i przepowiednie żony, matki, teściowej i czterech ciotek.

Tyczy to – przypominam – głównie chłopców. Dziewczynka wychodowana na cieplarnianą odaliskę o omdlewających ruchach da sobie radę, byle te ruchy miały wdzięk. A teraz nasze męskie sprawy.

Czy zastanowił się Pan przez chwilę, po co jądra zstępują nam do moszny zamiast, jak Pan Bóg przykazał, tkwić wraz z resztą narządów wewnątrz ciała? Gdyż komórki genetyczne wymagają do rozwoju niższej temperatury. Ubieranie więc przedszkolaka w majteczki, rajstopy i spodnie to wyrządzanie mu (z wyjątkiem 20-stopniowych mrozów) podwójnej krzywdy. Także slipki, zamiast normalnych kalesonów, i obcisłe spodnie (np. jeansy) są w tym względzie szkodliwe. Można by doprawdy zacząć formułować różne hipotezy na temat genezy tej mody – ale dajmy temu spokój*.

Szkoła męska zaleca ubieranie chłopca zupełnie swobodnie: niech fika koziołki na przyjęciu w Pałacu Buckingham! Szkoła kobieca stroi go w falbanki i nie pozwala pobrudzić spodni podczas zabawy w piaskownicy. Ta druga jest zabójcza dla rozwoju, ale pierwsza też jest przesadą. Dziecko w życiu grać będzie rozmaite role – niech nauczy się czuć w nich swobodnie. Często miałby Pan ochotę pobyć *dandy*? Raz na dwa miesiące? To niech i synek podandysuje raz w miesiącu bez zwracania na sprawę specjalnej uwagi. Będzie się czuł skrępowany i nieszczęśliwy? O to właśnie chodzi! Gdybyście nigdy go nie stroili, nie odczuwałby tej niewygody, a za to w swoim czasie zacząłby zazdrościć elegantszym kolegom. Dialektyka, proszę Pana, dialektyka.

Zdarza się czasem, że matka zaniedbuje ubieranie córki. W takim – dość

* Właśnie: dość na ten temat — i z chłopcem o nim też prawie nie powinien Pan rozmawiać. Rozmawiającego z kolegami o modzie — wyśmiać. Chłopak może być schludny, porządny — nawet elegancki, ale nie: modny. Tu nie idzie o oszczędność, lecz o pryncypia.

rzadkim – wypadku nie dyskutuje Pan z nią, tylko – przypominam – przy jakiejś okazji (może być rocznica bitwy pod Lepanto, idzie o to, by rzecz była traktowana jako święto, a nie zwyczaj) zabiera Pan córkę na zakupy i obsprawa od stóp do głów, poszczególne sztuki podzucając do garderoby pojedynczo. Matka tego typu na ogół nawet nie zauważy różnicy...

Zakupów dla chłopca dokonuje Pan czy żona – wszystko jedno. Proszę tylko pamiętać: elegancki lord zanim założył nowe buty czy garnitur dawał je na tydzień do ponoszenia lokajowi!

Mężczyzna w nowym ubraniu wygląda jak manekin: albo czuje się nieswojo, albo zaczyna dobrze czuć się w tej roli. To drugie jest znacznie gorsze...

ultima Ratio Domini

Jeśli konfliktu z żoną nie potrafi Pan w żaden sposób rozstrzygnąć, nie potrafi Pan jej przekonać, to, niestety, musi Pan użyć siły fizycznej.

Jest to przykre – ale nie ma innego sposobu. Odwołanie się do sądu zniszczy Pana małżeństwo. Podporządkować się Pan nie może, gdyż utrata autorytetu rozbija je także prędzej czy później: żona poczuwszy swą siłę będzie coraz częściej stawiała na swoim, a Pan tego nie zniesie.

Nie wolno jednak Panu wdawać się w bijatykę. Z kobietą? Musi Pan ją ukarać. Jeśli ma Pan rację i będzie Pan o tym przekonany, to żona Panu ulegnie.

Musi to być zrobione dość zimno i stanowczo. Jako przykra konieczność. Może się zdarzyć, że i tak do rozvodu dojdzie, ale nie było na to widać rady. Może się też zdarzyć, że żona należy do tych rzadkich kobiet, które muszą dominować. Wówczas nie uda się Panu sprawić jej należnego lania i zmusić do posłuszeństwa. Wówczas musi Pan podjąć męską decyzję: rozwieść się – lub podporządkować się jej do końca życia.

Na ogół jednak kobiety – jeśli nie są traktowane bezlitośnie – podporządkowują się, gdyż tak są wyselekcjonowane. Za to posłuszeństwo powinien Pan wynagrodzić żonę w sposób jedyny właściwy. Czesław Miłosz (*Dolina Issy*) słusznie zauważa, że dla obydwu stron jest to podniecające i przyjemne doświadczenie (uwaga: dalsze akty nieposłuszeństwa ze strony żony mogą świadczyć, że pragnie ona powtórzenia eksperymentu!).

Nie muszę dodawać, że wszelkie – a nie tylko dramatyczne i nie tylko kończące się erotycznie – sprzeczki z żoną powinny odbywać się poza wiedzą dzieci. Jeśli jednak Pańska żona należy do kobiet uznających dominację mężczyzny, to klaps zaaplikowany przy – dzieciach nie jest wielkim błędem. Uwaga: musi Pan być całkowicie przekonany, że odniesie to skutek, to jest skłoni żonę do podporządkowania się z uśmiechem lub wyraźnie udawanym gniewem, ale nie wywoła awantury, co byłoby niedopuszczalne. W tym przypadku – jak zresztą w każdym – całkowita odpowiedzialność spoczywać będzie na Panu.

A w ogóle – to reakcje żony dobrze poznać przed urodzeniem się dzieci. Niestety, dzisiejsze małżeństwa zawierane często na trzy miesiące przed położeniem bardzo są tu nieporęczne...

Ta metoda – o ile żona jest masochistką, co całkowicie ustawia sprawę na innej płaszczyźnie – może być stosowana jedynie bardzo rzadko. Jak każda *Ultima Ratio*.

usługi

Bardzo często rodzice nie dbają o to, by dziecko pomagało im w domu, by przykładało się do jego utrzymania. Uważam to za duży błąd. Ludzie kochają nie to, co bez wysiłku samo przyszło – ludzie kochają to, w co sami włożyli wysiłek. Dlatego dziecko nie pracujące na rzecz domu i rodziców później mniej ich kocha. Jest to banał. Często jednak rodzice wymagają, by dziecko im służyło pomocą i napotykają niezrozumiały opór.

Po przeczytaniu hasła IMITACJA sam Pan najprawdopodobniej zrozumie główną przyczynę: brak przykładu. Gdy dziecko usłyszy, jak Pan mówi do żony: „Przynieś mi herbatę”, a ona odpowiada: „Wiesz, jestem zmęczona...” lub: „Zrób sobie sam!” – to nie minie tydzień, a taką samą odpowiedź usłyszy Pan z ust dziecka!

Gdy wraz z żoną na wyścigi świadczyć sobie uprzejmości i drobne przysługi – Wasze dziecko będzie zachowywało się tak samo w stosunku do Was. Gdy zachowujecie się jak egoiści – dziecko też zachowywało się będzie jak egoista. I bardzo proszę, by nie zwał Pan tego na geny odziedziczone po pradziadku, w każdym razie nie po przeczytaniu tej książeczki.

Bycie uczynnym w stosunku do siebie bardzo się opłaca, gdy ma się dziecko. Czy jest to wystarczający argument dla egoisty? Mam nadzieję, że tak...

uświadomienie

Uświadomienie (sexualne, oczwiscie) córki nie należy do Pana, lecz do żony. A także do przyszłego córki ukochanego. Gdyby z jakichś powodów spadło to na mnie, jedyną wskazówką byłoby: „Ty musisz pamiętać, że się mężczyźnie oddajesz – i do tego człowieka musisz mieć pełne zaufanie!”.

Również i z synem sprawa nie jest prosta. Zakłopotanie, jakie w takich sytuacjach odczuwa prawie każdy, świadczy, że nie jest to rola naturalna, a zatem nie jest zapewne szczególnie potrzebna!

Dlatego przeciwny jestem uświadamianiu dzieci! Trzeba im natomiast pomóc – jeśli widać, że takiej porady szukają – bezpośrednio lub pośrednio. W takim przypadku nie zalecam wykładów naukowych, lecz już raczej frywolne aluzje. Chłopak ma już przecież te i inne fragmenty uzbierane z rozmaitych okruchów, jeżeli już nie obejrzał wszystkiego w telewizji. Trzeba pozwolić mu tę łamigłóvkę poukładać samodzielnie – oferując jedynie dyskretną pomoc.

Jak dotąd, przez kilka tysiącleci chłopcy dawali sobie jakoś z tymi problemami radę i – będą ją sobie dawać nadal! Aluzje mówiące o możliwościach i niebezpieczeństwach – to jest to, co rozwija najbardziej. Oczywiście, może się zdarzyć dzieciak – systematyk, który zażąda szczegółowego wykładu. Ha, trudno – jak trzeba, to trzeba. Ale...

Ale może to mieć opłakane skutki!

Stonoga zdechła z głodu, gdy spytano ją: „Którą nogę ruszasz po nodze 47-ej?” W tej zaś szczególnie delikatnej sferze świadomość kontroli nad sobą raczej przeszkadza. Skrajnym przypadkiem był Emanuel Kant, który zmarł jako dziewic, gdyż – uznał, że: „Wykonywanie tak śmiesznych ruchów jest niegodne filozofa”. Zapewne ojciec urządził mu systematyczny wykład... Inna sprawa, że sam się nie uskarżał.

Pomyślem, by drażnić dziecięcą wrażliwość i urządzać z sexuologii wykłady z podręcznikami, są doprawdy skandalem rodem ze Sztokholmu. Zaznaczam, że nie piszę tego jako purytanin. Wręcz przeciwnie, jestem zwolennikiem pikantnego erotyzmu. Ale co tu mówić o erotyzmie, gdy nauczyciel na tablicy rysuje, jakie ruchy należy prawidłowo wykonywać. Toż zamiast erotyzmu otrzymujemy nużącą gimnastykę kopulacyjną.

Wyraźnym ostrzeżeniem może być alarmująco postępujący spadek erotycznej aktywności Szwedów właśnie. Po prostu mężczyzna lubi samodzielnie pokonywać przeszkody.... Wykonywać zadanych ćwiczeń nie lubi i – tyle.

Nauka sexuologii to jest właśnie ponury purytanizm w najgorszym gatunku.

Można bowiem zajmować się erotyką w dobrym stylu. Można być purytaninem i uprawiać nawet pełną ascezę. Można prowadzić normalne przeciętne życie. To wszystko jest ludzkie. Ale kopulacja według przepisu – to już nawet nie zbydlęcenie, to – próba sprowadzenia ludzi do poziomu maszyn, w stylu opisanym przez Aldousa Huxleya w proroczym *Nowym wspaniałym świecie*.

Zdaje się, że świat zatrzymał się o włos przed urzeczywistnieniem tej wizji. A może się nie zatrzymał?

W każdym razie kompensacja kompleksów: „Nie możemy mieć w Polsce zdrowych stosunków społeczno-gospodarczo-politycznych, to zafundujmy sobie chociaż dewiacje towarzyszące nadmiernemu rozwojowi dobrobytu...” – wydaje mi się nad wyraz niebezpieczna.

Jest też i śmieszna, ale nie dla ojca dziecka, któremu chcą to wkładać do łepetyny. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Optymalne tempo: 47 razy na minutę. Zaopatrzcie się chłopcy w stopery...

wiek

Różne są koncepcje dotyczące optymalnego wieku małżonków i – optymalnego wieku płodzenia dzieci.

Z punktu widzenia biologicznego dla mężczyzny nie ma tu ograniczeń. Najprawdopodobniej im młodszy ojciec, tym większe prawdopodobieństwo przyjścia na świat syna, ale różnica nie jest istotna. Kobieta nie powinna rodzić przed szesnastym rokiem życia (z uwagi na fizjologię) ani po czterdziestym (nadmierne zagrożenie degeneracją płodu).

Co do zawierania związku – za najlepszą uważam regułę angielską: narzeczona winna mieć połowę lat przyszłego męża plus siedem. Jeśli więc np. on dwadzieścia, to ona siedemnaście. Jeśli on czterdzieści, to ona dwadzieścia siedem itd.

Co do posiadania dzieci, to nie powinno się ich planować. Możesz natomiast – i powinienesz – zmniejszać lub zwiększać prawdopodobieństwo urodzenia się dziecka. Inteligentne posługiwanie się zasadami panów Ogino i Knaussa pozwala to prawdopodobieństwo niemal dowolnie zwiększać lub redukować. O szczegółach mówią odpowiednie podręczniki i poradniki.

Nie radzę Panu omawiać tych spraw z żoną! Fizjologia winna być sprawą intymną. Kobieta może być uświadomiona o funkcjonowaniu swego organizmu, ale chyba lepiej, by nie była. W związku z tym wiele kobiet udaje naiwność i – nie należy w tym przeszkadzać. Musi Pan być gotowy do wzięcia na siebie odpowiedzialności. Radzę przy owym zmniejszaniu lub zwiększaniu szansy spłodzenia potomka uwzględnić uwagi z hasła MAZURA TEORIA.

Zauważyłem, że kobiety są nastawione bardziej amoroso, niestety, w dniach zbliżonych do okresu płodnego. Co więcej, zdrowa kobieta, mająca normalne jajczkowanie, staje się nerwowa i rozdrażniona, jeśli przez dłuższy czas nie zachodzi w ciążę. Zachowanie feministek jest jawnym dowodem tej tezy.



wierność

Ostatnio niewierność wysunęła się na czoło przyczyn rozwodów podawanych przez rozchodzące się pary. Co prawda, to co ludzie zeznają statystykom, a nawet i sądom, rzadko ma coś wspólnego z rzeczywistością, ale należy się nad tym zastanowić.

Tu również (*vide* PATRYLINEARNOŚĆ) sytuacja mężczyzny i kobiety nie jest symetryczna.

Widać to gołym okiem. Na kuli ziemskiej większość społeczeństw uprawia poligynię, niemal tyle samo monogamię, nie istnieje natomiast poliandria. Po latach poszukiwań pseudofeministkom udało się wynaleźć w Tybecie jedno plemię, gdzie główna kapłanka ma obowiązkowo kilku mężów. To wszystko.

Nie świadczy to o jakichś szczególnie perfidnych metodach stosowanych przez mężczyzn, lecz jest zupełnie naturalne. Mądrość ludowa ujmuje to w ten sposób: „Gdy ja zdradzę żonę, to jakbym ze swej sutereny splunął na ulicę – nieładnie, ale przestępstwo niewielkie; gdy natomiast mnie zdradza żona, to jakby ktoś z ulicy splunął do mojej sutereny...” (nie pamiętam już od kogo zaczerpnąłem ten cytat).

Pamiętam natomiast rozumowanie Jerzego Bernarda Shawa, który twierdził, że celem każdej kobiety jest znalezienie dla swojego dziecka możliwie najlepszego opiekuna i dlatego rozsądna kobieta będzie wolała zostać jedną z siedmiu żon odpowiedzialnego, mądrego i silnego mężczyzny, niż jedyną żoną łachmyty...

I tak jest rzeczywiście. Znacznie większa podatność kobiet na życie w poliginii uwarunkowana jest genetycznie.

W naszym kręgu kulturowym obowiązuje jednak zasada monogamii z

przymknięciem oka na męskie skoki na boki. Od półwiecza jednak, wraz z hasłami równouprawnienia, prawa tego (do przymknięcia oka) zaczęły domagać się kobiety.

W wielu przypadkach mężowie godzili się na małżeństwa zakładające możliwość obopólnych zdrad. Związki takie niemal zawsze się rozpadają.

Podstawową bowiem różnicą między męską a kobiecą niewiernością jest to, że jeśli Pan zdradzi żonę, to ewentualne potomstwo z ubocznego związku będzie miało jednoznacznego ojca i matkę, a gdy zacznie Pana zdradzać żona, nigdy nie będzie miał Pan pewności, czy dziecko jest Pańskie. „Żona Cezara musi być poza wszelkimi podejrzeniami”. Dziś, żyjąc w domach, których komfort przewyższa wielokrotnie komfort cesarza Rzymu, powinniśmy również mieć pewność i w tej dziedzinie.

W dodatku Natura – a jest to uwarunkowanie nie genetyczne, tylko kulturowe, ale bardzo głębokie – obdarzyła kobiety znaczną zdolnością adaptacyjną: potrafią one znakomicie dopasować się do środowiska męża. Kilku kochanków powoduje zatem rozbitcie jej osobowości, co u mężczyzn występuje w znacznie mniejszym stopniu. Są, oczywiście, wyjątki.

Istnieje również teoria, że owej adaptacji sprzyja nasienie męskie. Teoria ta opiera się na tym, iż – z punktu widzenia roli zapłodnienia – plemników jest za dużo i byłoby to marnowaniem drogiego materiału, gdyby nie wykonywały one funkcji ubocznej. W myśl tej teorii owe plemniki, wnikając w ciało kobiety, ułatwiałyby adaptację do genetycznego charakteru partnera. Rzecz jasna, poliandria byłaby tu fizycznie szkodliwa dla kobiet – z takimi wyjątkami, jak np. aktorki, które powinny umieć wcielać się w różne postaci i dla których rozbitcie osobowości jest pożyteczne.

Niezależnie od kryjących się za tym mechanizmów, wierność kobiet jest na pewno bardzo ważnym czynnikiem cywilizacyjnym, o czym świadczy fakt, że pilnowały jej wszystkie rozwijające się cywilizacje. Oczywiście, u niektórych prymitywnych plemion jest inaczej, tu proszę zajrzeć pod POSTĘPOWCY.

A niewierności żony tolerować Pan nie może.

Niestety, obecny polski kodeks cywilny zniósł pojęcie „separacji”, co w praktyce zmusza małżonków do rozwodu. Być może niedługo błąd ten zostanie naprawiony. Małżonkom bowiem – obojgu! – mogą przytrafić się różne przypadki. Bardzo wiele kobiet wychodzi dziś za mąż po doświadczeniach seksualnych z innymi mężczyznami, nie ma więc powodu, by kobieta po okresie separacji nie mogła wrócić do męża. Zachowanie natomiast fikcji małżeństwa przy

utrzymywaniu przez kobietę ubocznych stosunków jest wyjątkowo niezdrowe.

Niektórzy psychologowie twierdzą nawet, że zdradzająca męża kobieta ma do niego w gruncie rzeczy pretensję, że ten nie kocha jej dość mocno, by być o nią zazdrosny, zabić czy pobić rywala albo i ją. Być może...

Jeśli chodzi o stosunek do zdrad męskich, kobiety dzielą się na dwie grupy zasadnicze. Te nieliczne, które zdrady tolerują w teorii i praktyce, oraz te, które ich nie tolerują w teorii i praktyce:

- pierwsza grupa zdrady toleruje znakomicie, ale robi o nie awantury, by podtrzymać temperaturę związku, wytargować prezent lub po prostu dać dowód, że jej na mężu zależy;

- druga grupa natomiast otwarcie oświadcza, że jest absolutnie tolerancyjna i jej to nie przeszkadza, a w istocie w głębi ducha mocno się gryzie i rozpacza.

Gdyby więc chciał Pan zdradzać żonę i istniał problem jej dowiedzenia się o tym – to radzę starannie rozważyć, do której z tych grup małżonka się zalicza! Ostrzegam: słowa nie są żadną wskazówką! Stanowczo lepiej obserwować np. reakcję na niewinny Pański flirt, a i tu wnioski nie są bynajmniej proste...

Więc może po prostu – nie zdradzać?

zabawa

To najważniejszy (tak!) element wychowania w dzisiejszych czasach. Im wyżej ukształtowany gatunek – tym dłużej jego młode mogą oddawać się zabawom. Wynikałoby z tego, że umiejętność zabawy daje jakieś korzyści.

Dawniej (*vide* PRZYSZŁOŚĆ JASNA) człowiek przeznaczony był do swego zawodu od wczesnej młodości, a w klasach żyjących dla społeczeństwa (szlachta! – upadek kraju wiąże się dla warstwy rządzącej z alienacją przywilejów od obowiązków), nawet od urodzenia. Stąd rycerz od maleńkości mógł uczyć się jazdy konnej i władania mieczem, chłop – orki i košby, zaś chłopcy przeznaczeni do innych zawodów, jak: garncarz, kowal, ksiądz, płatnerz, skryba, mogli rozwijać zdolności potrzebne w tych profesjach, osiągając nieznaną dziś perfekcję.

Dziś nie wiemy, jakie umiejętności będą potrzebne za lat dwadzieścia i dlatego należy dopuścić do jak najpełniejszego rozwijania przyrodzonych zdolności dziecka w nadziei, że kiedyś okażą się one przydatne. Zabawy abstrakcyjne (trudno przecież znaleźć zawód, w którym przydatna byłaby np. umiejętność kopania piłki!) rozwijają organizm i poszczególne grupy mięśni. Nigdy nie wiemy (*vide* RÓŻNORODNOŚĆ) co będzie potrzebne młodemu człowiekowi – niech więc bawi się swobodnie.

Dziewczynki wolą zabawy konkretne – w dom, w sklep; proszę zwrócić uwagę, jak fakt ten potwierdza rozważania zawarte w tej książeczce. Należy je zresztą (powody – *vide* KOBIEȚA) zachęcać do zabaw wymagających spokoju i cierpliwości. Chłopcy w porównaniu z nimi baraszkują jak młode psiaki i – podobnie jak u wilków – jest to widać korzystne. Coraz korzystniejsze w miarę przyspieszania tempa rozwoju.

Chłopca nie powinno się ograniczać w zabawie. Drze portki – to wkładać mu stare, pocerowane! Skaleczy się – to organizm prędzej nauczy się walczyć z bakteriami. Zrobi sobie krzywdę – Panie, młode tygrysy bawią się ze sobą bez obawy; natura tak wyposaża każdy gatunek, że poszczególne osobniki bez uszczerbku mogą znieść wzajemne ataki. Przy pomocy narzędzi dzieci mogą się – istotnie – trwale uszkodzić; nie można jednak okaleczać psychicznie miliona chłopców po to, by jeden nie został kaleką!

Zadaniem ojca jest stwarzać warunki do swobodnej i bezpiecznej zabawy. Otwarte studnie i szamba, nie zabezpieczone ostre narzędzia i elektryczne urządzenia – to typowe obiekty grożące dziecku na wsi. Musi Pan również sam sprawdzić, czy żona nauczyła dziecko omijać garnki z wrzątkiem; kobiety mają

dobre serce i krótki rozum, przeto żał im dopuścić do umyślnego oparzenia się dziecka, jednakże tylko solidny pęcherz na palcu daje gwarancję, aby mały zrozumiał słowo: „Parzy!” Tak immunizowane dziecko można spokojnie zostawić w kuchni! Plagą miast są asfaltowane i betonowane placówki zabaw. Z godnym podziwu uporem odpowiednie przedsiębiorstwa obsiewają trawą wydeptane przejścia na trawnikach, a „za to” wylewają asfaltem trawniki, gdzie bawią się dzieci. Zjeżdżalnia, huśtawka i kręciołek nad betonem w połączeniu z tabliczką „szanuj zielen” na najkrótszym przejściu do domu – to symbol naszej narodowej głupoty. Zalecam działanie rewolucyjne: bierz Pan łom i rozwal ten asfalt i beton, kierując jednocześnie przeciwko „pomysłowej” administracji sądową skargę o zagrożenie życia i zdrowia dzieci. Jedno tylko ale: taki rewolucyjny samorząd bierze na siebie część trudów obsiewania trawą i utrzymania tego placu. Administracja asfaltowała go z oszczędności: trawa kosztuje, a zdrowie dziecka nic – jest przecież ubezpieczone (*iride* INWESTYCJA).

Dzieci, oczywiście, przystosują się do terenu utwardzonego (*vide* HOMEOSTAZA) – przez zredukowanie ryzykownych zabaw, tak iż liczba wypadków pozostanie w normie. Jednakże nie chodzi Panu o to, by dziecko miało wpojone przekonanie, że 2 metry to już niebezpieczna wysokość, prawda?

Jako ojciec musi Pan brać od czasu do czasu udział w zabawach, zwłaszcza syna. Tu uwaga: tym większy – im dziecko młodsze! Wprawdzie z niemowlakiem przeważnie bawi się matka, ale już wówczas robi mu Pan śmiałą gimnastykę przed kąpielą i w czasie jej trwania. Bez obaw, dziecko jest bardziej plastyczne niż dorosły, ręce mu Pan nie złamie, stawu nie wybije, ścięgna nie naciągnie – a nawet stuknięcie w główkę o wiele łatwiej znosi się mając dwa miesiące niż dwa lub dwadzieścia lat (nie pisząc o pięćdziesięciu).

Do roku nie ma różnicy płci przy zabawie. Może pan dziecko turlać, tarmosić, rzucać na tapczan (zawsze skosem i uważając, by główka nie zawinęła się do tyłu; przy dzieciach starszych trzeba również uważać na kończyny), koziołkować (uwaga: nie należy, wzorem cyrkowców produkujących „ludzi-gumy”, przeginać kręgosłupa na siłę do tyłu), podrzucać do góry (uwaga: małe dziecko łatwiej podrzucić wyżej, ale właśnie małe bardziej się boi). Trzeba dziecko stopniowo przyzwyczajać do tych wyczynów i zmniejszać ich intensywność przy pierwszym skrzywieniu buzi; „oswajanie” na siłę prowadzi do przeciwnych efektów, a nieraz nawet do trwałego urazu.

Przyzwyczajanie dziecka jest zresztą drobiazgiem w porównaniu z oswajaniem

żony. O tym czynniku nie wolno zapomnieć, wprawdzie kobiety po to się ponoć rodzą, by drżeć o nas z niepokoju, ale nie ma sensu narażać je na to niepotrzebnie. W dodatku przerażona matka stojąc obok indukuje ten strach w dziecku i w Panu, co nie jest bez znaczenia, gdyż odbiera pewność siebie. Dlatego niech Pan zaczyna na osobności, a po miesiącu powie niedbale: „Ależ, kochanie, my tak się bawimy od miesięcy!”. Argument konserwatywny: „Tak było dobrze, więc i nadal będzie dobrze” znakomicie uspokaja kobiety.

Jeszcze jedna uwaga. Niech Pan od razu ustali z żoną, że gdy przyjdzie Panu do głowy popisywać się tą gimnastyką przy gościach po paru kieliszkach (nawet po jednym kieliszku!) – ma dziecko natychmiast zabierać! Sam omal nie upuściłem synka w takiej właśnie sytuacji, konkretnie po dwóch kieliszkach wina; na szczęście byłem przezorny i ewolucje wykonywałem nad tapczanem, a mały, przyzwyczajony do niecodziennych pozycji, zachował się tak naturalnie, że nikt nawet nie zauważył, iż zaszło coś niepożądanego. Tylko mnie przez moment było zimno.

Po roku córka zacznie zapewne gustować w zabawie lalkami (choć upodobanie w wyżej opisanych zabawach pozostanie jej jeszcze długo), a synowi będzie Pan musi służyć za żywy trapez i kilka innych wymyślnych przyrządów. Będzie Pan musiał również grać z nim w piłkę (uniwersalna zabawka!), której substytutem już od czterech miesięcy do dwóch lat może być balon. Trudno przewidzieć, w jakie role wmanewruje Pana dziecko, ale na pewno będzie ono Panem komenderowało i Trzeba na to pozwolić (*vide PIES*).

Od piątego roku życia zabawy zaczną przekształcać się w gry. Teraz Pan będzie autorytetem od reguł, musi Pan zwiększać z wolna dystans między sobą a synem (córce wolno zawsze więcej!), wyraźniej przestrzegać granicy między zabawą a życiem. Jednocześnie chłopiec wchodzi w układy rówieśników z całą skomplikowaną hierarchią społeczną.

Nie wiem, czy zauważył Pan typową różnicę płci w grupach przedszkolnych i szkolnych. Dziewczynki z reguły zajmują się młodszymi dziećmi, chłopcy z otwartymi ustami podziwiają starszych. Ta różnica postaw, wyniesiona z zabaw, pozostaje na całe życie. Dla naszych tu rozważań ważne jest, że chłopiec będzie wymagał od Pana nadawania kierunku zabawie, a dziewczynce wystarczy, że pozwoli się Pan np. czesać.

Potem następuje krótki okres równowagi fizycznej między Panem a synem. Po czym przychodzi pora usamodzielnienia się dziecka, ale to już inny temat.

Różne formy zabaw dziewcząt i chłopców mają na celu przystosowanie do

odmiennych ról społecznych. Rzecz jasna (*vide* PŁCI ROLE) – nigdy nie zachodzi całkowite wyodrębnienie obu płci, wszelako przeciwstawianie się tym tendencjom (np. w Szwecji) przez przymusowy niemal uniformizm zabaw powoduje dziwne – i trudne do określenia innym niż „niepokojące” słowem – skutki.

Pominałem jak dotąd temat zabawek głównie dlatego, że jestem tu jednej myśli z większością fachowców od tych spraw. Skomplikowane arcydzieła, kolorowe i błyszczące, kosztowne i rozpadające się przy upuszczaniu na ziemię – są do niczego! Szpulka z nitką jest lepszą zabawką dla trzyletniego chłopaka od elektrycznego samochodu. Mój siostrzeniec miał cały skład kolorowych cudenków – a najchętniej bawił się kawałkiem tektury z przywiązanym sznurkiem; przynajmniej miał pole dla fantazji: raz był to pociąg, raz koń, najczęściej zresztą – samochód.

Dziecko znakomicie bawi się przedmiotami codziennego użytku, puszkami (pozaginać ostre brzegi!), patykami. Uleganie snobizmom i presji otoczenia („Jurek ma elektryczny samochód”) jest nie tylko szkodliwe, ale i kosztowne. Lepiej kupić dziecku zabawne i oryginalne drobiazgi plus solidny rowerek, piłkę, wrotki, hulajnogę... Dziewczynce lepiej kupić jedną-dwie lalki i tuzin ubranek dla niej na zmianę niż pięć lalek, nadających się tylko do zamykania i otwierania oczu!

Zabawki chłopca powinny nadawać się do psucia, demontażu i reperacji przez Pana. Mówi Pan, że taniej kupić nową zabawkę niż pół godziny męczyć się nad starą? Otóż to, tak wychowuje się marnotrawców zasobów naturalnych. Pańska własnoręczna reperacja to inwestycja (*vide* INWESTYCJA) wychowawcza, w dodatku podnosząca Pański autorytet!

Jeszcze jedno – ilość. Dziecko powinno mieć dwie ulubione zabawki, z pięć, którymi bawi się często, i dziewięć – „w tle”. Oczywiście, trudno o ten ideał: wszyscy krewni-i-znajomi pojawiają się w domu obładowani prezentami. Jednak nadmiar zabawek jest wyraźnie szkodliwy – nieustanny *embarras de richesse* wykończyłby i dorosłego! Radzę ten model stosować do trzeciego roku życia, potem zabawki będą się szybciej psuć niż pojawiać. Płodozmian: doszły trzy zabawki, trzy stare (ale w znośnym stanie) chowamy. Za miesiąc będą atrakcją! Tę technikę może Pan wykorzystywać nie tylko w odniesieniu do dzieci...

Uff... To było chyba najdłuższe hasło, ale zabawa, to najważniejszy (tak!) element wychowania w dzisiejszych czasach.

zakaz

Zakaz jest poleceniem znacznie naturalniejszym niż nakaz. Przede wszystkim ogranicza się tylko do pewnych czynności, których dziecku wykonać nie wolno. Jest mniej krepujący. Jeśli zwykł Pan się posługiwać nakazami, to grozi Panu wychowanie dziecka na niewolnika. Zakaz natomiast pozostawia zazwyczaj wybór, co sprzyja kształceniu umiejętności samodzielnego decydowania.

Z Pana punktu widzenia być może istotniejsze jest co innego. Przekroczenie zakazu znacznie łatwiej skontrolować, podczas gdy wykonać polecenie można lepiej lub gorzej; można nawet wykonać tak, że formalnie (*vide* LOGIKA) wszystko jest w porządku, a wcale nie o to Panu chodziło. Takie gierki z zakazami na ogół nie przechodzą.

Co prawda, zgodnie z zasadą rekompensaty (*vide* HOMEOSTAZA), stosowanie zakazów powoduje, że przedmiot zakazany jest bardziej pożądanym, na co dobitnie wskazuje przykład Adama i Ewy. Ale na to już nie ma rady.

Rządzenie zakazami jest trudniejsze niż nakazami, gdyż więcej trzeba przewidywać. Trzeba również rygorystycznie przestrzegać nieprzekroczenia zakazu.

Dzieci w zasadzie dzielą się – podobnie jak dorośli – na dwie kategorie. Jedne wolą mieć nakaz precyzujący, co mają zrobić (i nie muszą to być wyłącznie dziewczynki), inni wolą mieć swobodę i być nagradzane (i karane) za wykorzystywanie tej swobody bez przekraczania zakazów. Trzeba się zorientować, do jakiej grupy należy syn lub córka i – odpowiednio postępować. Ja uważam, że więcej samodzielności i wyższe wymagania – to dobra szkoła i lepiej z tym przesadzić, niż dać za mało. Być może się mylę.

zaocznie ...

Rozmowa o kimś dorosłym za jego plecami nazywa się plotkarstwem. Jest jednak wyjątek. W sprawach kadrowych omawia się wady, zalety, szybkość adaptacji i przydatność na danym stanowisku – bez udziału zainteresowanego, a nawet sporządza tajne opinie (opinia jawna nigdy nie spełni swej roli, gdyż opiniujący będzie bał się urazić opiniowanego).

Również o dzieciach nie rozmawia się przy nich. Wychowywanie to proces delikatny i bardzo łatwo go zaburzyć metodą samo-zaprzeczającego się proroctwa. Dlatego nawet pochwały powinny być udzielane albo formalnie (i wtedy nie jest to omówienie, lecz czynność rytualna wobec całej rodziny), albo ściśle poza uszami dzieci. Chyba że ma to być część metody. Wygłasza Pan żonie pochwałę dziecka wiedząc, że ono podsłuchuje, ale w warunkach takich, żeby było przekonane, iż państwo o tym nie wiecie. Może to nieźle służyć odbudowie podłamanego morale potomka. Natomiast rozmowy techniczne, prawdziwa dyskusja na te tematy – o ile uważa Pan, że trzeba ją w ogóle z żoną przeprowadzać (czasem trzeba) – muszą być ściśle tajne.

Dziecko jest – powiedzmy to otwarcie – obiektem wychowania. Nie powinno być w tym względzie traktowane jak człowiek dorosły i odpowiedzialny, bo nim nie jest i tego ciężaru nie udźwignie. Celem wychowania jest możliwe jak najszybsze doprowadzenie dziecka do stanu, w którym będzie ono mogło być traktowane jak dorosły, ale to nie znaczy, że już trzeba je tak traktować. Może to proces wychowania nie tylko opóźnić, ale i poważnie zaburzyć. Nieraz nieodwracalnie. Świat pełen jest dorosłych zachowujących się jak dzieci, niekiedy dlatego, że w dzieciństwie traktowano ich jak dorosłych – a oni chcą od tego uciekać (*vide* HOMEOSTAZA).

Dla osiągnięcia tego celu wolno Panu stosować wszelkie godziwe chwytty. Ma Pan nawet taki obowiązek. Mógłby Pan też stosować chwytty niegodziwe, gdyby nie obawa, że zniweczy Pan proces wychowania, gdyż nauczy stosowania niegodziwych metod (*vide* IMITACJA).

Rzecz jasna, w miarę dorastania dziecka metoda manipulacji zaczyna ustępować metodzie współpracy. Powinno to być jednak wyraźnie zakreślone: „W tej dziedzinie i w tej sprawie jesteś traktowany jak dorosły”. Nie trzeba tego mówić explicite. Dziecko to świetnie wyczuwa.

Tak nawiasem, rzeczywistość wygrała z dogmatami i teoretycznie pełnoletni (18–20 lat) chłopcy są (wbrew Konstytucji) pozbawieni prawa do ożenku. Warto by formalnie podnieść wiek obywatelskiej dojrzałości do 21 lat, a za to

pozwolić już 15-letnim dzieciom działać – za zgodą ojca – o wiele szerzej niż obecnie. 16-letni sprzedawca może być znacznie lepszy niż 40-letni, a w każdym razie ma to ustalić rynek, a nie ustawodawca, który w interesie (egoistycznym) dorosłych chroni ich przed konkurencją zdolnej młodzieży. Dzieci nie mają, niestety, reprezentacji w parlamencie...

Wracam do tematu. Wyniki owych zaocznych konferencji rodziców powinien Pan komunikować (jeśli jest to wskazane) dziecku w cztery oczy, otwarcie (nie piszę: „szczerze”, gdyż pełna szczerość nie jest potrzebna ani wskazana). Winien Pan przedstawić je jako swoje decyzje (wszelkie: „Postanowiliśmy z Mamą...” nie wzmacniają, lecz osłabiają postanowienia, gdyż oznacza, że potrzebowało ono wzmocnienia!). Natomiast zawsze może Pan mówić: „Mama Cię chwaliła – więc postanowiłem...”

Nie dotyczy to oficjalnych pochwał lub nagan. Ta metoda wychowawcza (nie chwali Pan ani nie gani, „bo się należy”, lecz realizując cel wychowawczy – co zresztą prawie zawsze jest zbieżne) była już przed chwilą omówiona.

zasady



Tu, niestety, niezbędne jest trochę teorii.

Najpierw pytanie: Co to są „zasady”?

Otóż, zasady to nie zwiększenie, lecz ograniczenie możliwości człowieka. Człowiek z zasadami – to taki facet, który pewnych rzeczy nie może zrobić.

W takim razie powstają pytania. Po co wychowywać dziecko na człowieka z zasadami? Po co odbierać mu pewne możliwości działania? Przecież wydaje się to absurdalne!

Pierwsze wyjaśnienie jest społeczne: z góry uprzedzam, że indywidualiści traktują je jako gadkę-szmatkę.

Spółeczeństwa to jednostki kulturowe. Kultura zaś – to właśnie zestaw pewnych nakazów i zakazów. Skoro wszystkie znane społeczeństwa – właściwie z definicji – mają jakąś kulturę, to widocznie ten system nakazów i zakazów jest im na coś potrzebny.

Pytanie: a właściwie na co? Dlaczego nie obserwujemy społeczeństw typu anarchicznego, gdzie każdy ma własny system wartości, władny system zakazów i nakazów bądź też w ogóle takiego systemu nie posiada?

Otóż dlatego, że społeczeństwo musi się doskonalić!

Gdy społeczeństwo – na ogół jest to naród, ale niekoniecznie, przecinają się z tym zresztą etyki klasowe, wyznaniowe i inne – dysponuje takim zestawem, to może się doskonalić! Może – zmieniając te zasady – stawiać się innym. Tym samym między społeczeństwami wytwarza się wolna konkurencja i selekcja naturalna!

Przypominam, że jednym z możliwych społeczeństw byłoby społeczeństwo ściśle liberalne, gdzie rządzi podstawowa zasada: „Zasady mają, być może, obywatele

– zbiorowość nie ma zasad”. Otóż takie społeczeństwo nie powstało, nawet w bardzo sprzyjających warunkach. Co nie znaczy, że w jakichś warunkach nie powstanie!

Nie mogłoby ono ewoluować jako społeczeństwo – co wcale nie znaczy, że nie zmieniałoby się, być może nawet szybciej i korzystniej niż społeczeństwa posiadające jakieś dominujące zasady. Ewolucja typu: „Już nie 70, a 85% obywateli wyznaje zasadę nie kradnij” – to bardzo efektywny sposób ewolucji!

Otóż taka ewolucja i tak zachodzi wewnątrz narodów. Natomiast w każdym z nich istnieje zasadniczy zrąb zasad. Dlaczego?

Dlatego, że wówczas społeczeństwo działa mniej kolizyjnie!

Gdy ja wiem, że mój bliźni ma pewne zasady, to poczynania bliźniego stają się przewidywalne. Tym samym ja mogę działać sprawniej. Wszyscy możemy działać sprawniej – mniej więcej na tej zasadzie, na jakiej samochody poruszają się sprawniej, gdy wiadomo, że mijając się powinny prawą stroną. Albo lewą. To mało ważne. Ważne, że jakaś zasada obowiązuje.

To wszystko jest w miarę oczywiste. Społeczeństwo odnosi korzyść, gdy obywatele kierują się znanymi bliźnim zasadami. Z tego jednak wcale nie wynika, że dla mojego dziecka jest korzystne, by miało zasady!

Może lepiej jest, gdy inni mają zasady – a ja, wiedząc o tym, mogę tę wiedzę wykorzystywać dla swego egoistycznego dobra, samemu wcale do tych zasad się nie stosując!

Otóż – nie!

Są tu dwa problemy.

– Po pierwsze: mnie samemu opłaca się mieć zasady. Ograniczenie moich możliwości powoduje, że nie tracę czasu na ich rozważanie. Jeśli np. jadę autobusem „lo mogę albo rozmyślać o nowej konstrukcji mostu (jeśli jestem studentem architektury), albo rozmyślać, czy zapłacić za bilet i jaka jest szansa, że wsiądzie kontroler. Należy przypuszczać, że studenci myślący o mostach będą mieli lepsze wyniki na egzaminie od tych drugich (choć ci drudzy rozwiną się bardziej od tych, którzy o niczym nie myślą, gapiąc się w okno!).

Proszę zwrócić uwagę, że student stosujący odwrotną zasadę: „Nie płać za bilet, w przypadku pojawienia się kontrolera po prostu płać grzywnę” – jest w sytuacji równie dobrej, a może nawet lepszej (mniej czasu zajmuje zapłacenie raz na 100 przejazdów mandatu niż kasowanie za każdym razem biletu!). Ważne jest, jak widać, posiadanie zasad. Jakie on są – to już sprawa drugorzędna – a raczej o tym decyduje selekcja (choć bez trudności

można „na oko” orzec, że niektóre zasady są do chrzanu; proszę jednak zauważyć, że społeczeństwa trzymające się zasad: kwakrzy, żydzi, libertarianie itp. mają się nad podziw dobrze, choć niektóre z ich zasad wydają się mocno szkodliwe!).

Tak więc, posiadanie zasad bywa i dla mnie samego korzystne. Z tego jednak nie wynika, że się to opłaca! Być może korzyści z oszustwa są większe niż straty na „drżączce decyzyjnej”? Być może podejmowanie indywidualnych, pragmatycznych decyzji zamiast stosowania zasad wyrabia umysł, co daje dodatkową przewagę?

Nie, raczej nie. Po drugie – bowiem opłaca mi się mieć zasady z uwagi na moich współpracowników.

Z wyjątkiem nielicznych zawodów ludzie współpracują w grupach. Grupa taka – to jak drużyna piłkarska. Gracze muszą mniej więcej wiedzieć, co robi kolega, by się odpowiednio do tego ustawić! Drużyna, w której gracze są kompletnie nieprzewidywalni, to typowy zespół genialnych gwiazd, przegrywający z pataluchami.

Proszę zwrócić uwagę, że każdy z graczy może mieć odmienne nawyki i zasady, byle były one znane pozostałym. Nie mogą one być zapewne zbyt różnorodne, bo gracze nie będą w stanie ich spamiętać; różnorodność jest nie tylko dopuszczalna, ale i pożądana.

Tak więc, zasady opłacają się. Ludzie posiadający zasady w wolnym społeczeństwie swobodnie grupują się w drużyny, grające o dominację. Najlepsze wygrywają. Na to jednak, by się grupować, zasady trzeba mieć. Wszystkie drużyny zgodnie pogardzają tymi, którzy zasad nie mają. Z brakiem zasad można być tylko albo absolutnym liderem (a i tu ma się kłopoty, gdyż stworzona organizacja będzie musiała być zarządzana centralistycznie, nikt z podwładnych Szefa nie będzie bowiem wiedział, jakie postępowanie jest właściwe), albo zupełnym samotnikiem.

Wychowując więc dziecko bez zasad, „na pragmatyka”, bardzo byśmy je skrzywdzili.

Wreszcie sprawa ostatnia. Niezależnie od tego w jakiej drużynie dziecko będzie grało, będzie ono najprawdopodobniej żyło w cywilizacji atlantyckiej, w Europie, w Polsce i w określonym przez urodzenie środowisku.

Jest to zestaw niejako naturalnych drużyn – i dziecko pozbawione zrębu odpowiednich zasad będzie w życiu późniejszym tępione. Społeczeństwo bowiem tępi samotne wilki, upatrując w nich potencjalną groźbę. Nic, nawet nie tego,

że taki samotnik będzie nadużywał zaufania swych posługujących się zasadami bliźnich. Nie, ludzie się boją, że taki człowiek znajdzie się znienacka na jakimś stanowisku publicznym – i wówczas zrobi coś horrendalnego.

Być może takie działanie byłoby korzystne. Być może jakieś dziecko przebijając się przez życie ze swymi skrajnie odmiennymi zasadami odniesie sukces. Jest to jednak trudne zadanie i wymagające hartu ducha.

A nie znam ludzi, którzy byliby zarówno pozbawieni zasad, jak obdarzeni hartownym duchem. To po prostu nic idzie w parze: duch hartuje się w walce o obronę zasad; hartuje się, gdy dla zasady rezygnujemy z jakiejś chwilowej korzyści.

I właśnie dlatego kwakrzy, żydzi, druzowie, ideowi libertarianie mają się tak dobrze!

Raz jeszcze zalecam wychowywanie w duchu zasad. Takich, jakie wyznaje Pan. Ze zrębem zasad ogólnych. A jeśli w przyszłości syn rozwinie swój własny dekalog, to należy go dość mocno – ale nie za mocno, by nie złamać – naciskać tak, by go musiał bronić przeciwko Panu!

W ten właśnie sposób wychowa Pan chłopaka z zasadami! W ten właśnie sposób osoby mające zdecydowany zestaw zasad, gotowe go bronić, mają własne zasady, a osobniki do tego niezdolne, słabsze, po prostu przyjmują zasady ogólne.

I tak jest dobrze na tym najlepszym ze światów!

zmienność

Zasadniczą trudnością w wychowywaniu dzieci jest zapewnienie im odpowiedniej dozy stabilizacji i – zmienności. Zmienność jest niesłychanie ważna. Dość zauważyć, że cywilizacji nie zbudowały ludy żyjące w warunkach stabilnych, choć przecież w takiej Afryce nie trzeba kaloryferów, grubych ścian i całą energię można zużywać na konstruowanie np. rakiet kosmicznych. Również kraje o klimacie umiarkowanym, ale stałym, też nie przodują w wyścigu cywilizacyjnym.

Tym, co rzuca nam wyzwanie, co zmusza do nieustannego reagowania, co – zatem – rozwija to zmienność.

Jednak małe dzieci potrzebują dużej dozy stabilności. Zmienność w nadmiarze wywiera na nie taki skutek, jak niewierność na kobiety: rozchwiewa się osobowość. Dlatego należy dbać o stabilność warunków dla małych dzieci.

Jako dobry ojciec powinien Pan również zapewniać stabilność warunków rodzinie, a żona powinna tę stabilność w domu utrzymywać. Już siedmioletni chłopcy natomiast powinni mieć możliwie różnorodne doświadczenia, zmuszające ich do zmiennych reakcji. Dom ma być dla nich gniazdem, do którego mogą w każdej chwili powrócić. Jednak cel ich życia musi być poza domem.

Wychowywanie córek oparte jest na zupełnie innej zasadzie i wyprowadzanie ich poza dom jest zasadniczym błędem, za który można ciężko odpokutować. Tu jednak decyzja musi należeć do Pańskiej żony, gdyż w obecnych warunkach nie zdoła Pan zapewnić córce odpowiednich warunków do właściwego wychowania. Nie potrafię dać w tej materii żadnych rad, tym bardziej, że jak na razie w wieku dojrzałym mam wyłącznie synów. Jedno tylko: przyzwyczajenie do zbyt dużej zmienności może córkę unieszczęśliwić w późniejszym małżeństwie. Chyba, że trafi na jakiegoś globtrotera...

spis treści

Adaptacja
Agresja
Autorytet
Bakterie
Bezpieczeństwo
Błąd
Bojaźliwość matki
Byk, za rogi wzięty
Cel wychowania
Cele taktyczne i strategie
Choroba
Cybernetyka
Czym skorupka...
Demografia
Diabła Belzebubem
Dysedukacja
Dziecko
Dziedziczenie
Edyp
Głowa (domu)
Gry
Heterozygotyzm
Higiena i hartowanie
Homeostaza
Homoseksualizm
Imitacja
Informatyka
Inteligencja
Inwestycja
Jedynak
Karta wstępu
Kary
Katastrof teoria
Kapiel
Kieliszek i papieros

Kłótnia
Konflikt w rodzinie
Konserwatyzm
Lenistwo
Liberalizm & pobłażliwość
Logika
Matematyka
Matka kochana
Mazura teoria
Mezaliany
Mieszkanie
Młynarz śpiący
Nerwica
Nerwy
Noworodek
Obietnica
Obowiązki (podział)
Odpowiedzialność
Ogon osła
Ojcem – czy być warto?
Onanizm
Ortolinijność
Ostatnie miejsce
Patrylinearność
Pieniądze
Pies
Płci role
Podejrzliwość
Podświadomość
Pomocnik do wszystkiego
Porządek (utrzymywanie)
Posłuszeństwo
Postępowcy
Pośrednie działanie
Praca
Praca zarobkowa

Przekaziory
Przerywanie ciąży
Przymus
Przyszłość (jasna)
Religia
Rozkaz
Rozrzut inteligencji
Rozwód (teoria)
Rozwód (praktyka)
Różnorodność
„Słówka”
Służba
Specjalizacja
Szczęście
Szkoła i klasa
Talent (rozwijanie)
Temperatura
Teorie wychowawcze
Testament
Tetyda
Tkaczka czka
Ubiór
Ultima Ratio Domini
Usługi
Uświadomienie
Wiek
Wierność
Zabawa
Zakaz
Zaocznie
Zasady
Zmienność